Rowerowy **raj** • Odpocznij na Mazowszu: **Puszcza Kampinoska, Żelechów, Konstancin i Skolimów, linia otwocka** • Za pięć dwunasta – **sierpień 1939**

ISSN 0039-1689 INDEKS 22622X

STOLICA

NR 7-8 (2338-2339) LIPIEC-SIERPIEŃ 2020 • 9,90 zł w tym 8% VAT

Zdjęcia: Wojciech Traczyk, Ośrodek Karta, Muzeum Rowerów w Radomiu, Urząd Marszałkowski Województwa Mazowieckiego

ISSN 0039-1689
08
9 770039 168200

Mazowsze.
serce Polski

modanamazowsze.pl

W NUMERZE:

4 Rowerowy raj

ODPOCZNIJ NA MAZOWSZU

6 Na południe od wielkiego lasu – po rowerowych szlakach Puszczy Kampinoskiej oprowadza Jerzy S. Majewski
16 Niebieskim szlakiem do zielonego Skolimowa – o willach i pensjonatach opowiada Adrian Sobieszczański
20 Czarowna linia otwocka – zabytki podwarszawskich letnisk prezentuje Katarzyna Komar-Michalczyk
26 Jak to się zaczęło – początki sportu rowerowego w Warszawie – Adrian Sobieszczański
32 Mały Żelechów i wielka Warszawa – Janusz Dobrzyński OFS

HISTORIA

40 Za pięć dwunasta – kalendarium najważniejszych wydarzeń sierpnia 1939 r. prezentuje Jarosław Zieliński
47 Wyzwolenie – fragmenty pierwszego zbiorczego wydania wspomnień Bohdana Korzeniewskiego
56 Z dziejów cmentarza na Zieleńcu w Komorowie w 1944 r. – o mało znanej nekropolii – Daniel Wolborski

KULTURA

60 O to miejsce dbamy bardziej niż o własny dom – z Justyną Sieńczyłło i Emilianem Kamińskim, twórcami Teatru Kamienica, rozmawia Tomasz Miłkowski
62 Wiktoria 1920. „Niepodległa" zaprasza na obchody setnej rocznicy Bitwy Warszawskiej 1920 r. – rozmowa z Janem Kowalskim, dyrektorem Biura Programu „Niepodległa"
65 *Polonia Restituta – O niepodległość i granice 1914-1921* – wystawa w Muzeum Niepodległości
66 Odnajdywanie się – o dorobku Piotra Wojciechowskiego, Warszawskiego Twórcy 2020 r. – Paweł Dunin-Wąsowicz
69 Rosyjski ślad w warszawskiej zoologii XIX w. – o Aleksandrze M. Bykowie – prof. Maciej Luniak
72 Albo piekarnik, albo „potop" – Arkadiusz Szaraniec
73 Warszawa sprzyja – Jacek Fedorowicz
74 Pancerna facetka – Przemysław Śmiech
76 A czy panu nie zabraknie – Maria Terlecka
77 Młotkiem po zabytku – Katarzyna Komar-Michalczyk
78 Drewniana ulica – do czasu – Jarosław Zieliński

6

20

26

47

Elektroniczna wersja STOLICY: www.egazety.pl, www.warszawa-stolica.pl Partnerzy: Narodowe Archiwum Cyfrowe, www.nac.gov.pl, fotopolska.eu

STOLICA

Poprzednie numery Warszawskiego Magazynu Ilustrowanego STOLICA można nabyć m.in. w Domu Spotkań z Historią przy ul. Karowej 20, w księgarni im. Bolesława Prusa przy Krakowskim Przedmieściu 7 i Księgarni Naukowej przy al. „Solidarności" 83/89

Adres redakcji:
ul. Wersalska 7, lok. 1, 03-955 Warszawa, tel. 22 741-01-30
Wydawca: EKBIN
ISSN 0039-1689
www.warszawa-stolica.pl, redakcja@warszawa-stolica.pl
Zespół:
Ewa Kielak Ciemniewska (redaktor naczelna)
ewa.stolica@gmail.com
Jarosław Zieliński (zastępca redaktor naczelnej)
Jerzy S. Majewski
Katarzyna Komar-Michalczyk (sekretarz redakcji)
info@warszawa-stolica.pl
Anna Skowrońska (opracowanie graficzne)
Promocja: Paweł Ciemniewski, miesiecznik.stolica@gmail.com

Stale współpracują: Grzegorz A. Buczek, Elżbieta Ciborska, Rafał Dajbor, Paweł Dunin-Wąsowicz, Jacek Fedorowicz, prof. Kwiryna Handke, Tatiana Hardej, Michał Krasucki, Małgorzata Kubicka, prof. Anna Kuligowska-Korzeniewska, Jan Tomasz Lipski, Tomasz Markiewicz, Ryszard Mączewski, Tomasz Miłkowski, Marcin Mierzejewski, Artur Mościcki, Jacek Olecki, Bogumił Paszkiewicz, Sebastian Pawlina, Michał Pilich, Norbert Piwowarczyk, dr hab. Mateusz Rodak, Adrian Sobieszczański, Paweł Stala, Arkadiusz Szaraniec, Przemysław Śmiech, Maria Terlecka, dr hab. Michał Wardzyński
Zdjęcia: Magdalena Hajnosz, Andrzej Kałuszko, Paweł Ciemniewski, Norbert Piwowarczyk, Jacek Sielski, Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Warszawy, NAC, Fotopolska, Archiwum Państwowe m.st. Warszawy, archiwum STOLICY
Teksty do druku przyjmujemy tylko w formie elektronicznej.
© Copyright STOLICA / Wszelkie prawa zastrzeżone; wykorzystywanie tekstów, ich fragmentów i zdjęć, zarówno w druku, jak i w Internecie – bez zgody redakcji jest niedozwolone.
Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, wprowadzania śródtytułów i zmian tytułów.

Zamówienia na prenumeratę STOLICY w wersji papierowej i elektronicznej – realizowaną przez RUCH SA – można składać bezpośrednio na stronie: www.prenumerata.ruch.com.pl

Zdjęcia: archiwum Urzędu Marszałkowskiego Województwa Mazowieckiego

Rowerowy raj

W czasach pandemii rower to nie tylko znakomity środek przemieszczania się po mieście. Daje on także niepowtarzalną możliwość zwiedzania najbliższych okolic Warszawy i bardziej oddalonych od stolicy miejsc na Mazowszu

Pandemia sprawiła, że ludzie masowo przesiedli się na rowery. Polska jest od kilku lat czwartym co do wielkości miejscem produkcji i montażu rowerów w Europie, jednak podawane przez prasę informacje, że w tym roku produkcja rowerów jeszcze się zwiększyła, nie jest do końca sprawdzona. Niewątpliwie pandemia zachwiała produkcją rowerów w niektórych zakładach.

W cieple dni na trasach rowerowych w Warszawie panuje tłok, a w pogodne wieczory czy w weekendy niewiarygodny tłum rowerzystów wypełnia ścieżki wzdłuż nowych bulwarów nadwiślańskich. Wzrósł też ruch rowerowy na trasach poza miastem, na mazowieckich szlakach. I choć sieć ścieżek rowerowych w stolicy oraz wokół niej stale się wydłuża, Warszawie wciąż jeszcze daleko do Kopenhagi czy Amsterdamu. Jednak w ciągu ostatniej dekady w mieście dokonała się prawdziwa rewolucja rowerowa. Podstawowymi elementami infrastruktury dla jednośladów są ścieżki rowerowe, które obiegają już całe miasto, oraz wypożyczalnie rowerów miejskich. Tych ostatnich jest na terenie Warszawy ok. 400. Z uwagi na pandemię koronawirusa swoją działalność rozpoczęły one w tym roku później, bo w początku maja. Mniejsza jest też liczba korzystających z wypożyczalni. Zamknięcie szkół i uczelni sprawiło, że rzadziej korzystają z nich uczniowie i studenci. Z kolei zdalna praca w biurach zmniejszyła liczbę osób dojeżdżających na rowerach do biurowców. Na kilka miesięcy zniknęli też z Warszawy turyści zagraniczni.

Według Polskiego Stowarzyszenia Rowerowego w Polsce produkuje się i montuje ok. **1,7 mln** rowerów rocznie; część produkcji idzie na eksport. Sprzedaż rowerów (w tym importowanych) osiąga rocznie ok. **1,2 mln** sztuk

Jak czytamy na stronach internetowych Miasta, sieć rowerowa w stolicy liczy obecnie ponad 645 km (w tym 475,5 km dróg dla rowerów, 79,5 km ciągów pieszo-rowerowych, 44 km pasów i 46 km ulic z kontraruchem). Sieć tras rowerowych uzupełniona jest ulicami o ruchu uspokojonym (455 km) oraz rekreacyjnymi szlakami pieszo-rowerowymi i odcinkami jezdni serwisowych (ponad 125 km).

Od 2012 r. każdego roku przybywa ok. 50 km nowych tras. W zasadzie już wszystkie dzielnice są ze sobą połączone drogami rowerowymi. Jedną z najbardziej spektakularnych inwestycji dwóch ostatnich lat są ścieżki rowerowe wzdłuż Okopowej i Towarowej oraz Jana Pawła II. Dziś obie należą do wyjątkowo ruchliwych, a pomiędzy rondem Daszyńskiego a Kolejową po stronie nieparzystej ulicy powstaje właśnie brakujący odcinek – obok kompleksu Warsaw Hub. Trwa też budowa kolejnych odcinków ścieżek w alei Jana Pawła II po obu stronach ulicy (od Dworca Centralnego po rondo ONZ). To ważny fragment trasy łączącej Żoliborz z Mokotowem. W ubiegłym roku Miasto ogłosiło przetargi na budowę w 2020 r. kolejnych ścieżek w miejscach wskazanych przez mieszkańców w Śródmieściu, na Pradze-Południe, Chomiczówce i Wrzecionie. Miasto zapowiada także budowę ścieżek rowerowych na Gocławiu wzdłuż Bora-Komorowskiego oraz jeszcze jedną inwestycję w centrum Warszawy. Będzie ona oznaczała prawdziwą rewolucję komunikacyjną w Centrum. Zamknięty dla przejazdu tranzytowego i zamieniony w deptak ma być tzw. plac Pięciu Rogów u zbiegu Szpitalnej, Brackiej, Zgoda, Kruczej i Chmielnej. Przez przebudowaną nawierzchnię placu przejeżdżać mają jedynie autobusy linii 107. Wytyczone też zostaną tu ścieżki rowerowe.

W letnim numerze STOLICY proponujemy nie tylko podróżowanie na rowerze po stolicy, lecz także wycieczki wokół miasta i po Mazowszu. Zachęcamy do zaplanowania urlopu na rowerze – warto wybrać jako bazę jedną z mazowieckich miejscowości i w ciągu lata zwiedzać nieznane okolice. Takie wakacje pozwolą uniknąć kontaktu z koronawirusem na zatłoczonych deptakach nadmorskich i szlakach górskich oraz zapewnią wypoczynek w ciszy i przy bezpośrednim kontakcie z naturą. Będą okazją do odkrycia niezwykłych, często mało znanych miejsc. Pociągiem dojedziemy do odleglejszych miejscowości i z nich można wyruszać na rowerowe wycieczki. Warto pamiętać, że latem w składach Kolei Mazowieckich nie trzeba kupować dodatkowych biletów na rower. Większość składów ma oznaczone na zewnątrz części wydzielone dla jednośladów, w innych, starszych składach rowery można przewozić w miejscach przeznaczonych dla pasażerów z większym bagażem. W Warszawie rowery można także przewozić w tramwajach i autobusach miejskich – pod warunkiem, że nie przeszkadzają innym pasażerom. Na kolejnych stronach proponujemy kilka wyjątkowych kierunków eksploracji rowerowych w pobliżu stolicy i na Mazowszu. A więc – w drogę! [JSM]

REKLAMA

Czytajcie książki ISKIER

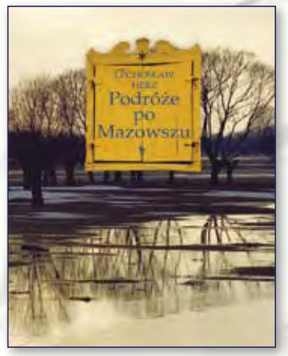

PODRÓŻE PO MAZOWSZU

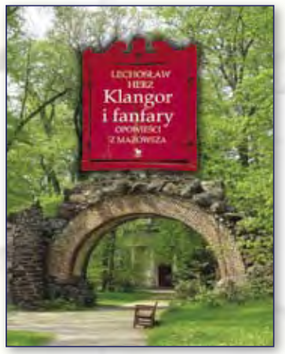

KLANGOR I FANFARY. Opowieści z Mazowsza

POD OŻYWCZYM DRZEW CIENIEM... Na podwarszawskim Mazowszu

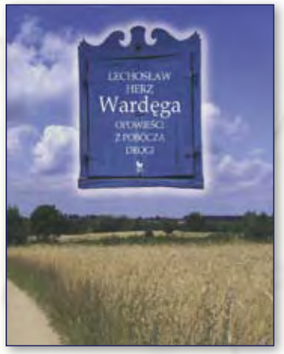

WARDĘGA. Opowieści z pobocza drogi

WIĘCEJ INFORMACJI:
www.iskry.com.pl
Wydawnictwolskry
wydawnictwoiskry

Na południe od wielkiego lasu

Zdjęcia, archiwum Urzędu Marszałkowskiego Województwa Mazowieckiego

Jerzy S. Majewski

Tereny wzdłuż południowej granicy Kampinoskiego Parku Narodowego to miejsce o bogatym krajobrazie kulturowym, gdzie nie brak zabytków wartych obejrzenia

Na przekór obiegowym opiniom w pobliżu stolicy jest mnóstwo interesujących miejsc. Wiele z nich jest mało znanych i często są one pomijane podczas wycieczek. Do najbardziej popularnych celów wypadów mieszkańców Warszawy należy Puszcza Kampinoska. Zwykle wędrujemy po niej szlakami leśnymi, ja natomiast proponuję wybrać się na wycieczkę południowym i zachodnim skrajem puszczy. Aż roi się tam od dworów, pałaców czy zabytkowych kościołów. Tu, obok powszechnie znanych miejsc związanych z Fryderykiem Chopinem w Żelazowej Woli czy Brochowie, natrafimy na ukryte perełki. Choćby takie, jak eklektyczne pałace wielkiej burżuazji warszawskiej w Zaborowie, Teresinie czy Lesznie. Zapraszam na subiektywną wycieczkę wzdłuż południowych granic Kampinoskiego Parku Narodowego. Najłatwiej dotrzeć tu samochodem, choć znacznie przyjemniejsze jest zwiedzanie na rowerze. Warto jednak pamiętać, że trasa jest bardzo długa i tylko nieliczni będą w stanie przejechać ją w ciągu jednego dnia. Dlatego warto rozłożyć tę przyjemność na kilka etapów, za każdym razem zaczynając podróż od jednej ze stacji kolejowych na trasie Warszawa-Sochaczew.

GŁÓWNY SZLAK ROWEROWY PRZEZ PUSZCZĘ KAMPINOSKĄ, oznaczony kolorem zielonym, liczy dokładnie 144,5 km. Zaczyna się w Wólce Węglowej i wiedzie przez Lipków, Zaborów, Leszno (Julinek!), Granicę (ośrodek dydaktyczny Kampinoskiego Parku Narodowego), Żelazową Wolę (dom urodzenia Fryderyka Chopina), Brochów (zabytkowy kościół obronny, w którym Fryderyk Chopin został ochrzczony), Tułowice (dwór szlachecki z XIX w.), Nowiny, Piaski Królewskie, Leoncin (to tutaj urodził się laureat literackiej Nagrody Nobla Isaac Bashevis Singer), Cybulice Duże, Małocice, Palmiry (w pobliżu znajduje się Muzeum – Miejsce Pamięci Palmiry), Łomianki, Dąbrowę Zachodnią i Leśną do Wólki Węglowej.

Trasa jest urozmaicona nie tylko pod względem podłoża, a odwiedzenie wszystkich atrakcji może zająć nawet kilka dni. Tylko w parku i muzeum w Żelazowej Woli można spędzić w sezonie letnim kilka godzin, a Park Rozrywki Julinek to okazja do zatrzymania się na cały dzień, a nawet dwa lub trzy, jeśli zdecydujemy się na noclegi w dawnej bazie cyrkowej, oferującej pokoje i wyżywienie.

Poza głównym szlakiem rowerowym istnieją trzy szlaki łącznikowe, dzięki którym możemy dostać się na szlak z miejscowości położonych w okolicach Puszczy Kampinoskiej, dotrzeć do tych miejsc ze szlaku lub skrócić sobie trasę. Łącznik Bemowski między Bemowem a Izabelinem oznakowany jest kolorem żółtym, Łącznikiem Palmirskim przejedziemy z parkingu w Palmirach do Mariewa, a Łącznikiem Szymanowskim – z Grabnika do stacji PKP Szymanów.

Dawny dwór Józefa Paschalisa Jakubowicza w Lipkowie mieści dziś plebanię

Zdjęcia: J.S. Majewski

Zacznijmy od Lipkowa, usytuowanego w obrębie Kampinoskiego Parku Narodowego, kilka kilometrów na północ od Izabelina. Miejscowość weszła do dziejów literatury polskiej. Częstym gościem był tutaj Henryk Sienkiewicz – najpierw jako starający się o rękę Marii, córki ówczesnych właścicieli dworu: Wandy i Kazimierza Szetkiewiczów. Później już jako jej mąż. Szetkiewiczowie mieli szerokie koligacje rodzinne ze szlachtą litewską. Dość rubaszny teść pisarza, Kazimierz Szetkiewicz, stał się pierwowzorem pana Zagłoby. I to właśnie gdzieś w Lipkowie Sienkiewicz umieścił pojedynek pana Wołodyjowskiego z Bohunem w *Ogniem i mieczem*.

Dawny dwór stoi nadal, choć rzecz jasna nie było go w czasach akcji powieści. Powstał w XVIII w. i przez pewien czas należał do Józefa Paschalisa Jakubowicza, wywodzącego się z rodziny kupców i przemysłowców o ormiańskich korzeniach. Dziś obiekt pełni funkcję plebanii. Jakubowicz ufundował też stojący tuż obok niewielki klasycystyczny kościół. Zaprojektował go Hilary Szpilowski, architekt preferujący zdyscyplinowaną i oszczędną w detal recepcję klasycyzmu. Świątynia powstała ok. 1792 r. Po II wojnie była już w tak kiepskim stanie, że na początku lat 50. odbudowano ją niemal od podstaw. Warto się rozejrzeć po najbliższej okolicy. W pobliżu na cmentarzu zachował się nagrobek Józefa Paschalisa Jakubowicza, zmarłego w 1845 r.

Z Lipkowa skrajem Puszczy Kampinoskiej, przez Truskaw, dojedziemy do **Mariewa**. W drugiej połowie lat 90. XX w. niedaleko granicy Puszczy powstała rozległa rezydencja Aleksandra Gudzowatego, jednego z najbogatszych wówczas Polaków. Ukryty w lesie kompleks zaprojektowany został przez polskiego architekta Tadeusza Spychałę, który wcześniej współpracował z inwestorem przy budowie biurowca Kolmexu przy ulicy Chłodnej w Warszawie. Wzniesienie rezydencji w Mariewie stało się w 1997 r. wydarzeniem architektonicznym, a redakcja „Architektury-Muratora" zleciła mi wówczas napisanie recenzji budynku. W ogrodzie obok nakrytych dachówką obiektów mieszkalnych powstała m.in. kaplica ekumeniczna. Tym, co wywarło wówczas na mnie duże wrażenie, była miłość, z jaką właścicielka opowiadała mi o przyrodzie i zwierzętach zamieszkujących dom z ogrodem. Napotkałem w nim wówczas stadko danieli, kilka osłów i lamy. Pod okna domu podchodziły wielobarwne pawie, zaś w przylegającej do kuchni oranżerii żyły egzotyczne ptaki.

Z Mariewa kiepsko oznakowaną trasą rowerową można łatwo dotrzeć do Zaborowa. We wsi stoi dawna rezydencja warszawskiej burżuazji – pałac Goldstandów – który swoje najlepsze czasy przeżywał przed wybuchem I wojny światowej. Zdewastowany po wojnie, w latach 70. został odrestaurowany i zamieniony na ośrodek wypoczynkowy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Wtedy też stał się planem dla kilku filmów, m.in. serialu *Kariera Nikodema Dyzmy* (reż. Jan Rybkowski, Marek Nowicki, 1980).

Pałac powstał w latach 1901-1903 wg projektu spółki architektoniczno-budowlanej Franciszka Lilpopa i Karola Jankowskiego. Zbudował go warszawski finansista i polityk, człowiek niezmiernie bogaty – Leon Feliks Goldstand. Właśnie żenił się z arystokratką, panną Karnkowską, i z mieszczucha zamierzał przekształcić się w ziemianina. Stąd pomysł na budowę rezydencji sąsiadującej ze stadniną koni i folwarkiem. Dodajmy, że

Pałac w Zaborowie od strony podjazdu

Karnkowscy mieli swoje majątki w sąsiedztwie Puszczy Kampinoskiej i w trakcie naszej wycieczki będziemy natrafiać na ich kolejne ślady.

Twórcą potęgi finansowej rodziny Goldstandów był dziad Leona Feliksa – Leon Goldstand, ortodoksyjny Żyd pochodzący z rodziny osiadłej w Warszawie w XIX w. Związał się m.in. z domem bankowym Samuela Fraenkla. Syn Leona, Jan, podobnie jak Wokulski zbił ogromny majątek na dostawach dla wojska rosyjskiego w czasie wojny rosyjsko-tureckiej na Bałkanach.

Zdaniem prof. Tadeusza S. Jaroszewskiego neobarokowy pałac w Zaborowie raził nadmiarem dekoracji i błędami kompozycyjnymi. Został jednak malowniczo usytuowany nad stawem widocznym od ogrodu; zarówno forma budowli, jak i jej dekoracja wyraźnie odwoływały się do późnobarokowych rezydencji ziemiańskich. „W tym czasie popularność form XVIII-wiecznej architektury rezydencjonalnej wynikała z upodobań zamawiających, którym kojarzyły się one ze staropolską tradycją. Lilpop i Jankowski w podobnych formach ukształtowali pałac w Falęcicach dla Mysyrowiczów i zaprojektowali dwór w Raszkowie na Podolu" – pisali Tadeusz S. Jaroszewski i Waldemar Baraniewski w książce *Pałace i dwory w okolicach Warszawy* (Warszawa 1992).

Innym cennym zabytkiem Zaborowa jest kościół parafialny z 1791 r. Podobnie jak kościółek w Lipkowie – i tę budowlę zaprojektował Hilary Szpilowski. Powstała sumptem ówczesnych właścicieli Zaborowa: Placyda i Karoliny Izbińskich. Szpilowski, który tworzył wzory dla kościołów wiejskich, zaprojektował bardzo harmonijną budowlę klasycystyczną. Interesujące, że opięta półkolumnami elewacja tylna jest niemal równie reprezentacyjna co fasada. Za to w środku zamiast sklepienia zastosowano zwykły strop. Wewnątrz znalazło się też znacznie starsze wyposażenie z wcześniejszego kościoła. Dodajmy jeszcze, że gdy Zaborów został zakupiony przez Goldstanda, kościół starannie odrestaurowano.

Z Zaborowem sąsiadował majątek Wodzińskich w Zaborówku. Rozległy pałac ukryty jest w gęstym parku i trudno domyślić się jego istnienia, jadąc szosą. Tymczasem jest to jeden z ciekawszych zabytków pod Warszawą powstałych w pierwszej połowie XIX w. Wielokrotnie przekształcany, stanowi swoistą mieszankę klasycyzmu i neorenesansu. W latach międzywojennych był własnością Gabriela Wodzińskiego i jego żony, Róży z hr. Jezierskich. W 1945 r. pałac przejęło państwo i od razu zaczęła się jego dewastacja. Na szczęście zabytek przetrwał, choć przez lata mieściła się tu stołówka dla pracowników PGR-u. Odrestaurowano go w latach 90. z przeznaczeniem na ośrodek konferencyjny. Dziś obiekt pełni funkcję m.in. domu weselnego.

Z Zaborówka ruchliwą szosą lub nieco okrężną drogą – oznakowanym kampinoskim szlakiem rowerowym – obok ruin dawnej cegielni można dojechać do **Leszna**. Ponad miejscowością góruje ostra jak szpic wieża neogotyckiego kościoła powstałego w latach 1894-1898 r. wg projektu Władysława Hirszla. Wnętrze zachwyca pięknymi polichromiami w nieco młodopolskim nastroju. Zawsze zwracam w nim uwagę na tablicę wmurowaną na pamiątkę „szczęśliwie skończonego" XIX stulecia. O świątyni stało się głośno w dobie rewolucji 1905 r. Skonfliktowany z miejscowym proboszczem, ks. Podbielskim, wikariusz, ks. Adam Furmanik, podjął w 1906 r. decyzję przejścia wraz z kilkoma tysiącami wiernych do kościoła mariawickiego. Po zajęciu kościoła przez mariawitów doszło do zamieszek na tle religijnym. Katolicy próbowali odzyskać świątynię siłą. Zdarzenia relacjonował m.in. dziennikarz tygodnika „Świat". Warto przytoczyć fragment z tej relacji, odsłaniający kulisy pracy fotoreportera, które pod pewnymi względami nie zmieniły się do dziś. „Sfanatyzowani chłopi postanowili nie dopuścić księdza Podbielskiego do kościoła. Spostrzegłszy fotografa «Świata», idą ku niemu z groźnemi zamiarami, które skończyły się na odebraniu kliszy – czystej" – czytamy w „Świecie" z 3 marca 1906 r.

Katolicy odzyskali kościół jesienią 1906 r., mocą wyroku sądowego. Przejęcie świątyni odbyło się z wielką pompą, z udziałem biskupa sufragana warszawskiego Kazimierza Ruszkiewicza i w towarzystwie konnych banderii ze sztandarami narodowymi. Warto dodać, że mariawici wznieśli wówczas skromny kościół we wsi Grądy. Dziś wieś ta znajduje się w obrębie Leszna. We wsi przy ulicy Górnej istnieje cmentarz mariawicki.

Kilkadziesiąt metrów od kościoła rozpościera się rozległy park. Wznosi się w nim kolejna wielkoburżuazyjna siedziba. I ta budowla odwołuje się do architektury baroku. Przebudował ją ze starszego barokowego pałacu Jan Bersohn (Berson), absolwent Instytutu Agronomicznego, przedsiębiorca,

Wnętrze kościoła w Lesznie wypełnione jest polichromiami w nieco młodopolskim nastroju

Neobarokowa fasada pałacu w Lesznie

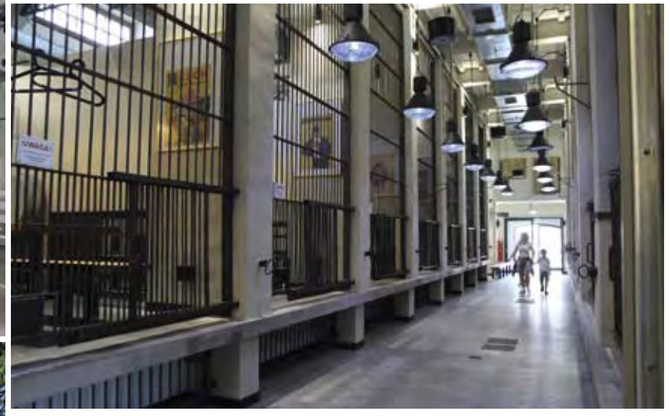

W zabudowaniach dawnej bazy cyrkowej w Julinku działa dziś park rozrywki

finansista oraz właściciel cukrowni Michałów, której budowę podjął w Lesznie wraz z właścicielem tutejszego majątku, Michałem Piotrowskim. Bersohn cieszył się dużym szacunkiem w społeczeństwie polskim i za czasów rządów margrabiego Wielopolskiego w 1862 r. został radcą jako jedyny Żyd w powiecie warszawskim.

Tymczasem cukrownia w Lesznie ulegała rozbudowie. W połowie XIX w. zatrudniała 200 robotników, zaś pół wieku później – już ponad 500. W okolicy rozpoczęto uprawę buraków cukrowych na dużą skalę. Z biegiem lat Bersohn wykupił udziały Piotrowskich i założył Towarzystwo Akcyjne Cukrowni Michałów. Nie znamy projektanta przebudowy zachowanej do dziś rezydencji. Jej elewacje zdobi skromny detal architektoniczny. Niestety, dziś budowlę szpeci podjazd wyłożony kostką brukową. Jak pisał Mateusz Mieses w książce *Z rodu żydowskiego* (Warszawa 1991), córka Jana Bersohna, Julia, zaślubiła w 1882 r. Maurycego Rosenstocka Rostockiego, doktora praw, posła do Rady Państwa w Wiedniu i sejmu krajowego, właściciela dóbr Skałat [dziś Ukraina – red.]. Z kolei jego syn, Michał, właściciel znanej stajni wyścigowej, adwokat przysięgły i obywatel ziemski, ożenił się z Jadwigą Wawelberg, córką słynnego finansisty i filantropa Hipolita Wawelberga, i przeszedł z nią na katolicyzm. Michał był także ostatnim właścicielem cukrowni Michałów w Lesznie. Niemcy wyrzucili go z pałacu już w pierwszym okresie okupacji i aż do roku 1945 budynek zajmowała żandarmeria. Bersohn zginął w Warszawie w 1944 r. Cukrownia przestała istnieć kilka lat temu. Dziś pałac jest w bardzo dobrym stanie i mieści ośrodek konferencyjny jednego z banków.

Zaledwie kilka kilometrów na północ od Leszna znajduje się Julinek. Usytuowany jest już w puszczy i można do niego dojechać leśnymi drogami, np. na rowerze. Przez wiele lat w Julinku działała baza cyrkowa. Dziś już jej nie ma, ale opuszczony teren w 2017 r. zaczęto ponownie przywracać do życia i obecnie na terenie bazy znajdziemy coś w rodzaju parku rozrywki rodzinnej, związanej jednak ze sztuką cyrkową. Dawne areny i klatki dla zwierząt pełnią inne role i mają charakter wielofunkcyjny. Nadal jednak centralnym punktem kompleksu pozostaje całkowicie zmodernizowana i przekształcona Wielka Arena.

Historia Julinka sięga XIX stulecia, a jego nazwa upamiętnia Julię, córkę Jana Bersohna z Leszna. Bersohnowie mieli w puszczy majątek i prowadzili tu hodowlę zarodową koni. W stadninie trzymali też konie wyścigowe, uczestniczące często w wyścigach na warszawskim torze na Polu Mokotowskim. Podczas II wojny światowej Niemcy rozkradli konie ze stadniny, a po 1945 r. władza komunistyczna skonfiskowała resztę majątku Bersohnów i zamieniła zabudowania w bazę techniczno-szkoleniową Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych (ZPR), powołanych w 1949 r. na fali stalinowskiej centralizacji wszelkich dziedzin życia gospodarczego. Wielka Arena wzniesiona została w latach 50., ale w jej mury wtopiono dawne stajnie. Z zewnątrz kształt areny budził skojarzenia z namiotem cyrkowym. W jednym z bocznych skrzydeł mieściły się stajnie, w drugim słoniarnia oraz klatki dla lwów i tygrysów. Po 1991 r. ZPR-y zostały sprywatyzowane i przestały interesować się bazą cyrkową, która była dla firmy obciążeniem. Lechosław Herz na łamach wydanego w 1995 r. przewodnika po okolicach Warszawy jeszcze proponował zwiedzanie w Julinku Muzeum Sztuki Cyrkowej. Wkrótce potem turyści natrafiali tu już tylko na zamkniętą bramę i opuszczony teren. Ostatecznie w końcu 1995 r. baza cyrkowa została zlikwidowana. Jedynie w hotelu dla artystów działało przez kilka kolejnych lat Państwowe Studium Cyrkowe. Było już jednak pozbawione zaplecza. Opuszczone budynki popadły w ruinę. Zmiany nadeszły w 2015 r. Julinek zaczęto odbudowywać, zamieniając go w park rozrywki. Warto tu zajrzeć, także po to, aby zobaczyć, w jaki sposób zaadaptowano dawne budynki cyrkowe. Jest to budujący przykład renowacji i zarazem modernizacji obiektów, które wprawdzie nie były nigdy wybitnymi dziełami architektury, ale zostały odrestaurowane z szacunkiem dla form pierwotnych. Szczególne wrażenie robią dawne klatki dla dzikich kotów, w których znalazły się miejsca do spędzania czasu lub spożywania posiłków.

Pałac w Teresinie; w 1913 r. w przypałacowym parku znaleziono zwłoki ks. Władysława Druckiego-Lubeckiego

Teraz czeka nas dłuższy odcinek drogi – przez wsie i pośród pól uprawnych. Odbijając nieco na południe od dawnej szosy z Warszawy do Poznania, kierujemy się do wsi **Seroki-Parcela**. Tu w zadrzewionym ogrodzie wznosi się pałac. Znajduje się w rękach prywatnych i jest niedostępny. Warto jednak spojrzeć na obiekt przez ogrodzenie. Jest to rezydencja młoda, powstała w latach międzywojennych, ok. 1922 r. Architekt Tadeusz Sroczyński nadał jej formy wczesnego baroku czasów Wazów, kojarzone z polskim stylem narodowym. Sroczyński projektował tę rezydencję dla swojego brata, Izasława. Zwartą bryłę budynku ożywiają wazowskie wieże. Są tu też taras i loggia, obowiązkowe w architekturze pierwszej połowy XVII w. Dodajmy jeszcze, że dwaj synowie Izasława Sroczyńskiego, Stanisław i Zbigniew, polegli w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego.

Przejeżdżając obok stacji kolejowej, podążamy szosą do kolejnej na naszej drodze rezydencji wielkiej burżuazji warszawskiej przełomu XIX i XX w. Pałac w **Teresinie**, usytuowany w głębi parku, jest oddalony od rezydencji Sroczyńskich o nieco ponad dwa kilometry. Na kilka miesięcy przed wybuchem I wojny światowej Teresin znalazł się na łamach polskiej prasy wszystkich trzech zaborów. W 1913 r. w parku pałacowym natrafiono na zwłoki księcia Władysława Druckiego-Lubeckiego.

Arystokratę zamordowano. Podejrzanym był spowinowacony z nim baron Jan Kamil Bisping von Gallen, ordynat na Massalanach i szambelan papieski. Aż do wybuchu I wojny światowej opinię publiczną elektryzowały relacje z poszlakowego procesu sądowego. Sprawa ciągnęła się jeszcze po zakończeniu wojny, w niepodległej już Polsce. Ostatecznie w roku 1922 sąd uniewinnił barona.

Jak czytamy we wspomnianej książce Tadeusza S. Jaroszewskiego i Waldemara Baraniewskiego *Pałace i dwory w okolicach Warszawy*, już w latach 40. XIX w. powstał w Teresinie pałacyk Hermana Epsteina, właściciela cukrowni w pobliskim Szymanowie. Pałacyk nie był wielki i został rozebrany w ostatnich latach XIX stulecia. W jego miejscu stanęła nowa budowla. Znacznie bardziej imponująca, o architekturze zewnętrznej inspirowanej późnym barokiem i tzw. kostiumem francuskim. Projektantem był ulubieniec polskiej arystokracji, François Arveuf, a realizację finansował Mieczysław Epstein, prezes oraz współzałożyciel warszawskiego Banku Dyskontowego. Zaledwie kilka lat później, w 1909 r., pałac został zakupiony przez księcia Władysława Druckiego-Lubeckiego, który ponoć uwielbiał tę podwarszawską rezydencję. Tutaj też w niewyjaśnionych do końca okolicznościach miał wkrótce stracić życie. Po jego śmierci pałac wraz z majątkiem objął jego syn, Jan. Dokonując parcelacji części terenu w 1927 r., podarował kilkanaście hektarów franciszkanom. To na tym terenie powstał Niepokalanów.

Do pałacu w Teresinie można wejść, choć w środku nie zachowało się wiele z dawnej świetności rezydencji. Dziś w obiekcie mieści się Ośrodek Szkoleniowo-Rehabilitacyjny KRUS.

Kościół w Niepokalanowie, zaprojektowany w 1934 r., ukończony w l. 50. XX w.

Kościół i klasztor w Niepokalanowie usytuowane są nieopodal, na północ od pałacu, już za stacją kolejową w Niepokalanowie. Należą też od lat do bardzo popularnych celów wycieczek podwarszawskich. Z miejscem tym związana jest postać franciszkanina, ojca Maksymiliana Kolbego. W czasach PRL-u i po 1989 r. teren sanktuarium obrósł pokracznymi zabudowaniami. Jednak znakomitym dziełem architektury pozostaje sam kościół, zaprojektowany w 1934 r., a ukończony dopiero w połowie lat 50. Zaprojektował go architekt Zygmunt Gawlik, autor wielu świątyń, w tym katedry w Katowicach. Budowla, sąsiadująca z klasztorem franciszkanów, jest modernistyczną wariacją na temat trójnawowej bazyliki wczesnochrześcijańskiej. Formy historyczne zostały tu skrajnie uproszczone, zgeometryzowane i sprowadzone do klarownych brył. Architekturę ożywiają oszczędnie użyte detale rzeźbiarskie i betonowe, ażurowe wypełnienia okien, zdradzające zarówno związki z przebrzmiałą już wtedy stylistyką art déco, jak i twórczością Auguste'a Perreta. Istotą architektury tego budynku stało się konsekwentne zachowanie zasady symetrii, co wynikało z przekonania projektanta, że architektura jest sztuką równowagi brył.

Z Niepokalanowa, kierując się na północ, jedziemy do wsi **Zawady**. Dla tych, który lubią neostyle, niespodzianką będzie kościół stojący w tej wsi, utrzymany w duchu ceglanej architektury średniowiecza z elementami inspirowanymi romanizmem i gotykiem. Świątynia nie jest duża, ale jej wieża góruje w pejzażu, zaś wnętrze przesycone jest barwnym światłem przechodzącym przez witraże. Warto dodać, że w kościele znajduje się duże mauzoleum rodu Karnkowskich. Do rodziny tej należał m.in. usytuowany kilka kilometrów dalej pałac w **Łazach**. Szosa biegnie wzdłuż dawnej alei lipowej, noszącej dziś imię Fryderyka Chopina. Sam pałac w Łazach sprawia obecnie smętne wrażenie. Rezydencja powstała w drugiej połowie XVIII w. dla Onufrego Bromirskiego, by z czasem stać się własnością Karnkowskich. Pozostawała w ich rękach do końca II wojny światowej. Jak opowiadała mi pani Maria Karnkowska, aż do lata 1944 r. w pałacu znajdowały się cenne dzieła sztuki. Gdy ze wschodu zbliżał się front, Karnkowscy spakowali cenne zabytki, w tym srebra, i przewieźli je do kamienicy przy Kredytowej w Warszawie, sądząc, że w tym miejscu będą bezpieczniejsze. Tak się jednak nie stało – dom przy Kredytowej spłonął w czasie Powstania Warszawskiego, a zdeponowane srebra stopiły się w jedną bryłę.

Z Łazów jest już bardzo blisko do Żelazowej Woli, znajdującej się na trasie popularnych wycieczek z Warszawy. To tutaj w 1810 r. urodził się Fryderyk Chopin. W parku zachwyca romantyczny dwór. Warto jednak pamiętać, że w chwili narodzin Chopina nie było tu dworu, lecz kryta strzechą oficyna w majątku Skarbków. Rodzice Chopina, Mikołaj i Justyna Tekla z Krzyżanowskich, zajmowali w niej kilka izb. Dopiero w latach międzywojennych budynek został gruntownie przebudowany na muzeum. Wtedy też założono park, starannie zaprojektowany i zrealizowany w 1937 r. wg projektu Franciszka Krzywdy-Polkowskiego. Wielka zmiana miała miejsce w 2010 r., kiedy to przy okazji 200. rocznicy urodzin kompozytora cały kompleks został zmodernizowany, park zaś starannie odrestaurowany i unowocześniony. Powstały też nowe pawilony, wyróżniające się znakomitą architekturą projektu jednego z najwybitniejszych współczesnych architektów polskich, Bolesława Stelmacha z Lublina.

W Żelazowej Woli Chopin się urodził, w pobliskim Brochowie na wschodnim brzegu Bzury brali ślub jego rodzice, zaś 23 kwietnia 1810 r. ochrzczono tu przyszłego kompozytora. Tutaj też w roku 1832 starsza siostra Frycka, Ludwika, zawarła małżeństwo z Józefem Kalasantym Jędrzejewiczem. Jednym z najcenniejszych zabytków Mazowsza, który swój dobry czas miał przed 10 laty, przy okazji 200. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina, jest kościół

CO MI W DUSZY GRA

Już od 4 lipca aż do końca października w godz. od 10 do 18 w Domu Urodzenia Fryderyka Chopina w Żelazowej Woli można obejrzeć wystawę: *Co mi w duszy gra. Chopinowi Duda Gracz*, prezentującą 34 spośród ponad 300 prac artysty zainspirowanych twórczością największego polskiego kompozytora. Wystawa pokazywana jest w pawilonie wystaw czasowych Preludium. Obrazy malowane techniką mieszaną – tempery z akwarelą – powstawały przez cztery lata w 92 miejscowościach. Zgaszona kolorystyka, rozmycie, często fantastyczne potraktowanie krajobrazu tworzą pomost między wyobraźnią Dudy Gracza a poetyckością muzyki Chopina. Sam artysta tak mówił o swojej twórczości: „Mnie zawsze inspirowała wyłącznie Polska. Ja jestem nieuleczalnie chory na Polskę. Cykl chopinowski to nie ilustracje, lecz inspiracje. Podjęcie próby przełożenia dźwięków na barwy to także złożenie hołdu ukochanemu kompozytorowi".

w **Brochowie**. Świątynię podówczas odrestaurowano i zrekonstruowano wystrój architektoniczny wnętrza. Ceglana budowla jest zabytkiem XVI stulecia. Jeszcze gotycka tradycja budowania ściera się tu z dość prowincjonalną recepcją renesansu. Efekt jest jednak znakomity. Kościół był nie tylko domem Bożym, lecz także budowlą obronną. Powstał mniej więcej w tym samym czasie co kolegiata w Pułtusku i renesansowa katedra w Płocku. Jego

Nad polami wsi Zawady góruje wieża neogotyckiego kościoła pw. św. Doroty

XVI-wieczny kościół pw. św. Rocha i św. Jana Chrzciciela w Brochowie, miejsce chrztu Fryderyka Chopina

realizację zaczęto w 1551 r. z fundacji wojskiego warszawskiego Jana Brochowskiego. Unikatowe, długie, tunelowe wnętrze przekryto wspaniałym sklepieniem. Runęło w czasie I wojny światowej. Odbudowane je, ale już bez dawnych polichromii. Wraz z dekoracjami sztukatorskimi zostały one przywrócone dopiero w trakcie wspomnianych prac remontowych. Niestety, nie miał tyle szczęścia dwór w Brochowie. Zbudowany ok. 1820 r. przez rodzinę Lasockich, później rozbudowany, uległ dewastacji. Jak pisali Jaroszewski i Baraniewski, mieszkali w nim okoliczni chłopi, którzy rujnowali go stopniowo. W latach 70. obiekt nie miał już dachów i stropów. Niszczał, pozbawiony ochrony konserwatorskiej. Nowe, lepsze czasy miały nadejść dla dworu w 1987 r. Wtedy to Stowarzyszenie Architektów Polskich rozpisało konkurs na odbudowę obiektu, połączenie go z nowym budynkiem i stworzenie tu Centrum Dydaktycznego Towarzystwa im. Fryderyka Chopina. Do realizacji skierowano projekt Czesława Bieleckiego i Jerzego Heymera. Skończyło się na rozbiórce resztek zabytkowych murów i wystawienie w ich miejscu w stanie surowym kopii zburzonego dworu. Potem prace stanęły. Sytuacji nie zmieniła rocznica Chopinowska w 2010 r. ani zakupienie obiektu przez Wojskową Akademię Techniczną. Być może kiedyś wróci tu życie, na razie jednak budynek ponownie popada w coraz większą ruinę.

Dużą atrakcją tych terenów jest Sochaczewska Kolej Wąskotorowa. Jej tory biegną przez Brochów z Sochaczewa do stacji Wilcze Tułowskie. Całkowita długość trasy wynosi obecnie 18 km. Pierwotnie kolej sochaczewska liczyła 33 km i biegła wzdłuż wschodniego brzegu Bzury w okolice Wyszogrodu, znajdującego się już po drugiej stronie Wisły. Linia, zbudowana w niepodległej Polsce, w początku lat 20. XX w., służyła nie tylko do przewożenia drewna z Puszczy Kampinoskiej, lecz także pasażerów. Wagony pasażerskie zaczęły kursować tu w 1922 r. Warto przypomnieć, że w latach międzywojennych linie kolejek wąskotorowych przebiegały także w sąsiedztwie miejscowości ciągnących się na południe od Puszczy Kampinoskiej, niedaleko opisywanych wyżej pałaców. Wykorzystywane były głównie do przewożenia towarów przez okoliczne folwarki, cukrownie czy cegielnie. Kolejka sochaczewska regularnie przewoziła pasażerów do roku 1984. Dziś jest już tylko atrakcją turystyczną. Można wybrać się nią na wycieczkę i dotrzeć do Tułowic. Na stacji Sochaczew urządzono Muzeum Kolei Wąskotorowej.

Tułowice to ostatni przystanek na naszej trasie. Tutaj, w gęstwinie drzew, ujrzymy wspaniały klasycystyczny dwór. Stanowi dziś własność prywatną. Można do niego zajrzeć jedynie w grupie, po wcześniejszym uzgodnieniu. To kolejna na naszej trasie budowla, której pierwotny wygląd przypisywany jest architektowi Hilaremu Szpilowskiemu. Jak pisali Jaroszewski i Baraniewski, obiekt zbudowany został ok. 1800 r. prawdopodobnie dla Franciszki z Lasockich *primo voto* Karnkowskiej, *secundo voto* Kucharskiej. „Na nieprzeciętną urodę dworu tułowickiego składają się w pierwszym rzędzie znakomite proporcje i wielka powściągliwość architektury, świadczące o talencie projektodawcy. Najbliższą mu budowlą jest niezawodnie dwór w Czerwonce, dziś w granicach Sochaczewa, wzniesiony w tym samym czasie" – przekonywali Jaroszewski z Baraniewskim.

Dwór miał wyjątkowo wiele szczęścia. Nie uległ zniszczeniu ani w trakcie działań I, ani II wojny światowej, chociaż nad Bzurą toczyły się wyjątkowo zaciekłe walki, zarówno na przełomie 1914 i 1915 r., jak i we wrześniu roku 1939. Za to skutecznie zdewastowała go Polska Ludowa. Po latach gospodarki „uspołecznionej" zamienił się w ruinę z dziurami w dachu i oknami zabitymi deskami. Jego los odwrócił się w 1980 r., kiedy kupił go malarz Andrzej Novak-Zempliński. Odbudował zabytek, przywracając mu niezrównany klimat architektury klasycyzmu, i już w 1986 r. otrzymał zaszczytną nagrodę Europa Nostra przyznawaną dla uhonorowania działań na rzecz zachowania dziedzictwa kulturowego. ■

Portyk kolumnowy dworu w Tułowicach

Całkowita długość trasy Sochaczewskiej Kolei Wąskotorowej to dziś 18 km

Niebieskim szlakiem do **zielonego** Skolimowa

Adrian Sobieszczański

Warszawa w drugiej połowie XIX w. przeżywała rozwój demograficzny. W ciągu 30 lat, między rokiem 1882 a 1914, liczba mieszkańców miasta zwiększyła się z 380 do 880 tys. *Boom* demograficzny oraz rozwój infrastruktury miejskiej i przemysłowej zmieniały charakter stolicy. Przekształcenia te zachodziły w mieście przeludnionym i duszącym się w gorsecie carskich fortyfikacji. Coraz więcej mieszkańców miało przy tym świadomość dobroczynnych skutków obcowania z przyrodą

Najbogatsi jechali do znanych europejskich kurortów, inni do Zakopanego, Sopotu, Krynicy-Zdroju czy Kołobrzegu. Ci, którzy nie chcieli bądź z przyczyn finansowych nie mogli wyjeżdżać tak daleko, jako cel swoich mikropodróży wybierali Nałęczów, Ciechocinek czy Otwock. Prasa zauważała, że wraz z nastaniem lata miasta wyludniały się, zaś podmiejskie wilegiatury zaczynały tętnić życiem.

Jednym z bodźców przyczyniających się do rozwoju podwarszawskiej turystyki na przełomie XIX i XX w. było uruchomienie Kolei Wilanowskiej. Wąskotorowa kolejka, przeznaczona do zbiorowego transportu, powstała w 1891 r. Inicjatorami byli Wiktor Magnus i inż. Henryk Huss. Do granic dzisiejszego Konstancina, czyli do stacji Klarysew, kolejka dotarła w 1895 r. Jesienią następnego roku Koleją Wilanowską można było dojechać do Skolimowa. Dzisiaj do Konstancina można wybrać się rowerem – i to rowerowymi szlakami turystycznymi. Najpopularniejszy jest szlak niebieski, na który możemy wjechać w Ursynowie i dalej ruszyć w stronę Góry Kalwarii i Czerska terenami nadwiślańskimi. Po drodze szlak przechodzi przez centrum Konstancina-Jeziorny.

Będący od ponad 60 lat częścią Konstancina-Jeziorny malowniczy Skolimów należał w XIX w. do rodziny Prekerów. Za udział w powstaniu styczniowym Piotr Preker został zesłany na Sybir, a jego majątek skonfiskowano. Do rodziny dobra skolimowskie powróciły dopiero w 1879 r., kiedy to udało się je odkupić podczas licytacji. Przełomową datą w historii miejscowości był rok 1897 – dobra Skolimowa, podobnie jak pobliski Konstancin, zostały rozparcelowane z myślą o utworzeniu tu letniska. Pod teren miejscowości kuracyjnej przeznaczono las. W 1900 r. letnisko już funkcjonowało. W początku XX w. rozróżniano dwa typy podwarszawskich miejscowości wypoczynkowych. Do pierwszej grupy należały te z całym szeregiem wygód, jak nowoczesna infrastruktura, wodociągi, kanalizacja, wspaniała architektura czy nowinki techniczne: oświetlenie elektryczne oraz sieć telefoniczna. Do takiego typu letnisk pretendował Konstancin, który określano jako wczasowisko urządzone z przepychem. Wszystko to miało być oczywiście dodatkiem do natury, czyli niesamowitych walorów przyrodniczych Konstancina – czystego powietrza, lasów i malowniczej wstęgi Jeziorny. Drugi rodzaj podwarszawskich letnisk stanowiły te, w których walory przyrodnicze stawiano na pierwszym miejscu, a sama miejscowość mogła dawać przedsmak prawdziwej wsi. Taki był Skolimów, położony wśród lasów, na piaszczystych gruntach nad rzeką Jeziorną. Oddalony zaledwie 18 km od Warszawy, stawał się coraz modniejszy i przyciągał warszawiaków, choć przy wspomnianym sąsiednim Konstancinie wypadał blado. W krótkim czasie Konstancin i Skolimów wiodły już prym wśród podwarszawskich letnisk, ale odpowiedzi na pytanie, czy była to wyłącznie zasługa klimatu, czy też sprawnego zarządzania, nikt nie znał.

Skolimów upodobali sobie przedstawiciele warszawskiej finansjery, kupcy, przemysłowcy, przedstawiciele wolnych zawodów oraz artyści. Oczywiście nie wszyscy mogli sobie pozwolić na budowę własnej willi, toteż miasteczko przyciągało pensjonatami, do których w niedługim czasie zaczęli przyjeżdżać także mniej zamożni bywalcy i kuracjusze.

Do rozpromowania Skolimowa przyczynił się jeden z najbardziej znanych warszawskich redaktorów początku XX stulecia, Władysław Buchner. Przez ponad 50 lat był on redaktorem czasopisma „Mucha” – satyrycznego tygodnika związanego z endecją. Tygodnik był w rzeczywistości czasopismem polityczno-satyrycznym. Niektórzy autorzy „Muchy” pozostawali anonimowi, a i samo czasopismo w latach niepokojów społecznych 1905-1907 ukazywało się pod zmienionym, konspiracyjnym tytułem. W tym czasie represje wymierzone w prasę nie kończyły się na zamknięciu tytułu. W 1906 r. Władysław Buchner został zmuszony do opuszczenia Warszawy, ale w 1920 r. pracował w Urzędzie Propagandy Inspektoratu Armii Ochotniczej. Urząd skupiał wybitnych ludzi pióra i teatru. Obok Buchnera odnotować możemy tam nazwiska Żeromskiego, Makuszyńskiego czy Szyfmana. Zajmowali się redagowaniem pism, ulotek czy opracowywaniu treści plakatów. W 1903 r. na terenie Skolimowa powstała **willa „Mucha” (ul. Moniuszki 7)** zaprojektowana przez Jana Heuricha mł. Obiekt jest przykładem recepcji stylu witkiewiczowskiego i stanowi doskonały przykład połączenia murowanej formy z elementami snycerki, drewnianymi werandami oraz szczytami będącymi charakterystycznymi elementami tatrzańskiego budownictwa. Budowa willi przypadła na początek pobytu i pracy twórczej Heuricha w Warszawie. Zastosowanie w podwarszawskim letnisku nowego, bo przecież w tym samym czasie wprowadzanego przez Witkiewicza stylu było odważnym, ale bardzo udanym krokiem w poszukiwaniu i upowszechnianiu rodzimych form architektonicznych.

Prawdopodobnie według projektu Jana Heuricha mł. powstała też **willa Helunin (ul. Józefa Sułkowskiego 7)**. Eklektyczny budynek, wzniesiony nad brzegiem Jeziorki, został ubrany w szatę renesansowo-klasycystyczną. Posiadłość należała do przemysłowca, barona Aleksandra Zacherta, wywodzącego się z angielskiego rodu, który w drugiej połowie XVIII w. osiadł nad Wisłą. Zachertówka, bo tak nazywano posiadłość, była miejscem wypoczynku wielu gości. Do ich dyspozycji pozostawał park, który przechodził w sosnowy las. Właścicielom udało się przetrwać okres okupacji w Skolimowie, jednak już w 1944 r. zostali stąd wysiedleni. Również w okresie powojennym nie dane im było powrócić do swojej posiadłości. Niszczejąca willa Zachertów przez lata była smutnym cieniem samej siebie.

Skolimowskie parki to temat na osobny artykuł; były one nie tylko integralnym elementem każdego założenia, lecz same w sobie stanowiły element lokalnego krajobrazu. Rezydencji czy pensjonatów nie otaczano murami, zatem przestrzeń publiczna zlewała się z prywatną, a wypielęgnowany ogród, duma właściciela, był tym, czym chętnie się chwalono. Wygranym w tej rywalizacji było przede wszystkim letnisko – zachwycające zadbaną zielenią przez większą część roku.

W 1909 r. rozpoczęła się historia innej skolimowskiej posiadłości, **willi Zagłobin (ul. Sułkowskiego 1)**, stanowiącej własność rodziny Seydlów. Dom, nawiązujący swoją architekturą do form znanych z ówczesnych uzdrowisk,

Kościół pw. Matki Bożej Anielskiej w Skolimowie

Willa Mucha przy ul. Moniuszki 7

Willa Tabita przy ul. Długiej 43

Zdjęcia: A. Sobieszczański

Willa Zagłobin przy ul. J. Sułkowskiego 1

był najokazalszym budynkiem letniska. Eklektyczna willa Hugona Seydla stanowiła przez lata centrum kulturalnego życia Skolimowa. W parku otaczającym willę organizowano liczne koncerty i przedstawienia dla mieszkańców i gości. Nazwa Zagłobin nie bez przyczyny przywodzi na myśl Sienkiewiczowskiego bohatera. Do Zagłoby często odnosił się Hugo Seydel, być może identyfikujący się z nim. Przed I wojną światową warszawska firma Ulrychów urządziła przy skolimowskiej rezydencji park w stylu angielskim, ze sztucznym stawem, dostępny dla wszystkich. Można było tu spotkać oswojone sarny, po stawie pływały łabędzie. Z rodziną Seydlów związana jest jeszcze jedna inwestycja w Skolimowie – zakład przyrodoleczniczy zwany od imienia fundatora **Hugonówką (ul. Mostowa 7**). Budynek, projektu Karola Kozłowskiego, został wzniesiony na granicy Skolimowa i Konstancina. Był to pierwszy tego typu na terenie letniska pensjonat o charakterze przyrodoleczniczym. Proponowano tu zabiegi wodoleczncze i inhalatorium. Wszystko pod okiem wykwalifikowanego personelu medycznego.

Z inną skolimowską willą – o nazwie **Wersal (ul. Środkowa 27**) – związana jest historia jednej z największych gwiazd warszawskiej operetki, „słowika Warszawy": Wiktorii Kaweckiej. Zwana Kawunią, była ikoną stylu. Mało znanym faktem z życia primadonny jest to, że walczyła jak lwica o linię, często objadając się południowymi owocami, rzekomo zapobiegającymi otyłości. Zamiast dietetyków radziła się modystek. Nie brała udziału w popołudniowych próbach, bo dezorganizowały jej dzień pracy. Uwielbiała brylanty, których miała ponoć sporą kolekcję, ale najbardziej nietuzinkowy prezent sprawił jej warszawski cukiernik, Eugeniusz Gwizdalski. Primadonna została obdarowana willą. Wybudowany w 1909 r. dom swoją nazwę zawdzięczał firmie Gwizdalskiego – Versailles. Pod takim szyldem otwierał on swoje warszawskie cukiernie i piekarnie. Zapewne był to prezent bardziej trafiony niż podarowana gwieździe przez pewnego generała armii austro-węgierskiej... waga. Choć trzeba podkreślić, że przedmiot był unikatowy, bo jego producent, Lubelska Fabryka Wag, skonstruował go w 1898 r. na Wystawę Światową w Paryżu w 1900 r. Do dziś waga ta ozdabia park Ujazdowski w Warszawie.

Spokojnie upłynęła w Skolimowie I wojna światowa. W 1917 r. niemieckie władze okupacyjne przyznały obu osadom status uzdrowisk. Tym samym zakończyło działalność Towarzystwo Akcyjne Ulepszonych Miejscowości Letniczych, zarządzające dotychczasowym letniskiem. Mniej więcej w połowie lat 20. odnotowano w Skolimowie spowolnienie ruchu budowlanego. Chociaż ceniony ze względu na walory przyrodnicze, był z czasem notowany coraz niżej w porównaniu z pobliskim Konstancinem. Z kolei nad obydwoma tymi uzdrowiskami górowały pensjonaty ulokowane wzdłuż linii otwockiej.

W latach 20. XX w. powstał niewielki budynek stacji kolejowej Skolimów. Na niedużej przestrzeni mieścił kasę i poczekalnię. Do budynku przylegał skromny ogród. Ciekawym przedsięwzięciem w Skolimowie w tym okresie była budowa ośrodka parafii ewangelicko-augsburskiej św. Trójcy. **Dom Nowicjatu Sióstr Ewangelickich Tabita (ul. Długa 43**) został zaprojektowany przez wybitny duet architektoniczny: Bohdana Lacherta i Józefa Szanajcę. Gmach z 1929 r. poddano rozbudowie w latach 1932-1933. Ośrodek prowadził działalność opiekuńczą i stanowił zaplecze szpitala ewangelickiego w Warszawie. W okresie powojennym parafia ewangelicko-augsburska prowadziła w budynku działalność opiekuńczą.

Oprócz architektury o charakterze willowym i uzdrowiskowym wartym uwagi jest w Skolimowie **kościół pw. Matki Bożej Anielskiej przy ul. Środkowej 15**. Budowa świątyni była możliwa m.in. dzięki fundacji Wacława Prekera, wspomnianego właściciela dóbr skolimowskich. Jednonawowy kościół został zaprojektowany przez Bronisława Brochwicza-Rogóyskiego. Świątynia uzyskała niemal „baśniową" architekturę. Prace prowadzone w kolejnych latach były związane z wystawieniem nowej wieży, jednak najważniejsze działania przy kościele przeprowadzono w latach 1930-1933. Obiekt rozbudowano, przystosowując go do potrzeb poszerzającego się grona wiernych. W wyniku rozbudowy stracił on swój pierwotny, malowniczy charakter, będący dziełem Rogóyskiego. Oficjalnie, dekretem z 5 października 1923 r., parafia została erygowana, a jej proboszczem został ks. Antoni Konieczny.

Zdjęcia: A. Sobieszczański, Wirtualne Muzeum Konstancina

Willa Hugonówka, przed 1939 r., dzisiejszy adres ul. Mostowa 7

Dzisiaj pierwszym skojarzeniem związanym ze Skolimowem jest znajdujący się tu **Dom Artystów Weteranów Scen Polskich (ul. Pułaskiego 6**). Chociaż idee stworzenia schroniska dla artystów powstawały już wcześniej, to dopiero w 1897 r. Wacław Preker zdecydował się przekazać parcelę na ten cel. Tutejszy mikroklimat miał ponoć wpływać na samopoczucie pensjonariuszy, a w konsekwencji przyczyniać się do osiągania tu przez artystów sędziwego wieku. Budowę schroniska postawił sobie za cel Antoni Bednarczyk, aktor i reżyser Teatrów Rządowych. Do dnia dzisiejszego nazywany jest Wielkim Jałmużnikiem Aktorstwa Polskiego, a przyczyniły się do tego właśnie jego działania służące budowie przyszłego schroniska. Organizował loterie i bale, opodatkował także turnieje karciane rozgrywane w teatralnych kuluarach. Na ziemi podarowanej przez Prekera ogrodnik Teodor Chrząński zaprojektował ogród, zaś dwa projekty schroniska wykonał Jerzy Mikulski. Przełom stanowił moment rejestracji komitetu budowy schroniska, w 1912 r. W tym samym roku na ogrodzonym terenie postawiono domek ogrodnika.

W niepodległej Polsce starania o powstanie domu zaczęto niemalże od nowa, a działaniami tymi kierował Związek Artystów Scen Polskich, któremu przekazano własność ziemi oraz zbierane przez ostatnie dwie dekady fundusze. Gmach, którego fundamenty poświęcono w kwietniu 1925 r., powstawał bardzo szybko i już jesienią zawieszenie wiechy stało się powodem do dumy. Brakujące środki umożliwiające dokończenie budowy wpłacali aktorzy z kraju i zagranicy. Pola Negri przekazał 650 dolarów, organizowano imprezy i rozprowadzano cegiełki, pomagały też warszawskie firmy, np. firma Józefa Fregata przekazała zestawy platerów, firma Jana Felsta – miotełki, szczotki i wycieraczki do butów, zaś meblarska firma Zdzisława Szczerbińskiego – piękne meble biblioteczne. Już 13 kwietnia 1927 r. schronisko zostało uroczyście otwarte, a kilka dni później do Skolimowa przeprowadzili się pierwsi pensjonariusze. Od dziesięcioleci Dom Artystów Weteranów Scen Polskich jest prawdziwym domem dla aktorów teatralnych i filmowych, wyrazem troski o polską kulturę i pięknym gestem podziękowania tym, którzy bawią i wzruszają pokolenia.

Ostatnia wojna przyniosła wysiedlenia mieszkańców Skolimowa i Konstancina. Zajęcie wielu budynków przez niemieckich dygnitarzy, oficerów i żołnierzy paradoksalnie przyczyniło się do przetrwania zabudowy miejscowości. W wyniku powojennych zmian administracyjnych w 1952 r. powstał Skolimów-Konstancin, zaś w 1969 r. połączono go z Jeziorną, tworząc nowy ośrodek miejski – Konstancin-Jeziorna – w skład którego wchodzi obecnie Skolimów. Dzisiaj to przede wszystkim urocza miejscowość położona zaledwie kilkanaście kilometrów od centrum miasta, która przenosi nas w atmosferę dawnego podwarszawskiego letniska, będącego mieszanką architektonicznych stylów i historii, stanowiącej również fragment dziejów samej stolicy.

Willa Wersal przy ul. Środkowej 27

Adrian Sobieszczański – historyk, licencjonowany przewodnik miejski, pasjonat polskiej wojskowości i architektury, współtwórca projektu *Warszawy historia ukryta*

Willa Lodusieńka przy ul. Herbacianej 6

Czarowna linia otwocka

Katarzyna Komar-Michalczyk

To nawet nie jest wycieczka poza miasto. Szlaki rowerowe zaczynają się i kończą na terenie dzielnicy Wawer, podobnie ścieżka rowerowa, biegnąca po zachodniej stronie torów tzw. linii otwockiej, niemal równolegle do nich. Zaczyna się przy stacji Anin i można nią dojechać aż do Falenicy. Dopiero tuż przed Józefowem miniemy tablicę z przekreślonym napisem *Warszawa*, oznaczającą, że opuszczamy stolicę

Oczywiście kiedyś było inaczej. Stanowiąca fragment trzeciego odcinka Drogi Żelaznej Nadwiślańskiej, zwanej Koleją Nadwiślańską, linia otwocka, nazywana przez korzystających po prostu „linią", ciągnęła się przez wówczas podwarszawskie miejscowości. W 1914 r. jej przebieg wytyczały przystanki i stacje: Wawer, Radość, Miedzeszyn, Falenica oraz – także obecnie poza granicami Warszawy – Michalin, Józefów, Jarosław, Świder i Otwock. Rozwój komunikacji kolejowej na odcinku Wawer-Otwock przyczynił się na przełomie XIX i XX w. do rozpowszechnienia się nowego zjawiska kulturowo-społecznego na tych terenach – warszawiacy poddali się modzie na spędzanie wolnego czasu z dala od przeludnionej stolicy, a w niedużych odległościach od przystanków i stacji kolejowych zaczęto budować pensjonaty i wille – najpierw na użytek własny, potem coraz częściej pod wynajem.

Powstawały obiekty zarówno murowane, jak i drewniane. Te pierwsze realizowano najczęściej z użyciem form historycznych: najpierw na fali ogólnoeuropejskiego historyzmu i eklektyzmu końca XIX w., potem coraz częściej z użyciem form rodzimych, polskich, najchętniej odwołujących się do renesansu lub w tzw. stylu dworkowym, rzadziej secesyjnych czy – w dwudziestoleciu międzywojennym – modernistycznych. Pasmo otwockie słynie jednak głównie z obiektów wzniesionych z drewna. Różnią się one od drewnianego budownictwa innych rejonów Mazowsza i z tego względu traktowane są jako odrębne zjawisko architektoniczne, a także kulturowe, społeczne i ekonomiczne. To tzw. świdermajer, za którego twórcę lub współtwórcę popularnie uznaje się Michała Elwira Andriollego – pod koniec XIX w. założył on w okolicach Otwocka osadę Brzegi, z domami z drewna, z charakterystycznymi werandami i dekoracjami wycinanymi laubzegą. Samej nazwy na określenie tutejszego budownictwa użył zaś jako pierwszy Konstanty Ildefons Gałczyński. Warto nadmienić, jak podkreśla Wiktor Lach w artykule *Świdermajer – drewniana architektura podwarszawskich letnisk* (w: *Sztuka na Mazowszu. Nowe otwarcie*, red. A. Pieńkos, M. Wardzyński, Warszawa 2019), że wśród autorów drewnianych budynków pasma otwockiego byli i znamienici architekci warszawscy, np. Władysław Marconi (twórca dwóch willi przy stacji kolejowej w Otwocku; obiekty niezachowane) czy Stefan Szyller (willa przy ul. Kościelnej 19 w Otwocku, z 1888 r.; istniejąca). Zdecydowana większość autorów tej architektury pozostaje dziś jednak nierozpoznana.

W okresie międzywojennym drewnianych obiektów mieszkalnych i letniskowych naliczono na obszarze od Międzylesia do okolic Otwocka ok. 500. Dziś szacuje się, że jest ich ok. 300. W lepszym lub gorszym stanie zachowane są także wille i pensjonaty murowane. Niektóre widać dobrze z okien pociągu, inne zauważyć można, przejeżdżając przez dawne podwarszawskie letniska samochodem. Część jest zlokalizowana w pewnym oddaleniu od torów kolejowych i głównych ulic – przy bocznych, piaszczystych drogach, ukryta w głębi działek, za murami posesji, pośród zarośniętych starych ogrodów lub wszechobecnego na tym terenie lasu sosnowego. Te ma szanse „wyłapać" tylko wprawne oko. Dlatego zabytki linii otwockiej najlepiej odkrywać na rowerze.

Zdjęcia: M. Salamonowicz, R. Marcinkowski

K.I. Gałczyński

Wycieczka do Świdra

Jest willowa miejscowość,
nazywa się groźnie Świder,
rzeczka tej samej nazwy
lśni za willami w tyle,

tutaj nocą sierpniową,
gdy pod gwiazdami idę,
spadają niektóre gwiazdy,
ale nie na te wille,

spadają bez eksplozji
na biedną głowę moją,
a wille w stylu groźnym
jak stały, tak stoją –

dzień i noc; i znów nocą
nikły blask je oświetla;
cóż im *Concerto grosso*
Fryderyka Jerzego Haendla!

Te wille, jak wójt podaje,
są w stylu „świdermajer".

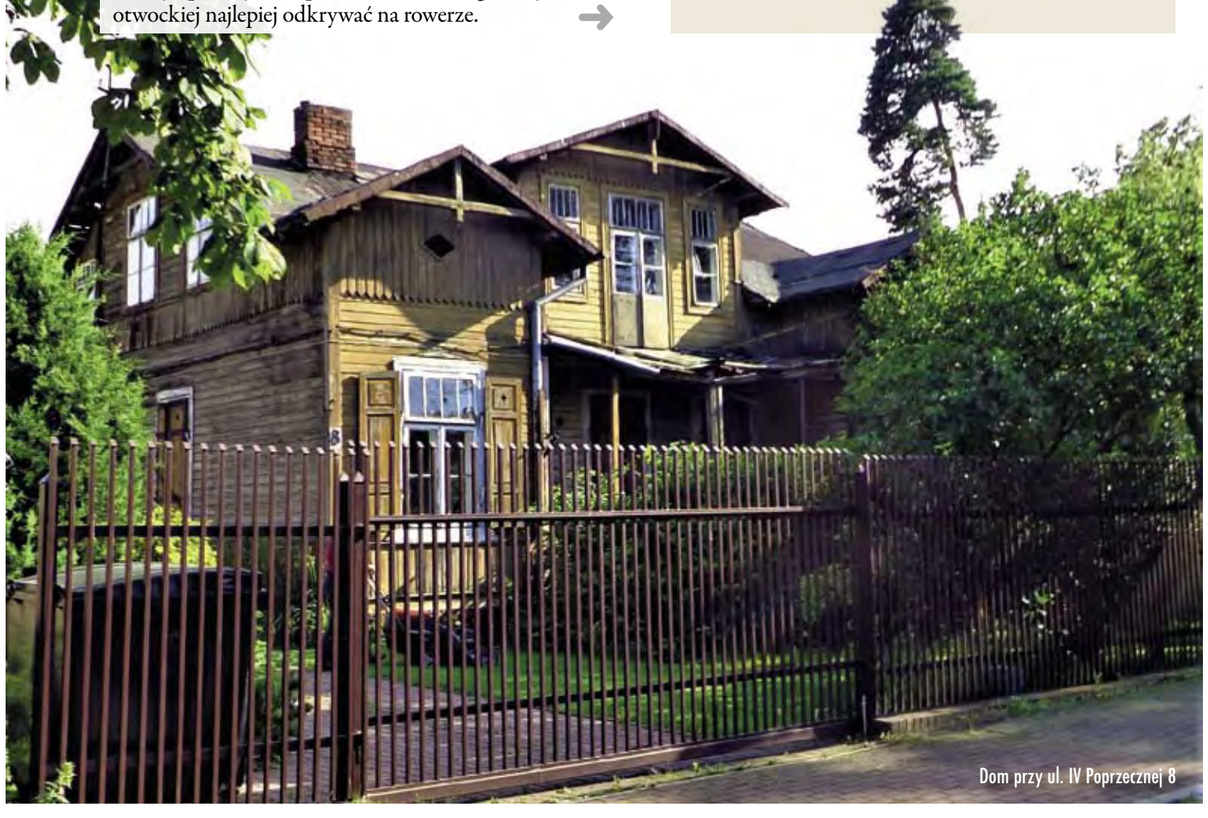

Dom przy ul. IV Poprzecznej 8

Willa Zacisze przy ul. VIII Poprzecznej 10

Willa Halina przy ul. IV Poprzecznej 5

Przy Poprzecznych w Aninie

Krążąc po krzyżujących się ze sobą pod kątem prostym uliczkach Starego Anina, z których dwanaście równoległych do ulicy Bronisława Czecha otrzymało nazwę Poprzeczna z oznaczeniami I-XII, co krok natknąć się można na przedwojenną zabudowę willową. Nie sposób opisać czy choćby wymienić wszystkie obiekty. Atmosfera dawnej wilegiatury jest tu doskonale odczuwalna do dziś.

Przy **ul. IV Poprzecznej 5** stoi jeden z najlepiej utrzymanych na tym terenie drewnianych domów, **willa Halina** z 1910 r. Parterowy obiekt, z piętrową wystawką z balkonem, poprzedza od frontu kryta dwuspadowym daszkiem otwarta weranda. Jego „skromniejszymi" sąsiadami są przy tej samej ulicy dwa drewniane domy: **nr 3A** oraz **8**. Niemal naprzeciwko, na posesji **nr 10**, stały niegdyś jeszcze dwa inne drewniaki z dwóch pierwszych dekad XX w.; mniejszy z nich, usytuowany prostopadle do ulicy, rozebrano kilka lat temu, a większy drewniaka już od wielu lat zupełnie nie przypomina – został rozbudowany i otynkowany jeszcze w latach 30. XX w. i przywodzi na myśl raczej modernistyczną willę niż dom w „stylu świdermajer". To **willa Helwitad**, nazwana tak od pierwszych liter imion niegdysiejszych właścicieli, Bogusławskich: Heleny, Witolda i Adama. W parterze do jego frontowej elewacji przylegały niegdyś dwie oszklone werandy, na dachach których zakomponowano tarasy. Dziś oglądamy smutne resztki jednej z nich. Dom znajduje się w stanie skrajnej ruiny. Niedaleko, przy **ul. VIII Poprzecznej 10**, stoi murowana willa z 1910 r. Ten wielorodzinny dom pochwalić się może malowniczym szczytem ze spływami i przeszkloną werandą w parterze, z uformowanym na jej dachu balkonem o pełnej balustradzie. Na elewacji frontowej zachowała się nazwa willi – Zacisze.

Zdjęcia: R. Marcinkowski

Jeden z najbardziej urokliwych „świdermajerów" znajduje się nieopodal, u zbiegu ulic V Poprzecznej i **ul. Trawiastej 24**. **Willa Anna**, wybudowana w 1910 r., należała do rodziny Rozdziałowskich. Jej bryłę urozmaicają dwie werandy – oszklona w parterze i otwarta na piętrze – a ich architekturę wzbogaca finezyjny detal o motywach geometrycznych i roślinnych. Położona w pewnym oddaleniu od ulicy **willa Snitkówka** (od nazwiska właścicieli Snitko-Pleszko), przy **ul. Trawiastej** 4, to kolejny wyjątkowo efektowny przykład dawnej drewnianej zabudowy linii otwockiej. Patrząc na obiekt, trudno zdecydować, czy dominującym elementem jego kompozycji jest centralny korpus mieszkalny, czy też spektakularne dwupoziomowe oszklone werandy, dostawione z trzech stron budynku. Urodzie obiektu nie oparł się Andrzej Wajda i w 1985 r. nakręcił tu zdjęcia do *Kroniki wypadków miłosnych*. Dom widać, spoza drzew, także ze ścieżki rowerowej wzdłuż ulicy Wydawniczej, na wysokości Kanału Wawerskiego. W głębi działki przy **ul. Trawiastej 16** ukryty jest kolejny „świdermajer" (bliżej ulicy stoi powojenny budynek murowany) – dom o nazwie **Osada Kazimierzówka**, z ok. 1914 r., należący niegdyś do rodziny Ruśkiewiczów. Również on „zagrał" w filmie – kręcono tu sceny *Białego tanga* (reż. Janusz Kidawa, 1981-1982) i *Tulipana* (reż. Janusz Dymek, 1986). Ten nieduży dom wyróżnia wspaniała dwukondygnacyjna weranda dostawiona do bocznej elewacji, z dekoracyjnymi balustradami i wejściem prowadzącym do środka po kilku schodkach.

Industrialnie i publicznie

Przemieszczając się z Anina w kierunku Radości ścieżką rowerową wzdłuż ulicy Kazimierza Szpotańskiego, mijamy – w centrum Międzylesia – zabudowania dawnej Fabryki Wyrobów Metalowych „Wawer" (później mieściła się tu szwedzka fabryka walców drogowych), w których w 1938 r. uruchomiła swoją filię Fabryka Aparatów Elektrycznych K. Szpotański i S-ka z Kamionka. Dziś w pofabrycznych murach działa centrum handlowe. Kazimierz Szpotański, uznawany za pioniera polskiego przemysłu elektrycznego, współzałożyciel Stowarzyszenia Elektryków Polskich, stał na czele fabryki w czasie okupacji niemieckiej; niósł pomoc załodze, mieszkańcom okolicy, żołnierzom, uczestnikom ruchu oporu, powstańcom – wszyscy oni korzystać mogli z fabrycznych schronów, stołówki i ambulatorium. W 1944 r. zakłady zostały upaństwowione i działały pod nazwą: Pierwsza Państwowa Fabryka Aparatów Elektrycznych, a później: Zakłady Wytwórcze Aparatury Rozdzielczej (ZWAR). Szpotański kierował fabryką do 1947 r.

Dalej jechać możemy rowerowym szlakiem „zielonym", który prowadzi aż do Falenicy, albo wybrać ścieżkę rowerową wzdłuż ulicy Mrówczej. Jeśli zdecydujemy się na to drugie, będziemy mijać przystanek kolejowy Międzylesie. Tu, podobnie jak na kilku innych przystankach i stacjach na trasie Warszawa-Otwock, zachowany jest pierwotny peron, rozpięta nad nim

Willa Snitkówka przy ul. Trawiastej 4

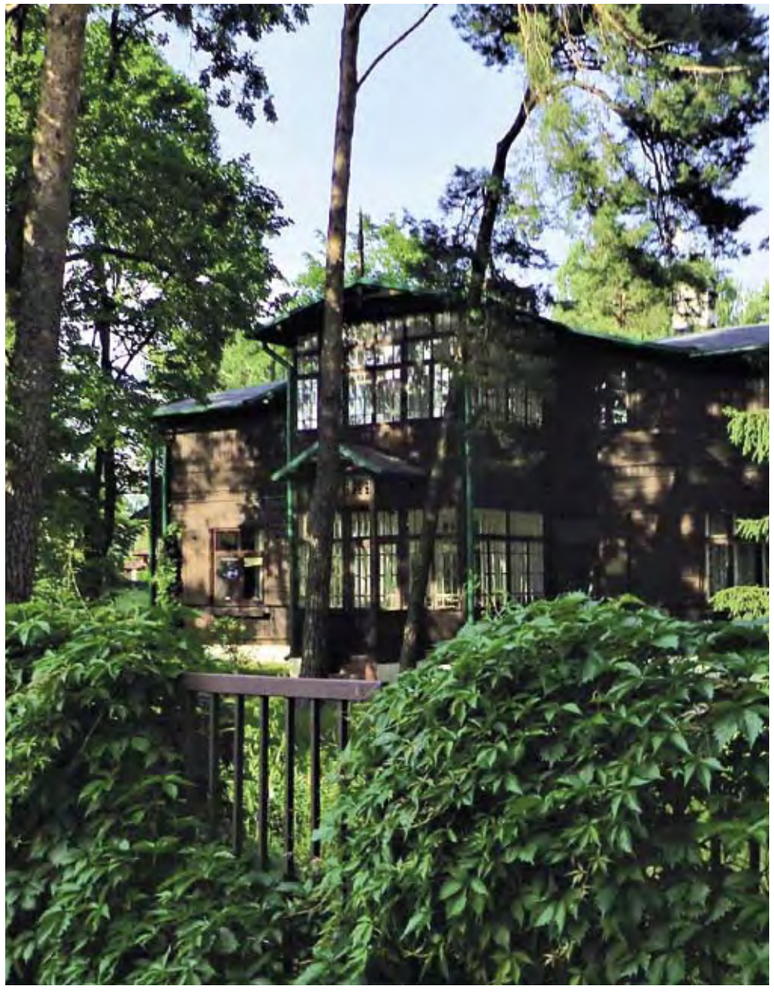

Willa Bajka przy ul. Wielostronnej 12; dziś działa tutaj Letnisko Bajka, z ofertą społeczno-artystyczną dla wszystkich zainteresowanych

łupinowa wiata z nazwą przystanku wpisaną w przyłucza wiaty z użyciem liter o charakterystycznym kroju oraz kryta poczekalnia. Autorem tak pomyślanej, jednolitej koncepcji przystanków osobowych i stacji, realizowanych potem w latach 1936-1938, był inż. Kazimierz Centnerszwer z Biura Projektów Budownictwa Kolejowego (Biura Projektów i Studiów PKP). W 2010 r. do rejestru zabytków wpisane zostały wiaty i budynki poczekalni stacji i przystanków: Radość, Miedzeszyn, Falenica, Michalin, Józefów i Świder.

Na trasie przejażdżki rowerowej szlakami i ścieżkami rowerowymi pasma otwockiego napotkamy także budynki dawnych stacji kolejki wąskotorowej z Jabłonny do Karczewa. Przed wojną kolejka ta stanowiła jeszcze jeden sposób przemieszczania się z Warszawy na tutejsze letniska. Przy **ul. Mrówczej 126** w Międzylesiu zachował się malutki, trzyosiowy budynek stacyjny. Spod wtórnych warstw farby na jego elewacji prześwituje fragment wcześniejszej nazwy miejscowości, zapisany jeszcze grażdanką – *Kaczi* (Kaczy) [Dół] oraz, już po polsku, nazwa późniejsza: *Międzylesie*. Niemal identyczne obiekty wystawiono w Radości (rozebrany, stał przy ulicy Mozaikowej), Józefowie (istnieje, obecnie o funkcjach mieszkalnych) i Karczewie (zachowany), a w wersji rozbudowanej (dwa trzyosiowe budyneczki połączone wiatą) – w Świdrze. Jarosław Zieliński w swojej książce *Stacje kolejowe Warszawa 1845-1915. Architektura i budownictwo* (Łódź 2019) prócz omówionego wyżej, najskromniejszego, wyróżnia jeszcze dwa inne typy budynków wąskotorówki jabłonowskiej. Wszystkie zaprojektowane były przez Konstantego Jakimowicza i wzniesione w latach 1913-1914 w formach klasycystycznych z odcieniem narodowym, rodzimym. Najbardziej spektakularne były zabudowania stacji węzłowych, z których do dziś zachowane są obiekty w **Wawrze (ul. Widoczna 6)** i **Otwocku (ul. Wawerska 9)**.

Przygoda życia w Radości

Jak pisze Robert Lewandowski w książce *Kronenberg, Andriolli i wilegiatura, czyli podwarszawskie letniska linii otwockiej* (Józefów 2012), w prasie warszawskiej już od (zapewne około) 1898 r. można było znaleźć ogłoszenia o mieszkaniach do wynajęcia na lato w okolicach Radości. I tu, jak w Aninie, doskonale czytelny jest dziś zarys posesji wytyczonych w drodze parcelacji.

Chyba najbardziej znanym dawnym obiektem letniskowym na tym terenie jest **willa Pod Kogutkiem**, przy **ul. Junaków 33/35**. Zbudowana w 1912 r., była jednym z pierwszych murowanych budynków w Radości. Jej masywną piętrową bryłę ujmują obustronnie dwukondygnacyjne przeszklone werandy, a wieńczy schodkowy szczyt z dekoracją z przeplecionych wieńców laurowych i wstęgą na froncie. Na szczycie stała pierwotnie figura koguta, niestety, zniknęła kilka lat temu. W 1918 r. willa została kupiona przez aktora Antoniego Fertnera i służyła mu jako letnia rezydencja. Bywali tu przedstawiciele ówczesnej elity kulturalnej i towarzyskiej Warszawy, pisarze, aktorzy, m.in. Eugeniusz Bodo, Mieczysława Ćwiklińska, Aleksander Żabczyński czy Leopold Staff.

Zdjęcie: A.M. Warchoł

Willa Lodusieńka przy **ul. Herbacianej 6** to jeden z większych gabarytowo na naszej trasie „świdermajerów". Dom wybudowany został w 1934 r. wg projektu arch. Zdzisława Mischala (projekt willi zachował się i znajduje się w rękach obecnych właścicieli). Piętrowy obiekt wzbogacają przylegające do dwóch elewacji od strony ogrodu dwukondygnacyjne, otwarte, „przepastne" – bo aż trójprzęsłowe od frontu i dwuprzęsłowe po bokach – werandy. Willa, wpisana do rejestru zabytków, została wyremontowana i niebawem otworzy tu swe podwoje prywatne Muzeum Militariów i Historii.

Przy **ul. Wielostronnej 12** stoi drewniana **willa Bajka**. Według informacji na blogu *Halo tu Wawer (i okolice)* dom, z „obowiązkową" werandą, wzniesiony został w latach 30. XX w. przez Henryka Kowalskiego, wykształconego na wydziale technicznym w Petersburgu. Kowalski wraz z żoną Janiną Benedek byli pierwszymi właścicielami obiektu. Wyremontowany kilka lat temu dom nazywa się dziś Letnisko Bajka i funkcjonuje jako otwarte miejsce społeczno-artystyczne. I w tym przypadku zachował się projekt domu – jest przechowywany przez obecnych właścicieli willi i można go oglądać. Remont obiektu przeprowadzono z zachowaniem wielu pierwotnych detali i elementów wyposażenia, m.in. pieców, klamek, okuć okiennych, a nawet porcelanowych przełączników światła. Dzięki zachowanemu projektowi znamy także budowniczego drewnianej willi o nazwie **Flirtówka** przy **ul. Drwali 9**. Jak pisze Piotr Grzegorczyk na łamach „Gazety Wawerskiej" (z 20 czerwca 2020 r.), był nim Józef Olczak. Projekt powstał w 1928 r., a pierwszym właścicielem obiektu był Maksymilian Ciechorski. Bryła domu jest prosta i nieduża, ale tym, co wyróżnia budynek, jest imponująca dwukondygnacyjna weranda od strony ulicy Drwali – przeszklona w parterze i otwarta na piętrze. Od strony ulicy Żwanowieckiej, w pewnej odległości od domu, stoi dość zagadkowa drewniana altana połączona z gankiem willi. Altana ta jest wtórnym dodatkiem – powstała na potrzeby realizowanych tu współczesnych seriali.

Przecznicę dalej od Flirtówki, przy **ul. Żwanowieckiej 120/122**, znajduje się drewniana **willa Diana**. Wspominamy ją z dwóch powodów – przede wszystkim jest to kolejny na naszej rowerowej trasie wyjątkowej urody „świdermajer", a ponadto mamy o nim szereg informacji z pierwszej ręki. Na przełomie lat 80. i 90. mieszkał w nim przez kilka lat nasz redakcyjny kolega, Jarosław Zieliński. Obiekt, którego bryłę ożywia zaprojektowana z rozmachem dwukondygnacyjna weranda na planie wielokąta, wzniesiony został w drugiej dekadzie XX w. jako letnia willa myśliwska. We wnętrzach znajdowały się kolekcja broni i liczne trofea myśliwskie. Jarosław Zieliński wspomina przyczajone w różnych kątach domu wypchane zwierzęta i ptaki, przepastne kufry pełne starych gazet, fortepian i stoliki z marmurowymi blatami, a także nieprzebrany skład starych mebli na strychu. „Kiedy połamał się któryś ze starych foteli, po prostu wyrzucało się go i szło na strych po następny" – wspomina. W domu było 11 pokojów, opalanych trzema piecami o dekoracyjnych kaflach i dwiema kuchniami węglowymi. „W zimowe miesiące wstawałem co dzień o godz. 4-5 rano, żeby napalić i ogrzać całe to piękne, ale niedostosowane do całorocznej eksploatacji domostwo. Dziś wspominam to jako przygodę życia! Nigdy przedtem i nigdy potem nie wprawiłem się w tylu różnych pracach ręcznych – było i stolarstwo, i metaloplastyka, i nawet zduństwo. Nie zapomnę wspaniałych intarsjowanych parkietów i dekoracji malarskich na stropach pokojów, «trójwymiarowych», imitujących sztukaterie" – opowiada Jarosław Zieliński.

Zaprezentowane wyżej obiekty to rzecz jasna tylko propozycje przystanków na trasie rowerowej przygody z „linią", siłą rzeczy wybrane nieco subiektywnie. Zdecydowanie zachęcamy do własnych poszukiwań i odkrywania innych niezwykłych miejsc i obiektów. Są ich setki, a niespieszne błądzenie na rowerze po wąskich niewyasfaltowanych uliczkach, a często po prostu leśnych drogach pasma otwockiego sprzyja „wyłapywaniu" przykładów dawnej zabudowy w gąszczu ogrodów i lasów. Raczej do wyjątków należą budynki utrzymane we wzorowym stanie. Większość jest skrajnie zaniedbana i z roku na rok popada w coraz większą ruinę. Bywa, że kiedy po rocznej przerwie ponownie zechcemy odwiedzić obiekt, który nas szczególnie urzekł, zobaczymy już tylko pusty plac po nim. Zaproponowaną w tym tekście rowerową wycieczkę kończymy na wysokości Falenicy. Tutaj także, jak również dalej, w Józefowie i Otwocku, zachowanych jest wiele innych, wyjątkowych obiektów dawnej zabudowy drewnianej i murowanej. Ich liczba i – częstokroć – wysoka klasa sprawiają, że jest to już temat na inną opowieść. ■

ROWEREM PRZEZ WAWER

Na terenie Wawra jest wytyczonych pięć szlaków rowerowych, oznakowanych kolorami: żółtym, czerwonym, zielonym, niebieskim i czarnym. Każdy z nich ma inną długość i stopień trudności, a ich początek i koniec zlokalizowano niedaleko węzłów komunikacyjnych. Dodatkowo w 2018 r. w ramach budżetu obywatelskiego wytyczone zostały dwa kolejne szlaki – pomarańczowy i fioletowy. Na trasie tych dwóch ostatnich znajdują się odcinki pomiaru czasu „start i stop segment". Na stronie rower.wawer.warszawa.pl można znaleźć opisy pięciu pierwszych szlaków rowerowych Wawra, a pod adresem wawer.warszawa.pl/pl/news/mapa-wawerskich-szlakow-rowerowych znajduje się mapa z tymi szlakami oraz ścieżką rowerową wzdłuż linii kolejowej (przy ulicach: Patriotów, Mrówczej, Mozaikowej). W zakładce ROWERY na mapa.um.warszawa.pl można natomiast znaleźć wszystkie siedem szlaków.

Członkowie Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów na Młocinach

Jak to się zaczęło

Sport rowerowy w dawnej Warszawie – czy nasi przodkowie również tak chętnie sięgali po dwa kółka?

Adrian Sobieszczański

Zjawisko powszechnego uprawiania sportu jest dość młode, a jego rozkwit przypada na drugą połowę XIX w. Do spopularyzowania fizycznej aktywności przyczyniło się wprowadzenie w szkołach Królestwa Polskiego w roku szkolnym 1871/1872 gimnastyki, a choć była ona przedmiotem nadobowiązkowym, sprzyjała upowszechnianiu ducha sportowego w społeczeństwie. W sporcie widziano też możliwość organizowania się, co na terenach dawnej Rzeczypospolitej, jeszcze pod panowaniem zaborców, było szansą na tworzenie stowarzyszeń. Szlak przetarli wodniacy, którzy po niemałych staraniach zalegalizowali swoją działalność w Warszawskim Towarzystwie Wioślarskim w 1882 r. (nieformalnie warszawscy wioślarze działali już cztery lata wcześniej). Po przetartym przez wodniaków szlaku poszli, a raczej pojechali, cykliści. Pierwsze welocypedy nad Wisłą pojawiły się w 1867 r., a przywędrowały do nas znad Sekwany. Nie od razu zapełniły warszawskie ulice. Zanim pojawiły się angielskie bicykle, na których kołach umieszczono gumowe obręcze, warszawiacy przyzwyczajali się do widoku trzykołowego trycyklu czy drewnianego welocypedu bez hamulców. Wspomniany bicykl do Warszawy sprowadził Emil Herżman. Rower był, jak na owe czasy, ultranowoczesnym pojazdem, sprawnie stawiającym czoło miejskim ulicznym brukom.

Członkowie powstałego w 1886 r. Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów cieszyli się dużym poważaniem. Organizowali nie tyko wyścigi, lecz również wycieczki, walnie przyczyniające się do upowszechniania wiedzy krajoznawczej. Jeśli do tego dodamy działalność publiczną, jak organizowanie zbiórek pieniędzy na cele społeczne, pomoc cyklistom w miastach prowincjonalnych, wspieranie instytucji dobroczynnych, uzyskamy pełny obraz działalności Towarzystwa, przerwany dopiero wybuchem wojny w 1914 r.

Zdjęcie: Ośrodek Karta

Reklama firmy Wacława Wyczałkowskiego

gów sportowcom i gościom przygrywała orkiestra. Mazura ze specjalną dedykacją dla cyklistów skomponował Leopold Lewandowski, a w 1895 r. Karol Namysłowski zaproponował marsz *Cyklista*. Warszawskie Towarzystwo Cyklistów prowadziło też naukę jazdy, z której warszawiacy chętnie korzystali.

Niestowarzyszeni w WTC mogli korzystać z torów ulokowanych w różnych częściach miasta – na placu Ujazdowskim, Marszałkowskiej czy Składowej (dziś Pankiewicza) – ale to siedziba Towarzystwa była centrum i symbolem sportu kołowego w stolicy. Dzisiaj mało kto wie, że jazda po warszawskich ulicach w drugiej połowie XIX w. była zakazana. Na łamach prasy warszawskiej przetoczyła się wówczas dyskusja dotycząca cyklistów na ulicach miasta. Przeciwnicy zwracali uwagę na niebezpieczeństwo, jakie stanowią dla innych uczestników ruchu. Dopiero decyzją oberpolicmajstra warszawskiego z 1896 r. zezwolono cyklistom na poruszanie się po wszystkich ulicach miasta.

Członków Towarzystwa można było zobaczyć także podczas gry w tenisa czy kręgle albo w trakcie ćwiczeń gimnastycznych. Poza sezonem, kiedy sadzawka na Dynasach zamarzała, cykliści, nie tracąc sportowego ducha, jeździli na łyżwach.

Sklep Ormonde w narożniku gmachu Filharmonii, lata międzywojenne; zdjęcie wykonał Henryk Poddębski

W zdrowym ciele zdrowy duch – brzmiało hasło sportowców. Odnosiło się nie tylko do jednostki, lecz także całego społeczeństwa. Jazda na bicyklach wzmacniała tężyznę fizyczną i dodawała energii, poza tym pozwalała po prostu spędzić czas w przyjemny sposób. W parze ze sportem szła rywalizacja. Warszawiacy pierwszy wyścig mogli obserwować już w 1869 r., w Ogrodzie Krasińskich. Na nowoczesnych rowerach z gumowymi obręczami na kołach ścigano się w 1885 r. na placu Ujazdowskim. Cykliści odczuwali jednak głód dedykowanej rowerom nowoczesnej infrastruktury i w 1892 r. rozpoczęto budowę siedziby WTC na Dynasach. Zrealizowana w błyskawicznym tempie, została otwarta jeszcze w tym samym roku. O randze Towarzystwa świadczy to, że jego członkami honorowymi byli m.in.: hr. August Potocki, hr. Edward Chrapowicki (pierwszy prezes), Paweł Reych (założyciel) czy Bolesław Prus. W 1897 r. do Towarzystwa należało 671 członków.

W siedzibie Towarzystwa można było nie tylko oddawać się ukochanej dyscyplinie, lecz także brać udział w zawodach wędkarskich organizowanych na zbiorniku wodnym. Podczas wyści-

Cyklista A. Orzechowski

Cóż może być przyjemniejszego niż wyjazd rowerem za miasto? Nasi przodkowie także byli wyznawcami tej zasady. Dlatego, nie bacząc na nakazy i zakazy, warszawscy cykliści organizowali wycieczki za miasto. Zresztą jazda w otwartej przestrzeni na ubitych drogach była o wiele wygodniejsza. Popularnymi kierunkami wycieczek były Młociny i Wilanów. W okresie letnim wyjeżdżano z ulicy Składowej na rowerach udekorowanych chińskimi lampionami. Podczas takich wycieczek organizowano amatorskie wyścigi, a także specjalne wyścigi pań. Chociaż nobliwi mieszkańcy Warszawy z niesmakiem spoglądali na kobiety na welocypedach, widok warszawianek ubranych w spódnico-spodnie, zaprojektowanych specjalnie do uprawiania tego sportu, był coraz popularniejszy. Poza tym panie nic sobie nie robiły z uwag kierowanych pod ich adresem. „Latającą diablicą" nazywano Karolinę Kocięcką – pochodzącą z Warszawy rekordzistkę rowerową i zwyciężczynię wielu rajdów organizowanych pod koniec XIX w. „Startowałam i biłam rekordy na 100, 300 i 400 wiorst. Bawiło mnie to, żyłam tym" – wspominała wielokrotna rekordzistka, która w wyścigu na trasie Moskwa-Petersburg zajęła dziewiąte miejsce.

Stawiający sobie kolejne cele warszawscy cykliści wyruszyli 16 lipca 1914 r. o godz. 4 rano z toru na Dynasach w rajd rowerowy do Paryża. Inicjatorem, a zarazem jednym z uczestników imprezy, był Marian Fuks, znany warszawski fotograf. W Paryżu cykliści mieli zameldować się 2 bądź 3 sierpnia. Przed samym Paryżem do polskich rowerzystów planowali dołączyć ich francuscy koledzy i towarzyszyć im do mety. Napięta sytuacja w Europie zmusiła jednak naszych cyklistów do powrotu do Warszawy.

Warszawiacy w bicykle mogli zaopatrywać się u licznych przedstawicieli zagranicznych firm handlowych. Uczestnicy wspomnianego wyżej rajdu jechali nad Sekwanę na rowerach modelu Hercules z warszawskiej firmy Wacława Wyczałkowskiego. Angielskie rowery firmy Humber & Co. można było z kolei kupić u generalnego przedstawiciela firmy w Warszawie przy Nowym Świecie 57. W składzie dostępne też były gumy do kół firmy Dunlop. Angielskie rowery Engineer firmy Center Engineering Works Co. oferował sklep braci Łopatinów przy ul. Rymarskiej 14. Rowery pierwszorzędnych fabryk angielskich, jak Triumph Cycles Co. czy Cycles Victor, proponowała też warszawska firma Krzysztof Brun i Syn przy ul. Senatorskiej 27.

Jednym z najbardziej znanych sklepów rowerowych w Warszawie był ten ulokowany w gmachu Filharmonii. Narożnik od strony Jasnej i Sienkiewicza, z witrynami i wejściem do składu, zaakcentowany był szyldem przedstawiającym Statuę Wolności z rowerem. Założycielem firmy był Edward Szulc. Już w młodości przejawiał duże zainteresowanie sportem rowerowym i dostrzegał braki w zakresie przemysłu rowerowego w Królestwie Polskim. Swój pobyt w Anglii, a później w Stanach Zjednoczonych wykorzystał do zdobycia wiedzy w interesującej go

Reklama American Cycle Company, firmy Edwarda Szulca, pioniera przemysłu rowerowego w Królestwie Polskim

Zdjęcia: Ośrodek Karta; „Cyklista", 1909 r.; Fedracja Bibliotek Cyfrowych

dziedzinie, pracując w fabrykach jako robotnik. W amerykańskiej fabryce dał się poznać jako wynalazca, co przyczyniło się do jego awansu. Po powrocie do Warszawy, wykorzystując doświadczenie zdobyte za oceanem, założył firmę American Cycle Company.

Rowery z warszawskiej fabryki zyskały popularność nie tylko na lokalnym rynku. Sklepy firmowe otwarto także w innych miastach Imperium Rosyjskiego. O jakości rowerów wytwarzanych przez Szulca świadczyły nie tylko detale techniczne, lecz także jakość wykonania. Prasa podkreślała, że rowery z warszawskiej fabryki były lepsze od zagranicznych. Nie bez znaczenia pozostawał fakt, że sklep ulokowany w warszawskim *City* oferował atrakcyjne ceny i sprzedaż ratalną. Wszystko w dużym stopniu przyczyniało się do wzrostu popularności sportu rowerowego wśród mieszkańców Warszawy.

Śmierć Edwarda Szulca, uważanego za jednego z pionierów przemysłu rowerowego w Królestwie, nie przerwała działalności firmy, którą później zarządzał brat Edwarda, inż. Henryk Szulc. W okresie dwudziestolecia międzywojennego w miejscu sklepu ulokował się skład innej znanej warszawskiej firmy – Ormonde, Kazimierza Lipińskiego – która przez pewien czas była przedstawicielem firmy American Cycle Company.

Aktywności cyklistów nie przerwała I wojna światowa. Patriotyczny obowiązek wobec ojczyzny spełnili oni w czasie wojny polsko-bolszewickiej, tworząc własny oddział. Działalność Towarzystwa i toru na Dynasach wznowiono w roku 1921. Było to wydarzenie w życiu cyklistów ważne, jako że udział w nim wziął sam Józef Piłsudski. Marszałek właśnie w kulturze fizycznej widział jeden z filarów nowoczesnego społeczeństwa. Dla warszawskich cyklistów i sportu kołowego nad Wisłą nadchodziły złote czasy.

Szybciej, wyżej, mocnej – hasło nowożytnych igrzysk olimpijskich przyświecało też polskim sportowcom. Oprócz zwykłej sportowej rywalizacji łączyło się z dumą z możliwości startu pod biało-czerwoną flagą. Z igrzysk olimpijskich z Paryża w 1924 r. polscy cykliści wrócili z pierwszym polskim medalem olimpijskim. Chociaż w latach 1924 i 1928 polskie drużyny torowe ustanawiały rekordy świata, jednak lata 20. były końcem kolarstwa torowego. Nadchodził czas kolarstwa szosowego, które rozpalać miało umysły kibiców przez kolejne dziesięciolecia. W latach 30. polscy kolarze nie odnosili spektakularnych sukcesów, ale jazda na rowerze z roku na rok stawała się coraz bardziej popularna, a prywatnych rowerów na ulicach Warszawy przybywało z dnia na dzień. Słowo bicykl czy welocyped w latach międzywojennych zostało wyparte i zastąpione słowem: rower – od marki Rover, kojarzonej dzisiaj głównie z produkcją samochodów, ale znanej od 1885 r. z produkcji jednośladów.

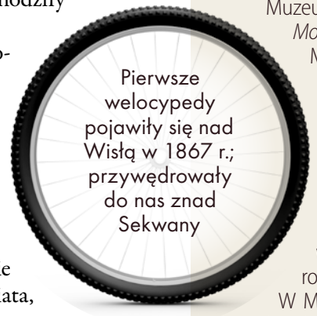

Reklama firmy Humber & Co.

W POLSCE SĄ TRZY MUZEA ROWERÓW. Jedno z nich od marca 2019 r. działa na Mazowszu – to Muzeum Polskich Rowerów w Radomiu, w postindustrialnym obiekcie przy ulicy M. Skłodowskiej-Curie. Otwarte zostało w 120. rocznicę założenia Radomskiego Towarzystwa Kolarzy. Prezentowane eksponaty w zdecydowanej większości są własnością inicjatorów Muzeum, członków Radomskiego Stowarzyszenia Retrocyklistów SPRĘŻYŚCI, kolekcjonerów, osób prywatnych oraz zakupione zostały w ramach zadania Mobilnego Muzeum Rowerów. Fundamentem powstania Muzeum był projekt Budżetu Obywatelskiego pt. *Mobilne Muzeum Rowerów* realizowany w 2017 r. Muzeum prowadzone jest przez Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji w Radomiu. Prezentowana w Muzeum wystawa *90 lat rowerów Łucznik i nie tylko* jest ściśle związana z rowerową historią Radomia i rowerami marki Łucznik, produkowanymi przez Fabrykę Broni w Radomiu w latach 30. ubiegłego wieku. Fabryka Broni stała się wiodącym, największym producentem rowerów z ofertą ponad 20 typów rowerów. W Muzeum można zapoznać się też z historią radomskiego kolarstwa od drugiej połowy XIX w. Jedno z pomieszczeń, utrzymane w klimacie z lat 30., poświęcone jest postaci olimpijczyka, mistrza kolarskiego z tego okresu, Stanisława Kłosowicza. Wśród eksponatów prezentujących ponad dwustuletnią historię kolarstwa można zobaczyć archaiczny welocyped, bicykle czy rower bambusowy. Można też przypomnieć sobie czasy dzieciństwa spędzone na składakach marek Wigry 3 i Pelikan.

Muzeum znajduje się przy ul. M. Skłodowskiej-Curie 4 w Radomiu, otwarte jest w godz. 9-17, w poniedziałki nieczynne, tel. 505 812 973.

Ogromną popularnością w latach 20. i 30. nadal cieszyły się rowery wspomnianej już firmy Ormonde Kazimierza Lipińskiego. Firma powstała w 1881 r. i jeszcze przed 1914 r. do firmowego salonu na Nowym Świecie 72 sprowadzała francuskie rowery. Największe zyski przyniósł firmie kontrakt na dostarczanie rowerów armii Imperium Rosyjskiego. Mieszczący się w gmachu Filharmonii sklep po wojnie obronnej 1939 r. Lipiński przeniósł do narożnika kamienicy Harczyka przy ul. Jasnej 10.

Popularne w Warszawie były także rowery Braci Kamińskich. Polska Fabryka Rowerów Adama Kamińskiego mieściła się przy ul. Karolkowej 16, a w latach 30. – przy ul. Wolskiej 51. W produkty firmy można było zapatrywać się w sklepie przy ul. Złotej 62. Co jednak warte odnotowania, firma produkowała ramy, a pozostałe części wyposażenia, jak siodełka czy koła, pochodziły z importu. Również przy Karolkowej swą fabrykę założył drugi z braci, Jan Kamiński, który zajął się produkcją rowerów specjalistycznych, np. turystycznych czy towarowych.

Przełomem dla rynku rowerowego stał się rok 1929, kiedy to Państwowa Wytwórnia Uzbrojenia w Warszawie (z produkcją w Radomiu) podjęła się wytwarzania jednośladów na skalę przemysłową. Roczna produkcja osiągała 80 tys. sztuk, przed wojną produkowano tu 18 typów

Reklama Fabryki Broni w Radomiu, produkującej także rowery

rowerów, w tym damskie, męskie, młodzieżowe, wyścigowe i turystyczne. Państwową Wytwórnię Uzbrojenia w Warszawie reklamował plakat z wizerunkiem łucznika i roweru. Trudno nie zauważyć inspiracji plakatem reklamującym American Cycle Company ze Statuą Wolności i rowerem. Wizerunek łucznika znajdował się też na plakietce umieszczonej na ramie roweru. Jeden z modeli radomskiej fabryki przeznaczony był dla armii polskiej. Miał wzmocnioną konstrukcję i uchwyt na mocowanie karabinu. Malowano go na kolor zielony, a elementy, które zazwyczaj były chromowane, czerniono. Rowery znajdowały się również na wyposażeniu Policji Państwowej. Podczas mobilizacji latem 1939 r. poborowi ludzi, organizowaniu koni i samochodów towarzyszyło pozyskiwanie rowerów cywilnych.

Powojenne braki w motoryzacji sprzyjały rozwojowi jednośladów. Dla stołecznych milicjantów w połowie lat 50. rower był podstawowym środkiem transportu, a prócz dwóch kółek mieli do dyspozycji zaledwie 40 motocykli i 10 radiowozów.

Wyścig Pokoju rozgrzewał amatorów sportu, stanowił oderwanie od szarej codziennej rzeczywistości Polski powojennej. Jeszcze do niedawna krajowej produkcji romet był spełnieniem dziecięcych i młodzieńczych marzeń pokoleń Polaków. Dziś w parze z niewątpliwym uwielbieniem dla jednośladów idzie powiększająca się infrastruktura rowerowa, zachęcająca do uprawiania sportu, który ma nad Wisłą niemałe tradycje.

Adrian Sobieszczański – historyk, licencjonowany przewodnik miejski, pasjonat polskiej wojskowości i architektury, współtwórca projektu *Warszawy historia ukryta*

Bolesław Fudzyński – Mistrz Jazdy Królestwa Polskiego w 1909 r.

Zdjęcia: Ośrodek Karta, Federacja Bibliotek Cyfrowych

ODPOCZNIJ NA MAZOWSZU
Wakacje z tradycją

Sposobów na poznawanie regionu jest wiele. Warto zatem skorzystać z dobrej pogody i zaplanować weekend lub urlop z rodziną na Mazowszu. Co roku Samorząd Województwa Mazowieckiego oraz związane z nim instytucje kultury przygotowują wiele ciekawych wydarzeń i atrakcji. Ich celem jest pokazanie uroków regionu, jego historii i tradycji, a także przypomnienie jak wyglądało przez wieki życie i praca mieszkańców. W regionie jest ponad 600 obiektów noclegowych, które mogą przyjąć 6,3 tys. gości. Ponad 100 z nich to kwatery agroturystyczne. Można tu nie tylko przenocować, lecz także miło i aktywnie spędzić czas.

Zastanawiasz się, jak wyglądało dawniej życie mazowieckiej wsi? Odwiedź Sierpc i poznaj tajniki pracy plecionkarza, rzeźbiarza, kowala, a także sekrety dotyczące obrabiania lnu i wyrobu masła! Barwne przydomowe ogródki, miedze z pasącymi się zwierzętami i krzątający się gospodarze sprawiają, że Muzeum Wsi Mazowieckiej cały czas tętni życiem. Sezon wiosenno-letni wypełniają tu pokazy rzemiosła i rękodzieła oraz imprezy na świeżym powietrzu. Muzeum pamięta o najmłodszych – lekcje muzealne, pokazy wiejskich zajęć, pieczenie kiełbasek przy ognisku czy przejażdżki konne to raj dla dzieci i młodzieży. Przedłuż pobyt w muzeum i zdecyduj się na wypoczynek w komfortowym Hotelu Skansen Conference&SPA. Jego nowoczesna architektura czerpie z bogactwa mazowieckiego folkloru i zachwyci zarówno miłośników designu, jak i poszukiwaczy tradycji.

Muzeum Wsi Radomskiej, ul. Szydłowiecka 30, 26-600 Radom, tel. 48 332 92 81, muzeumwsi@muzeum-radom.pl, www.muzeum-radom.pl

Muzeum Wsi Mazowieckiej, ul. Narutowicza 64, 09-200 Sierpc, tel. 24 275 28 83, 24 275 58 20 skansen@mwmskansen.pl, www.mwmskansen.pl

Chciałbyś cofnąć się w czasie? Nic prostszego. W Muzeum Wsi Radomskiej możesz nauczyć się ubijać masło, lepić garnki oraz tłuc proso i zdobyć Certyfikat sprawności pradziadka! Na powierzchni 32 ha skansenu zaprezentowano aż 16 tysięcy wyjątkowych eksponatów! Zobaczysz dawną olejarnię, młyn wodny, wiatrak, wiejski spichlerz i kurnik oraz dowiesz się, jak kiedyś wyglądały kuchnie w wiejskich chatach. Poznasz też kolekcje maszyn rolniczych, naczyń miedzianych, uli i narzędzi pszczelarskich oraz tkanin. Radomską kulturę odkryjesz również za sprawą dzieł wybitnego etnografa i folklorysty Oskara Kolberga. To właśnie tutaj masz szansę usłyszeć jedną ze spisanych przez niego lokalnych baśni, którą dzieci utrwalą w pamięci, wykonując własnoręcznie baśniową pacynkę!

Do Wiączemina Polskiego, położonego na lewym brzegu Wisły, ok. 25 km od Płocka, Olendrzy przybyli w połowie XVIII wieku. Olendrzy osiedlali się wzdłuż Wisły w miejscach mniej zaludnionych, osuszali podmokłe tereny, karczowali lasy, budowali kanały i zbiorniki retencyjne. Zajmowali się rolnictwem, hodowlą zwierząt, rzemiosłem, głównie tkactwem. Jedną z ich specjalności był wyrób powideł z buraków cukrowych. W Skansenie Osadnictwa Nadwiślańskiego można zobaczyć zabytki kultury olenderskiej, m.in. meble pokojowe i kuchenne, wyposażenie suszarni i powidlarni, sprzęty związane z przetwórstwem mlecznym, stolarką, maglowaniem. Na terenie Skansenu można zobaczyć wyremontowany dawny kościół ewangelicko-augsburski, pobliski odnowiony cmentarz, a także typowe dla osadnictwa olenderskiego zabudowania gospodarskie wraz z wyposażeniem, np. jednobudynkowy tzw. langhoff, łączący część mieszkalną ze stodołą i oborą, który został przeniesiony z miejscowości Kępa Karolińska.

Skansen Osadnictwa Nadwiślańskiego, 09-533 Wiączemin Polski 25 tel. 734 461 866 www.muzeumplock.eu/pl/skansen_osadnictwa_nadwislanskiego

Mazowsze. serce Polski

Mały **Żelechów** i wielka Warszawa

Janusz Dobrzyński OFS

Miejscowości o nazwie Żelechów jest w Polsce kilka. Dziś chcemy zaprosić do jednej z nich – miasteczka w powiecie garwolińskim, oddalonego od Warszawy o niecałe 100 km. Niewielkiego, za to z interesującymi zabytkami i bogatą historią o niejednym punkcie wspólnym z dziejami Warszawy. To gniazdo zasłużonego rodu Ciołków, gród, który wzmiankowano w XIII w. i który prawa miejskie miał już w 1447 r.

Wjeżdżamy do Żelechowa. Już z daleka, z okien autobusu czy samochodu, widzimy dwie wieże stojącego na wzniesieniu kościoła parafialnego. Warto zatrzymać się i wstąpić po drodze na parafialny cmentarz, nad którym góruje kaplica rodziny Ordęgów, dawnych właścicieli Żelechowa. Burzliwą częścią historii tego miejsca była sprawa pochowania tu Karoliny z Danglów, żony Jana Ordęgi, która była protestantką. Budowniczym kaplicy był Wincenty Merlini, wnuk Dominika. Na cmentarzu znajduje się również symboliczny nagrobek Władysława Polesińskiego – żołnierza-pilota, który we wrześniu 1939 r. przemawiał w radiu do mieszkańców stolicy po Stefanie Starzyńskim, a także był towarzyszem Juliena Bryana – amerykańskiego filmowca dokumentującego obronę Warszawy. Mało kto wie, że to właśnie od tego pilota początek wzięła tradycja Apelu Jasnogórskiego o 21 – godzinie, w której od 1931 r. Polesiński, po cudownym ocaleniu z wypadku lotniczego, stawał wraz ze swymi towarzyszami do raportu z minionego dnia przed Matką Boską.

Nasze zwiedzanie kontynuujemy w parku Miejskim, który powstał na miejscu stojącej tu do czasów II wojny światowej synagogi. Przypomina o niej kamienna tablica. Żydzi zaczęli osiedlać się w miasteczku prawdopodobnie w końcu XVI lub w XVII w. Przełom XVIII i XIX w. to czas, kiedy liczba wyznawców judaizmu i Polaków w Żelechowie była mniej więcej taka sama, potem ci pierwsi zaczęli stanowić większość. W czasach istnienia w mieście żydowskiego getta, w okresie II wojny światowej, Żydów było w Żelechowie ok. 10 tys. W końcu września 1942 r. najsłabszych przewieziono, a sprawniejszych zapędzono pieszo do stacji w Sobolowie i stamtąd wywieziono prawdopodobnie do Treblinki. Pamiątką po społeczności żydowskiej jest w mieście kirkut z zachowanymi macewami. Centralnym obiektem w parku jest popiersie Romualda Traugutta, który zamieszkiwał Żelechów w latach 1845-1853. Wspominał ten czas jako najszczęśliwsze lata swojego życia.

Kilka kroków od parku znajduje się najważniejszy z placów miasteczka – rynek im. Ignacego Wyssogoty Zakrzewskiego. Do dziś zachowane są na nim tzw. kocie łby – nawierzchnia, która pierwotnie pokrywała cały plac. Centrum rynku zajmuje odrestaurowany i przebudowany w ostatnich latach ratusz miejski z sukiennicami. Od strony kościoła umieszczono na nim godło Polski, a na przeciwległej elewacji – herb Żelechowa, którym jest łabędź (w oryginalnej wersji biały, na zielonym tle, płynący po niebieskiej wodzie). W budynku ma swoją siedzibę Urząd Miejski i biblioteka, a w sukiennicach mieszczą się sklepiki.

Drewniany kościół istniał w Żelechowie już u zarania dziejów miasteczka. Pierwszą wzmiankę o drewnianej budowli pw. św. Stanisława zawdzięczamy Janowi Długoszowi. Pod koniec XVII w. dużą część miasta, w tym kościół, strawił pożar. Uratowano obrazy *Zwiastowanie NMP* oraz *Św. Stanisław*. Później postawiono tu prowizoryczny drewniany dom modlitwy, a równocześnie zaczęto budowę murowanego kościoła. Dzieło rozpoczęte przez Stanisława Linkhauza zwieńczyli kolejni dziedzice – Stanisław i Wacław Rzewuscy. Nowy kościół otrzymał wezwanie Zwiastowania NMP i został konsekrowany w 1737 r. Srebrną monstrancję oraz dwa srebrne pozłacane kielichy przekazał kościołowi Stanisław Poniatowski, ojciec Stanisława Augusta (żelechowskiego herbu Ciołek). Koniec XIX w. przyniósł m.in. powiększenie kościoła i dobudowanie dwóch wież. W jednej z nisz bocznej ściany znajduje się rzeźba przedstawiająca Mojżesza, ufundowana przez społeczność żydowską. Nad głównym wejściem do świątyni widoczny jest napis *Venite adoremus Dominum* (*Przyjdźcie, uczcijmy Pana*). Kiedy po przejściu przez kruchtę spojrzymy na sklepienie, zobaczymy m.in. wizerunek patrona Warszawy – bł. Ładysława z Gielniowa. Centralna część ołtarza głównego to figura Chrystusa Ukrzyżowanego, wykonana z kości słoniowej. Nad prezbiterium widnieje malowidło ze sceną nawrócenia św. Pawła. Na zewnętrznej wschodniej ścianie kościoła warto zobaczyć wizerunek Matki Boskiej w otoczeniu świętych i dwóch husarzy, z 1939 r.

Zdjęcia: J. Dobrzyński OFS

Budynek ratusza

Tzw. kocie łby na rynku

Kościół pw. św. Stanisława

Budynek remizy

Kościół pw. Zwiastowania NMP w Żelechowie: fasada, wnętrze z ołtarzem głównym oraz scena nawrócenia św. Pawła nad prezbiterium

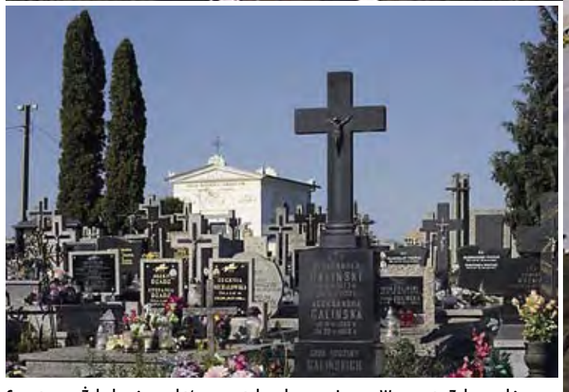

Cmentarz w Żelechowie, na którym został pochowany Ignacy Wyssogota Zakrzewski

Po przejściu przez dawny przykościelny cmentarzyk wychodzimy na ulicę Długą, główną arterię przecinającą miasto, którą wjechać tu można z Warszawy i która prowadzi dalej do Łukowa. W najstarszej lodziarni w miasteczku zjeść możemy lody. Na trasie pojawia się budynek Banku Spółdzielczego z 1913 r. Dalej mijamy Zespół Szkół Ponadpodstawowych, w którym działa jedno z najlepszych w Polsce techników geodezyjnych. Patron szkoły, Ignacy Wyssogota Zakrzewski, był właścicielem Żelechowa i dwukrotnie prezydentem Warszawy, współtwórcą Konstytucji 3 maja; pochowany jest na żelechowskim

Archiwum Pałac Żelechow

Pałac w Żelechowie od strony parku

cmentarzu. Mieszkał w otoczonym parkiem pałacu, który rysuje się zza okazałej bramy. Budowlę zaczął wznosić Jerzy Lubomirski, kontynuował prace Zakrzewski, a zakończył Jan Ordęga. Dziś w klasycystycznym, otoczonym parkiem w stylu angielskim pałacu działają m.in. hotel i restauracja. W pałacowych wnętrzach miała miejsce uroczystość weselna Romualda Traugutta i Anny z Pikielów. Józef Chudek – kolejna postać łącząca Żelechów z Warszawą – w jednej ze swoich publikacji pisał o alei Powstańców, przy której pochowano dwóch walczących w powstaniu styczniowym Polaków, zabitych przez Kozaków. Ich bezimienny symboliczny grób – dwie topole – przypominał bohaterów do czasu wybudowania w tym miejscu radzieckiego wojennego lotniska w 1944 r. Czas powstania styczniowego to także koniec dziejów Żelechowa jako miasta prywatnego.

W pałacu w Żelechowie odbyło się wesele Romualda Traugutta i Anny z Pikielów

Ulicą Szkolną, po minięciu niewielkiego osiedla, wchodzimy na ulicę Icchaka Majera Weisenberga, związanego z Żelechowem i Warszawą żydowskiego pisarza. Znajduje się tu zdrój, z którego mieszkańcy czerpali dawniej wodę. Nieopodal jest plac, w którym co wtorek odbywa się targ. Skręcamy w aleję Wojska Polskiego. To część trasy corocznej majowej procesji ku czci św. Stanisława, patrona malowniczo położonego kościółka, zbudowanego w 1740 r. przez Wacława Rzewuskiego i konsekrowanego w 1754 r. przez bp. Andrzeja Załuskiego.

Przejdźmy jeszcze raz na rynek, tym razem ulicą Kościuszki. To reprezentacyjna, efektownie oświetlona nocą ulica miasta. Stoi przy niej budynek remizy strażackiej z charakterystyczną wieżyczką, nazywanej starą remizą dla odróżnienia do nowej, w której znajduje się dziś także Ośrodek Kultury. Ze wspomnianej wieżyczki o godz. 12 rozlega się hejnał Żelechowa.

Wiele można by jeszcze pisać o Żelechowie: o zamku i ostatnich badaniach archeologicznych jego podziemnych pozostałości, o tym, dlaczego Żelechów zwany był miastem szewców, o wydarzeniach sierpnia 1920 r., o pojawieniu się w mieście podczas II wojny światowej kleeberczyków, ale też o współczesnych gromadkach uczniów idących rano do szkół, o wypowiadanym i słyszanym co i raz „Dzień dobry!" mijających się mieszkańców. To miasteczko ma niepowtarzalny urok. Warto przekonać się o tym osobiście! ■

ODPOCZNIJ NA MAZOWSZU
Wakacje z historią

– Chcemy Mazowszanom, ale też wszystkim naszym rodakom, zaproponować odpoczynek na Mazowszu. W regionie ciekawym i otwartym, w którym znajdziemy i „Wenecję Mazowsza" w klimatycznym Pułtusku, i „mazowieckie Mazury" na Pojezierzu Gostynińskim – **zaprasza marszałek województwa mazowieckiego Adam Struzik.** ***– Miłośnicy natury zachwycą się naszymi malowniczymi krajobrazami. Wystarczy zobaczyć meandry Liwca, zachód słońca w skansenie w Sierpcu czy pospacerować po jednej z mazowieckich puszcz. Ci, którzy lubią odkrywać i zwiedzać, też nie poczują się zawiedzeni. Na Mazowszu czekają liczne zabytki. Od urokliwych kapliczek rozsianych po całym regionie – po majestatyczne obiekty.***

Mazowsze to dobry kierunek zarówno na krótki weekendowy wyjazd, jak i na dłuższy wakacyjny pobyt. I to dla wszystkich – dla młodych i seniorów, dla rodzin z dziećmi, dla turystów preferujących czynny wypoczynek. Czekają na nich setki kilometrów ścieżek pieszych i rowerowych. Rajem dla miłośników wypoczywania nad wodą i żeglarstwa jest Jezioro Zegrzyńskie. Kajakarze i motorowodniacy mają do wyboru kilkanaście nizinnych rzek, z Wisłą, Narwią i Bugiem na czele. Puszcza Kurpiowska, Kampinoski Park Narodowy i parki krajobrazowe – np. Nadbużański, Kozienicki z różnorodnymi szlakami i punktami widokowymi – są do odkrycia. Wakacje to też czas na poznawanie historii regionu. Samorząd województwa mazowieckiego przygotował dla turystów kilka propozycji wędrówek, jak *Szlak Książąt Mazowieckich*, *Mazowsze na Filmowo*, *Mazowiecki szlak literacki*, *Szlak Chopinowski*. Omówienie tras i miejsc można znaleźć na stronie mazowsze.travel

Liwiec z lotu ptaka

Tegoroczne obchody stulecia Bitwy Warszawskiej z pewnością skłonią wielu turystów do peregrynacji szlakiem wydarzeń historycznych 1920 r. Podczas wojny polsko-bolszewickiej Mazowsze było areną zaciętych walk. Po miejscach z nimi związanych wiedzie *Szlak Bitwy Warszawskiej 1920*. Odniesione zwycięstwo, określane potocznie jako Cud nad Wisłą, przesądziło o wyniku wojny, zadecydowało nie tylko o losach Polski, lecz także całej Europy. 14 sierpnia 1920 r. pod Ossowem rozegrała się batalia uznana za jedno z najważniejszych wydarzeń Bitwy Warszawskiej. To właśnie tutaj, w niewielkiej wsi na Równinie Wołomińskiej, ok. 20 km od centrum Warszawy, Polacy zdołali powstrzymać marsz bolszewików na stolicę.

Ossów

13 sierpnia 1920 r. wojska radzieckie zajęły wieś Leśniakowiznę, tym samym otwierając sobie drogę do Ossowa. W obronie Ossowa stanęły dwa polskie bataliony. Przy trzykrotnej przewadze liczebnej Sowieci zepchnęli Polaków na południe, w kierunku Rembertowa, a kontratakujący z Ossowa kolejny polski batalion nie zdołał powstrzymać agresorów. O godzinie 10 dnia następnego, kiedy obrońcy utrzymywali się w ostatnich zabudowaniach Ossowa, nadeszła wyczekiwana pomoc. Od południa, z Rembertowa, przybył z odsieczą 13 Pułk Piechoty.

Dowódca czołowego batalionu pułku, por. Jan Szewczyk, przeprowadził brawurowy atak na bolszewików, z kierunku, z którego przeciwnicy nie spodziewali się Polaków, czyli znad rzeki Długiej. Cmentarz Poległych w Bitwie Warszawskiej to miejsce pamięci, gdzie w dziewięciu mogiłach (ośmiu zbiorowych i jednej pojedynczej) pochowano ok. 50 żołnierzy; wielu spośród nich miało nie więcej niż 18 lat. Pamięć walczących pod Ossowem przywołuje także pomnik z 1924 r. oraz obelisk z 1929 r. z nazwiskami poległych i napisem: *14 sierpnia 1920 r. Siedemkroć odpieraliśmy hordy bolszewickie i tu padliśmy u wrót stolicy, a wróg odstąpił...* Przy wejściu na cmentarz wznosi się pomnik Józefa Hallera.

Uzupełnieniem wycieczki śladami Bitwy Warszawskiej w okolicach Ossowa jest wizyta w Centrum Informacji Turystyczno-Historycznej, prowadzonym przez Samorządową Instytucję Kultury „Park Kulturowy – Ossów Wrota Bitwy Warszawskiej 1920 roku".

fot. Muzeum Zbrojownia na Zamku w Liwie

fot. UMiG Radzymin

Radzymin

Na trasie *Szlaku Bitwy Warszawskiej 1920* znajduje się Radzymin, na którego polach 14-16 sierpnia rozegrały się krwawe walki. Oddalony o 2 km od centrum miasta cmentarz wojskowy to jedno z najważniejszych miejsc pamięci o wojnie 1920 r. W czterech zbiorowych mogiłach spoczywają tu żołnierze, którzy ponieśli śmierć pod Radzyminem, Nieporętem i Mokrem. Na bramie wejściowej wmurowano tablice pamiątkowe ku czci walczących o miasto. W kaplicy cmentarnej po prawej stronie alei można zobaczyć kopię obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, pamiątkowe tablice poświęcone pamięci poległych oraz urny z ziemią z Katynia i cmentarzy żołnierzy polskich 1920 r. w Grodnie, Nowogródku i Wołkowysku. Fasadę kaplicy zdobi fresk przedstawiający żołnierzy polskich w natarciu, a także wmurowane popiersie Jana Pawła II i tablica ze słowami papieża wypowiedzianymi w czasie wizyty na cmentarzu w 1999 r.

Twierdza Modlin

fot. archiwum

Twierdza Modlin

Podczas Bitwy Warszawskiej twierdza Modlin stanowiła ważny punkt obronny 5 Armii. Modlin był w tym czasie zapleczem walczących i ich bazą zaopatrzeniową. Na początku sierpnia 1920 r. na terenie twierdzy przystąpiono do formowania dywizji ochotniczej, a 13 i 14 sierpnia toczyły się tu zacięte walki.

Płock

Bolszewicy zaatakowali miasto 18 sierpnia 1920 r. o godz. 14. Znani z okrucieństwa „czerwoni Kozacy Gaj-chana" łupili domy i sklepy, mordowali cywilów, dopuścili się także zbrodni na pacjentach i pracownikach szpitala.
Kiedy polskie dowództwo znajdowało się na lewym brzegu Wisły, inicjatywę obrony miasta przejęła ludność cywilna wraz z luźnymi grupami żołnierzy, policjantów i żandarmów. Wzniesiono 34 barykady, a 12 spośród nich otoczono zasiekami; łączność pomiędzy walczącymi stanowiskami zapewniali harcerze. Kobiety zajęły się organizowaniem punktów sanitarnych, w których opatrywano rannych. Ok. godz. 3 przybyły z odsieczą regularne polskie wojska Pułku Strzelców Podhalańskich. 19 sierpnia, po ponad 20 godzinach nieprzerwanej walki, Płock został wyzwolony. 10 kwietnia 1921 r. Naczelnik Państwa Józef Piłsudski odznaczył Płock Krzyżem Walecznych.

Odwach w Płocku

fot. fotopolska.eu

Na trasie *Szlaku Bitwy Warszawskiej 1920* znajdują się także: Borkowo nad rzeką Wkrą, Wyszków, Mińsk Mazowiecki, Serock i Sulejówek. Warto zaplanować kilka wycieczek szlakiem największego w XX w. zwycięstwa wojska polskiego, zwłaszcza że miejscowości te posiadają też wiele innych walorów turystycznych.

www.dziedzictwomazowsza.pl/mazowsze-1920

Serock

fot. UMiG Serock

Mazowsze. serce Polski

Mazowsze. serce Polski

Secesja

WDZIĘK I STYL
DUCH EPOKI
PODRÓŻ W CZASIE

Wystawa

Muzeum Mazowieckie w Płocku
ul. Tumska 8

20 lat Mazowsze

ART DECO

ELEGANCJA
DESIGN
SZALONE LATA 20.

Wystawa

Muzeum Mazowieckie w Płocku
ul. Tumska 8

Muzeum Mazowieckie w Płocku

muzeumplock.eu

BOLESŁAW BIEGAS
MALARSTWO ◆ RZEŹBA

SYMBOLIKA
ONIRYKA
TEOZOFIA

Wystawa

Muzeum Mazowieckie w Płocku
Spichlerz, ul. Kazimierza Wielkiego 11b

Sztuka Dalekiego Wschodu

Płockie skarby buddyjskiej Azji

EGZOTYKA
NASTRÓJ
TAJEMNICA

Wystawa

Muzeum Mazowieckie w Płocku
Spichlerz, ul. Kazimierza Wielkiego 11b

ZA PIĘĆ DWUNASTA

1939 tamten sierpień

Jarosław Zieliński

W ostatnim miesiącu pokoju wiecznie ze sobą skłócone organy prasowe różnych opcji politycznych wyraźnie zmieniają ton, zgodnie opisując napięcie polityczne w Europie. Na pierwszy plan wysuwają się żądania Hitlera wobec Polski i zaogniona sytuacja w Gdańsku, prześladowania ludności polskiej w tymże Wolnym Mieście i całej Rzeszy oraz reakcje rządów państw demokratycznych. Prasa chętnie wyolbrzymia informacje o rzekomych antywojennych protestach w Niemczech, buntach w wojsku i panice tamtejszej ludności w obliczu mobilizacji. Przed nadchodzącą, niechybną katastrofą ostrzegają tylko nieliczne periodyki opozycyjne wobec władzy – wyłącznie lewicujące, ale nie komunistyczne. Do połowy miesiąca na pierwszych stronach lojalistycznych gazet dominują wszakże reportaże i artykuły wspomnieniowe związane z rocznicami narodowego czynu zbrojnego lat 1914-1920. Kulminacją tego trendu są 15 sierpnia obchody Święta Żołnierza. Po tej dacie prasa zgodnie dodaje narodowi otuchy przekonaniem o sile polskiego wojska i niechybnej klęsce Niemiec w wypadku ataku na nasz kraj. Entuzjazm budzą umowy sojusznicze z Anglią i Francją, w których tle pakt Ribbentrop-Mołotow budzi jedynie zdziwienie swoją „egzotyką". Wszak jesteśmy „silni, zwarci, gotowi", mamy potężnych sojuszników, a wojna najpewniej i tak nie wybuchnie. W tle wielkiej polityki toczy się codzienne życie – ludzie radzi z pięknej pogody przedłużają wakacje, miasto rozbudowuje się i pięknieje, oferując moc atrakcji, a optymistyczny nastrój pod koniec miesiąca udziela się nawet przy kopaniu rowów przeciwlotniczych i coraz częstszych ćwiczebnych alarmach. Społeczeństwo w swej ogromnej większości jest ofiarne i gotowe do poświęceń, a nastroje patriotyczne sięgają zenitu. Życie miasta ma też ciemną stronę – dzienniki pełne są informacji o paskarstwie, napadach, bójkach, morderstwach i samobójstwach, a narzekania na wyczyny rowerzystów i dewastatorów zieleni miejskiej brzmią dziś jakże aktualnie.

Przygotowaliśmy przegląd gazet warszawskich z sierpnia 1939 r., tych poważnych i całkiem brukowych, lewicowych, centrowych i prawicowych, polskich i żydowskich. Wybór jest nieco subiektywny i wyrywkowy, ale w jakimś stopniu oddaje atmosferę tamtych dni.

Ostatnia defilada wojskowa przed wybuchem wojny, ul. Długa, pierwszy z lewej stoi Stefan Starzyński, 15 sierpnia 1939 r.

Zdjęcia: Muzeum Warszawy; archiwum STOLICY

Pierwsze strony gazet z sierpnia 1939 r.

1 sierpnia, wtorek

Dekretem prezydenta RP wprowadzono nowy tryb odstępowania zwierząt pociągowych i pojazdów państwu w sytuacji zagrożenia wojennego. W szybkim tempie jest wprowadzana automatyzacja telefonów w miejscowościach podwarszawskich. [„Kurier Warszawski" – wydanie poranne]

Prasa stołeczna i krajowa pełna jest artykułów wspomnieniowych, poświęconych rocznicy wybuchu wielkiej wojny oraz Czynu Legionowego. „W naszą dwudziestą piątą rocznicę, gdy znów warczą na siebie mocarstwa świata, by rzucić do boju już nie setki tysięcy, ale miliony żołnierzy – jesteśmy tak samo pełni otuchy jak nasza Siódemka [ułanów legionowych] w pierwszych dniach wojny światowej". [„Polska Zbrojna"]

Zakładowy Oddział Praga Związku Strzeleckiego zapowiada zorganizowanie 6 sierpnia obchodów rocznicy wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej w bój o niepodległość. W programie msza, akademia, przemówienie, referat i recytacje, w tym „deklamacja 6-letniej krakowianki". [„Życie Społeczne Pracowników PZInż."]

2 sierpnia, środa

„Dziś mija 5 lat niezmordowanej pracy p. S[tefana] Starzyńskiego na stanowisku prezydenta stolicy. Ten 5-letni okres to imponujący rozwój Warszawy, [...] od «kociołbowego», zapuszczonego «brzydkiego miasta», jak ją przecież nazywali sami warszawiacy – do europejskiej stolicy, budzącej dziś podziw i dumę". [„Dzień Dobry"]

3 sierpnia, czwartek

Prasa relacjonuje wczorajsze uroczystości z okazji 25-lecia istnienia legionowego 1 Pułku Szwoleżerów, którego aktem założycielskim był wymarsz siedmioosobowego patrolu ułanów pod dowództwem Władysława Beliny-Prażmowskiego. Szwoleżerowie wzięli udział w konnej paradzie przed Naczelnym Wodzem na placu Piłsudskiego i złożyli hołd pamięci marszałka pod Belwederem. [„Kurier Warszawski" – wydanie poranne]

„O godz. 5-ej rano przed bazarem Różyckiego na Pradze posprzeczały się Michalina Bondaruk i Olga Janicka, zaczęły się okładać pięściami, wreszcie jedna dobyła z torebki młotek, druga nóż – i pokaleczyły się. Pogotowie opatrzyło wojownicze niewiasty, po czym osadzono je w areszcie". Poza tym policja odnalazła w rowie przy „autostradzie Żwirki i Wigury" skradziony uprzednio samochód osobowy oraz aresztowała „wyrodnego ojca",

Józefa Buzę z ul. Barskiej 19, który po odebraniu noworodka porzucił żonę w zakładzie położniczym. Następnie przez sześć dni morzył dziecko głodem i w końcu zabił, podając mu kwas solny w butelce ze smoczkiem. Skokiem z okna zakończyły życie dwudziestoletnia Marianna Kruk przy ul. Leszno 86 i dwudziestojednoletnia Helena Biłakowska, bezdomna i bezrobotna – przy ul. Chałubińskiego 10. [„Kurier Warszawski" – wydanie poranne]

4 sierpnia, piątek

„Harce rowerzystów na Rakowcu powinny być ukrócone przez policję. Najdotkliwszą obecnie bolączką Rakowca są harce rowerzystów uprawiane na jedynej drodze łączącej Rakowiec z Ochotą, mianowicie na chodniku betonowym, wiodącym od ul. Wiślickiej do ul. Opaczewskiej. Drogę tę odbywają przede wszystkim dzieci mieszkańców Rakowca, udające się na półkolonie letnie w szkole powszechnej przy ul. Opaczewskiej oraz w ogródku jordanowskim". [„ABC – Nowiny Codzienne"]

5 sierpnia, sobota

„Wczoraj stolica uczciła 75-tą rocznicę stracenia na stokach Cytadeli warszawskiej dyktatora powstania styczniowego Romualda Traugutta i czterech członków rządu narodowego. O godz. 9 rano w kościele garnizonowym przy ul. Długiej odbyło się nabożeństwo żałobne za spokój duszy bohaterów, które celebrował ks. biskup polowy Gawlina. [...] obecni byli przedstawiciele władz cywilnych, wojskowych, weterani 1863 r., delegacje organizacyj i instytucji społecznych. Po nabożeństwie delegacja komitetu udała się na stoki Cytadeli, gdzie pod krzyżem Traugutta złożono wieniec. W czasie uroczystości tej obecne były rodziny pięciu straconych w 1864 r.". [„Dobry Wieczór – Kurier Czerwony"]

Cała Polska święci 25-lecie czynu legionowego. Sekretariat generalny Zjazdu Sierpniowego zwraca się do mieszkańców z prośbą o udekorowanie domów flagami narodowymi 5 i 6 sierpnia: „Właściciele sklepów ze sprzętem radiowym, jak i prywatni właściciele lampowych odbiorników radiowych, proszeni są o wystawienie głośników w witrynach sklepowych, w oknach i na balkonach, aby umożliwić [...] wysłuchanie transmisji [uroczystości krakowskich], a zwłaszcza przemówienia Naczelnego Wodza". [„Gazeta Polska"]

6 sierpnia, niedziela

„Dziś w Muzeum Narodowym otwarta zostanie dla publiczności wystawa projektów na pomnik Marszałka Piłsudskiego w Warszawie, wykonanych na konkurs ogłoszony przez Komitet Uczczenia Pamięci Marszałka"; sąd konkursowy nie przyznał pierwszej nagrody, honorując drugą i trzecią prof. Henryka Kunę i prof. Xawerego Dunikowskiego. [„Polska Zbrojna"]

7 sierpnia, poniedziałek

„Europa pod wrażeniem historycznego ostrzeżenia Polski", „Agresja przeciw Polsce byłaby szaleństwem – stwierdza Londyn" – głoszą tytuły dnia. Kombatanci legionowi gromadzą się spontanicznie pod kwaterą marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza, wznosząc okrzyki: „Wodzu, prowadź!". W prasie ogólny optymizm, ponoć Niemców, przynajmniej tych w Gdańsku, obleciał strach.

Poprzedniego dnia rocznicę czynu legionowego obchodzono w mieście uroczystymi mszami z biciem w dzwony, defiladą oraz ślubowaniem przez stolicę wiernej służby na rzecz ojczyzny.

Na Saskiej Kępie zaczyna brakować wolnych parcel. Ukończono ostatnio 75 domów, a 150 następnych znajduje się w fazie budowy. Trwają prace przy nowej linii tramwajowej w alei Waszyngtona i przy poszerzaniu alei Zielenieckiej oraz roboty ziemne na przyległych do niej gruntach wystawowych. Głucho na temat zapowiadanej uprzednio przez miasto nowej plaży dla dzieci, a stara plaża Kozłowskiego nadal straszy obskurnym parkanem drewnianym, który zasłania widok na Wisłę.

Warszawa darowuje Marynarce Wojennej swój pierwszy ścigacz, 2 sierpnia kończąc zbiórkę funduszy. Będzie nosił imię „Warszawa" i już jest budowany wraz z trzema innymi jednostkami tej klasy.

Poprzedniego dnia w Wiśle utopiło się pięć osób, a awanturnik na stacji w Rembertowie poranił nożem ośmiu mężczyzn.

Wiech poświęca felieton sądowy niejakiej Genowefie Potyralskiej, handlarce z bazaru przy placu Trzech Krzyży, która wytoczyła proces Aurelii Kminek z okazji przywłaszczenia przez podsądną woreczka z zawartością 12 złotych groszy 20: „Pani Potyralska zaprezentowała się sądowi w całej krasie swych zwycięskich wdzięków. I doprawdy nie można się dziwić niepokojowi, jaki szerzy wśród mężczyzn rezydujących na bazarze. Talia zademonstrowana przez nią sprawiedliwości przedstawiała się tak imponująco, że co najmniej czterech flirciarzy jednocześnie mogłoby napawać się jej widokiem, absolutnie sobie nie przeszkadzając". Oskarżona broniła się przed zarzutami, pomstując: „Jakiem prawem, proszę sądu najwyższego, ja mogę odpowiadać za ten woreczek, skoro jeżeli panią Potyralskie stale i wciąż ktoś trzyma za gorset. Jeden robi to pod względem zadowolenia serca, a inszy patrzy, jak by tu forsę zza stanika wyciągnąć!". [„Dobry Wieczór – Kurier Czerwony"]

10 sierpnia, czwartek

Rozważania i refleksje po obchodach Wielkiej Rocznicy i przemówieniu Naczelnego Wodza. Cytaty z prasy światowej podkreślają deklarowaną wolę narodu odparcia wszelkich zamachów na niepodległość Polski. Ogólny nastrój optymizmu.

Ukończono gmach miejskiej szkoły powszechnej przy ulicy Boremlowskiej, w którym 1 września ma być zainaugurowany nowy rok szkolny.

Mecz Polska-Węgry, 27 sierpnia 1939 r.

Defilada na placu Piłsudskiego, 15 sierpnia 1939 r.

Przy ul. Wałowej 11 funkcjonariusze Urzędu Śledczego przeprowadzili rewizję w mieszkaniu Jankiela Goldmana, który miał się okazać „hersztem zorganizowanej na szeroką skalę bandy przemytników narzędzi złodziejskich z Niemiec. Do bandy należało kilku poważnych kupców z Będzina i okolic". W rezultacie policja zatrzymała wielu warszawskich wspólników, w tym „notorycznego przestępcę i kierownika włamywaczów Kazimierza Lewandowskiego (Zakątna 1). W mieszkaniu Lewandowskiego wykryto skład przyrządów do charakteryzacji i znaleziono kilka kompletów narzędzi złodziejskich". [„Gazeta Polska"]

14 sierpnia, poniedziałek

„Uroczysta akademia ku czci Święta Zwycięstwa Żołnierza Polskiego w Warszawie. Okręg stołeczny Warszawa-Miasto Obozu Zjednoczenia Narodowego organizuje w dniu 15-tym sierpnia o godz. 12-ej w południe akademię, która odbędzie się w sali Rady Miejskiej. Wstęp za zaproszeniami". [„Iskra" – ajencja prasowa i publicystyczna]

„Co niedzielę najazd barbarzyńców na Las Kabacki" – w niedawno nabytym przez miasto 1000-hektarowym lesie „żyje 400 bażantów, 100 saren, jelenie, kuny leśne, zające i wiele innych zwierząt", tymczasem w niedziele las przeżywa najazd żądnych wypoczynku i rozrywki warszawiaków: „12 osób służby leśnej musi sprzątać przez dwa dni «smutne pamiątki» pobytu publiczności stołecznej. Puste pudełka, papiery, skorupy od jaj, niedopałki papierosów zaśmiecają polanki i ścieżki".

W meczu piłkarskim między węgierską Hungarią a Polonią warszawska drużyna na własnym stadionie powtórnie przegrywa wynikiem 1:4, natomiast na kortach Legii nasi zawodnicy wygrywają mecz tenisowy z Chinami 4:1. [„Dzień Dobry"]

Muzeum Narodowe pozyskało nowe dary. Stanisław Dembiński z Japonii przekazał kolekcję 1000 eksponatów z kręgu kultury i sztuki Dalekiego Wschodu. Inne legaty pochodzą z zapisów pana Grohmana i pani Toeplitz-Morozowskiej. Zbiory jadą do Warszawy z Tokio i Mediolanu. [„Dziennik Zarządu Miejskiego w m.st. Warszawie"]

Zdjęcia: NAC

Ukazał się pierwszy tegoroczny zeszyt „Kroniki Warszawy" z artykułami poświęconymi m.in. geologii i hydrologii miasta, kolei podziemnej oraz wodociągom i kanalizacji. [„Dziennik Zarządu Miejskiego w m.st. Warszawie"]

15 sierpnia, czwartek

Wiersz ułana Eugeniusza Jakubowskiego: „Wsiadanego trąbka gra.../ Lśnią w poświcie polskie łany/ Serc ułańskich prośba drga/ Prowadź, wodzu ukochany!// Niechaj z wichrem idziem w tany/ Piorunem niech błyśnie stal/ Prowadź, wodzu ukochany/ Na śmiertelny krwawy bal.//

Błyśniem szablic jasnych wstęgą/ Z piersi stworzym żywy mur/ Nic, że wrogie kule sięgną/ Z nami Wodzu, Ty i Bóg.// Błyśnie jutrznia nam zwycięstwa/ Będziem z Tobą wrogów bić/ W piersi nam nie braknie męstwa/ W bój nas prowadź – Śmigły Rydz!". [„Żołnierz Polski"]

16 sierpnia, środa

Prasa obszernie komentuje wczorajsze obchody Święta Żołnierza, ustanowionego w dniu rocznicy Cudu nad Wisłą. „«Wiwat armia», pod tym hasłem bawiła się wczoraj na przedmieściach ludność stolicy wesoło i ochoczo, jak to jest w jej zwyczaju. Nawet ulewny deszcz, który padał wczesnym rankiem, nie wpłynął na zmianę radosnego nastroju publiczności. Przyszły tłumy z Woli, Pragi, Powiśla i zawsze najwierniejszego Starego Miasta, by razem z wojskiem obchodzić swoje święto. Oddziały wojska, ustawione przed kościołem garnizonowym przy ul. Długiej, otoczył ze wszystkich stron falujący tłum ludzi, którzy pragnęli być jak najbliżej szeregów". Uroczystości rozpoczęła msza święta z udziałem generalicji oraz władz państwowych i miejskich, na czele z prezydentem Warszawy, Stefanem Starzyńskim. Defiladę na placu Krasińskich odebrał gen. Henryk Krok-Paszkowski. Uformowane oddziały przemaszerowały przez miasto na plac Piłsudskiego, gdzie złożono wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza. Na koniec został odegrany marsz Pierwszej Brygady.

„Śp. ks. kardynał Aleksander Kakowski w ostatniej swej woli wyraził życzenie być pochowanym wśród najuboższych na cmentarzu Św. Wincentego na Bródnie w War-

szawie. Wobec tego śmiertelne szczątki arcypasterza Warszawy złożone zostały w podziemiach katedry Św. Jana jedynie tymczasowo”.

„Siatka do maskowania, wyroby konopne – W. Bobicki i S-ka, Marszałkowska 43”. [„Polska Zbrojna”]

17 sierpnia, czwartek

Falangistowska gazeta cieszy się, że Żydzi tracą monopol na handel owocami, powołując się zresztą na żydowski „Nowy Dziennik”. Żywiąc nadzieję na upadek handlu żydowskiego, dziennik wylicza, iż w 1938 r. kontrolował on – zgodnie z uzyskanymi pozwoleniami – „70,1% rynku importu pomarańcz, 79,7% cytryn, 81,3% rodzynek, 72,7% koryntek [?], 74,1% fig oraz 34% przydziału na przywóz szafranu i wanilii. [...] w Warszawie żydzi [sic!] mają w swoich rękach ogromną część eksportu towarów kolonialnych, bo 46,4% kawy, 44,6% herbaty, 77,2% pieprzu i ziela angielskiego, 84,4% śledzi”. Jeśli gazeta się nie myliła, to starozakonni dokonali rzeczy dziś niemożliwej, czyniąc Polskę eksporterem, a nie importerem tych egzotycznych używek i przypraw korzennych.

W Domu ks. Boduena przy ulicy Nowogrodzkiej spadł, wcześniej niezwykle wysoki, odsetek zgonów wśród dzieci. W 1938 r. zmarło ich „tylko” 115, podczas gdy wcześniej statystyki były faktycznie przerażające. Dość powiedzieć, że np. w 1924 r. z 1023 przyjętych dzieci zmarło 618, a w innym, niewymienionym roku z 1072 aż 846 (!). Jak stwierdza autor notatki: „śmierć przestała być głównym regulatorem problemów dziecka opuszczonego”. W naszych czasach nie sposób skomentować tych informacji i sposobu ich przekazania. [„ABC – Nowiny Codzienne”]

Żydowski dziennik postępowców krytykuje polską endecję i akademicką Młodzież Wszechpolską, poddając w wątpliwość propagandowe wizje o nastaniu porządku po likwidacji wpływów żydowskich i uwieńczonej powodzeniem walce o ideały narodowe. W rzeczywistości, pisze gazeta, jest to zasłona dymna, a największym problemem tej młodzieży jest niemożność pogodzenia się z doniosłą rolą Piłsudskiego w odrodzeniu państwa i porządkach pomajowych, która odsuwa w cień ich ideowego przywódcę Romana Dmowskiego oraz poddaje w wątpliwość endeckie hasło: „Naród to my”. Nienawiść narodowców do piłsudczyków jest według autora o niebo większa niż ta oficjalnie przejawiana wobec Żydów!

Do obiegu weszło 51 tys. nowych znaczków pocztowych w najbardziej popularnych nominałach. W lipcu w Warszawie przyłączono telefony 723 abonentom, zwiększając ich liczbę do 76 557 z 95 356 aparatami. Miasto posiada ogromne zapasy węgla na zimę.

Wszyscy mężczyźni urodzeni w roku 1922 i mieszkający w Warszawie podlegają do 31 sierpnia obowiązkowej rejestracji w Wydziale Wojskowym Zarządu Miejskiego. Za niestawiennictwo grożą surowe kary – do dwóch miesięcy aresztu i 2 tys. zł grzywny. W obwieszczeniu nie pada jeszcze słowo „mobilizacja”.

„Zakończone zostały prace budowlane przy naprawie szkód wyrządzonych przez silny pożar w jednym z reprezentacyjnych gmachów śródmieścia, pałacu Kronenberga [przy placu Małachowskiego]. Odbudowano stylowy dach”. [„Nasz Przegląd”]

18 sierpnia, piątek

„Wczoraj o godz. 4 rano w szpitalu św. Józefa w Warszawie zmarł Wojciech Korfanty. Nabożeństwo żałobne odbędzie się dziś w kościele św. Zbawiciela w Warszawie o godz. 11. Po nabożeństwie odbędzie się eksportacja zwłok do Katowic”.

„Zgodnie z ustawą o ustroju m.st. Warszawy celem decentralizacji administracji stolicy mają być powołane, obok istniejącej już, wspólnej dla całego miasta, rady miejskiej, tzw. rady dzielnicowe o kompetencjach ograniczonych potrzebami danej dzielnicy”. [„Polska Zbrojna”]

20 sierpnia, niedziela

Demokratyczny periodyk wykpiwa opublikowany na łamach „Czerwonej Róży” wywiad z ministrem komunikacji Juliuszem Ulrychem, który podkreślał: „«wagę wolnej i nieprzymuszonej woli polskiego społeczeństwa

Kolejka po maski przeciwgazowe, ul. Świętokrzyska 12, 1939 r.

w przyjmowaniu określonej ideologii», kładąc nacisk na znaczenie podboju ideologicznego społeczeństwa – «bez przymusu i bez rozkazu». W obecnej dobie [...] lśniące w «sierpniowym» słońcu, na granicach naszych bagnety, bynajmniej nie skłoniły do zamilknięcia wewnątrz kraju zuchwałych szermierzy totalizmu, lekce sobie ważących «wolną i nieprzymuszoną» wolę społeczeństwa” – szydzi autor komentarza, a nas opadają natrętne skojarzenia. [„Czarno na Białem – Tygodnik Demokratyczny”]

23 sierpnia, środa

Piętnaście warszawskich ulic dnia poprzedniego przyłączono do wodociągów i kanalizacji. Kanały otrzymały ulice: Kasprowicza, Częstochowska, wschodnia strona

Zdjęcia: NAC

Ćwiczenie zachowań podczas alarmu przeciwlotniczego, 31 sierpnia 1939 r.

Puławskiej, Sandomierska i aleja Niepodległości, łącznie 1255,09 m. Wodociąg uruchomiono na: Barkocińskiej, Długosza, Karczewskiej, Zana, Dąbrowickiej, Różanej, Siemiradzkiego, Urzędniczej, Deotymy oraz Huculskiej, łącznie 1315,25 m. Miasto zapowiada budowę sieci studni artezyjskich. [„Dzień Dobry”]

25 sierpnia, piątek

Zarządzeniem premiera z urlopów zostali odwołani wszyscy urzędnicy państwowi, a Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przesuwa rozpoczęcie roku szkolnego na 4 września. Prezydent Starzyński, dziękując mieszkańcom Warszawy za zachowanie spokoju, apeluje o urządzanie schronów przeciwlotniczych i zgłoszenie do kopania rowów; „Najbardziej pożądane zgłaszanie się z łopatą”.

„Straż pożarna otrzyma w najbliższych dniach dwie radiostacje nadawczo-odbiorcze. [...] W ostatnim okresie straż otrzymała 5 nowoczesnych samochodów, tzw. autopogotowi (wóz z pompą i 6 ludzi obsługi) i 3 cysterny”. [„Robotnik”]

28 sierpnia, poniedziałek

Wczoraj: „Wielki sukces polskich piłkarzy. Mimo że Węgrzy prowadzili 2:0, wygraliśmy mecz 4:2”. Nastroje po uprzednio przegranych meczach były przed rewanżem minorowe i widzowie modlili się tylko, aby wbitych nam bramek było jak najmniej. Zwrot akcji nastąpił w 32. minucie, „kiedy piłka artystycznie pchnięta kolanem przez [Ernesta] Wilimowskiego przeskoczyła zbyt daleko wybiegającego bramkarza Węgrów i wsunęła się pod poprzeczkę”. W drugiej połowie meczu: „w 16. minucie niezastąpiony w takim momencie Wilimowski w jemu tylko znany sposób zmylił bramkarza i posłał leciutko piłkę do siatki. W 25. Piontek, choć wyraźnie zdenerwowany [...] pewnie strzelił karnego i w 28. znowu Wilimowski w asyście dwóch Węgrów podbiegł do bramki i ulokował po raz 4-ty piłkę w siatce”.

Przy okopach przeciwlotniczych pracuje młodzież, kobiety i starcy, chrześcijanie i ortodoksyjni żydzi: „Kopiemy 125 klm rowów. [...] Rowy wyłaniają już swoje łamane zarysy, pogłębiły się do bezmała 2 mtr, niedługo kładzione będą oszalowania”. [„Kurier Warszawski” – wydanie poranne]

Zamożniejsi warszawiacy spędzają wakacje najchętniej w Jastarni, Krynicy Górskiej, Druskiennikach i Zakopanem, starannie omijając w tym roku nieprzyjazne Polakom „Soppoty” . Dużą popularnością cieszą się także letniska w podwarszawskich miejscowościach. Agroturystyka dopiero raczkuje i reporter gazety po wynajęciu izby w wiejskiej chałupie miał do wyboru przejść 4,5 km od autobusu albo 12 km od stacji kolejowej. Po pierwszej nocy był zaskoczony, że pogryzły go nie poczciwe, hotelowe pluskwy, ale „ciche, jeszcze niereklamowane pająki. [...] Ciężka jest dola mieszczucha, który chce odetchnąć świeżym powietrzem”.

Nocny lot nad Warszawą uświadamia dziennikarzowi, iż: „Światła są sprzymierzeńcem wroga. Odbijają się wyraźnie żółte, jakby przydymione światła przed Muzeum Narodowym, rysuje się takim samym kolorem linia Wału Miedzeszyńskiego. Purpurowo znaczy plac Trzech Krzyży ogromny słup neonowej reklamy. Gra barwnie reklamowymi szyldami ulica Marszałkowska. Fioletowo, czerwono i żółto znaczy się dworzec Warszawa Zachodnia [chyba Główna?]. Obok roziskrzonej Warszawy ubogo tuli się do Wisły Praga [...], bez tych barw świetnych, rwących oczy, jednak latarniami ulicznymi wyraźnie znacząca każdą ulicę. Gdy nadlatuje się na mniej oświetlone przedmieścia, łatwo przekonać się, do jakiego stopnia wskazuje drogę oświetlenie domów. [...] To jest po prostu wyzwanie: Tu! Jesteśmy tutaj! Spuśćcie swój ładunek w tym miejscu, rozbijcie w gruzy naszą ulicę”. W tych dniach zaciemnienie obowiązuje tylko podczas ćwiczebnych alarmów gazowych, a ludność do zakazów podchodzi dość niefrasobliwie, narażając się na wysokie grzywny.

Ogłoszono urzędowo dekret prezydenta RP Ignacego Mościckiego o przepisach budowlanych na wypadek wojny. Drugim dekretem zostały wprowadzone do obiegu monety ze stali o nominałach 20 i 50 groszy. [„Kurier Warszawski” – wydanie wieczorne]

29 sierpnia, wtorek

„W pierwszych dniach września nastąpi otwarcie nowego teatrzyku w Warszawie – Figaro. Teatr mieścić się będzie w wytwornej i luksusowej sali teatralnej przy ul. Marszałkowskiej 8, wyposażonej w najbardziej nowoczesne urządzenia techniczne”.

Dziś na nowym torze wyścigów konnych na Służewcu 10 gonitw sezonu jesiennego. Prawidłowe typowania są nagradzane w pokaźnych kwotach – od 1200 do 5000 zł.

Od wielu dni w prasie pojawiają się oferty zakupu gotowych rodzinnych schronów przeciwlotniczych. Przykład: pancerny, naziemny schron pod nazwą Bastion, w budzącym mieszane skojarzenia kształcie pocisku. [„Goniec Warszawski”]

Plakat propagandowy, 1939 r.

30 sierpnia, środa

Centralny Komitet Wykonawczy PPS publikuje odezwę do „Ludu Pracującego miast i wsi Polski”, nawołując do zwarcia szeregów w obronie kraju, „walki i pracy dla zwycięstwa nad podłym gwałcicielem praw narodów”, ale też w dziele „obrony wolności wszystkich ludów Europy i wolności ludu niemieckiego, jęczącego pod butem brunatnego terroru”.

Prasa publikuje obowiązujący wszystkich sprzedawców cennik na podstawowe artykuły spożywcze. Chleb razowy 95% ma kosztować 26 groszy, a pytlowy 65% – 28 groszy. Najtańsze masło osełkowe – 3 zł, mleko pełne za litr – 35 groszy, smalec biały – 2,10 zł, a słonina wędzona 2,50 zł za kilogram. Na liście znalazły się także: cukier, mąka, ryż, kasze, makaron, groch i fasola. Długa jest lista właścicieli sklepów ukaranych za spekulację – liczy 83 nazwiska. Gazety prawicowe wskazują, że spekulantami są w przytłaczającej większości Żydzi, ale w zestawieniu jedynie 35 osób ma typowo żydowskie imiona i nazwiska. [„Robotnik”]

31 sierpnia, czwartek

W dniu wczorajszym w całym kraju rozplakatowano obwieszczenie o powołaniu rezerwistów do służby czynnej. W Warszawie ogłoszono pogotowie Obrony Przeciwlotniczej wraz ze wskazówkami o zachowaniu się ludności cywilnej podczas alarmów lotniczych.

Wre praca w Przysposobieniu Wojskowym Kobiet. Główna Rada emituje metalowy znaczek propagujący idee PWK i przeznacza dochód (50 groszy za sztukę) na szkolenie kobiecych kadr do obrony kraju. Nowy punkt werbunkowy działa w szkole nr 51 przy ul. Szerokiej 17, a organizacja wzywa kobiety do wzięcia udziału w kopaniu rowów przeciwlotniczych. Do tego zadania zgłaszają się seniorzy z Koła Emerytów Miejskich. Do nich i do wszystkich pracowników miejskich prezydent Stefan Starzyński kieruje apel o podołanie wszelkim zadaniom gminy w warunkach pomniejszenia kadr o zmobilizowanych do obrony kraju.

Unia Polskich Związków Obrończych i Przysposobienia Wojskowego Kobiet organizuje wystawę objazdową *Jak się żywić i jakie robić zapasy na wypadek wojny*. Polecany jest zakup jaj, które mogą w stanie świeżym przetrwać całe działania wojenne, a więc nawet 2-3 tygodnie (!).

Mieszkańcy osiedla T.O.R. przy ulicy Podskarbińskiej gremialnie zapisują się do spółdzielni spożywców Wyzwolenie. W sklepach i hurtowniach opału i żywności nie brakuje, ale pojawiają się nowe produkty „wojenne”: mąka fasolowa, kasza grochowa i kasza fasolowa. Wielkim powodzeniem cieszy się szynka w małych puszkach, która znika z półek, ale wszędzie są dostępne puszki siedmio- i ośmiokilogramowe (!).

Hasło dnia: „Niewart nosić miana Polaka kupiec i przemysłowiec korzystający z ogólnego podniecenia”. [„Dzień Dobry”]

„Zarząd warszawskich telefonów P.A.S.T. zwraca się [po raz kolejny] do ogółu abonentów z prośbą o możliwe ograniczenie rozmów telefonicznych”, ponieważ ich intensyfikacja w ostatnim okresie grozi zablokowaniem centrali.

„Ludność żydowska radośnie wita wojsko. Przy ulicy Twardej [...] przechodził oddział wojska. Zebrany na chodnikach tłum mieszkańców dzielnicy zaczął manifestować radośnie [...]. Rzucano kwiaty, częstowano żołnierzy pieczywem, papierosami, owocami, dawano paczki na drogę. Sklepikarze powynosili na ulicę kosze z bułkami i ciastem”.

„Dziesiątki, setki, tysiące osób miarowo porusza łopatami... Warszawa kopie rowy przeciwlotnicze. [...] W ciągu kilku dni ludność stolicy, która jak jeden mąż stanęła do apelu, wykopała kilometry rowów”; dzięki napływowi rzesz ochotników tylko poprzedniego dnia miejski wydział techniczny rozpoczął prace w 64 punktach Warszawy, w tym „na pl. Bankowym, pl. Weteranów, pl. Słonecznym, nad Wisłą, na Woli, na Ochocie, w wielu miejscach dzielnicy północnej, na Powązkach, w Mokotowie, w dzielnicy belwederskiej, na Powiślu, Kole, Żoliborzu i tp. Szczególnie liczne rowy powstają wzdłuż osi ul. Wolskiej i jej przecznic”.

W każdym domu „powinna znajdować się apteczka, a w niej: „annogen w tabletkach [substytut jodyny] po 0,5 – 1 rurka, opatrunki osobiste – 3 sztuki, indywidualne pakiety przeciwiperytowe – 3 sztuki, krople walerianowe – 15 gramów, soda oczyszczona – 25 gramów, flaszka z zakrętką bakelitową 30 gramów, nożyczki, kawa prawdziwa [na wypadek spowolnienia akcji serca!], termometr”.

Centralne władze Polskiej Partii Socjalistycznej deklarują pełną współpracę z władzami miejskimi.

Do Warszawy poprzez Gdynię dociera transport kalifornijskich pomarańczy z nowych zbiorów. Cena w detalu 2,50 do 3 zł za kilogram.

„Pogoda słoneczna o umiarkowanym zachmurzeniu przy słabych wiatrach z kierunków południowych. Możliwość lekkich burz. Temperatura w ciągu dnia około 27 st. Widzialność rano osłabiona, w ciągu dnia dobra”. Nazajutrz pogoda ma być piękna... [„Nasz Przegląd”] ■

Zdjęcie: archiwum

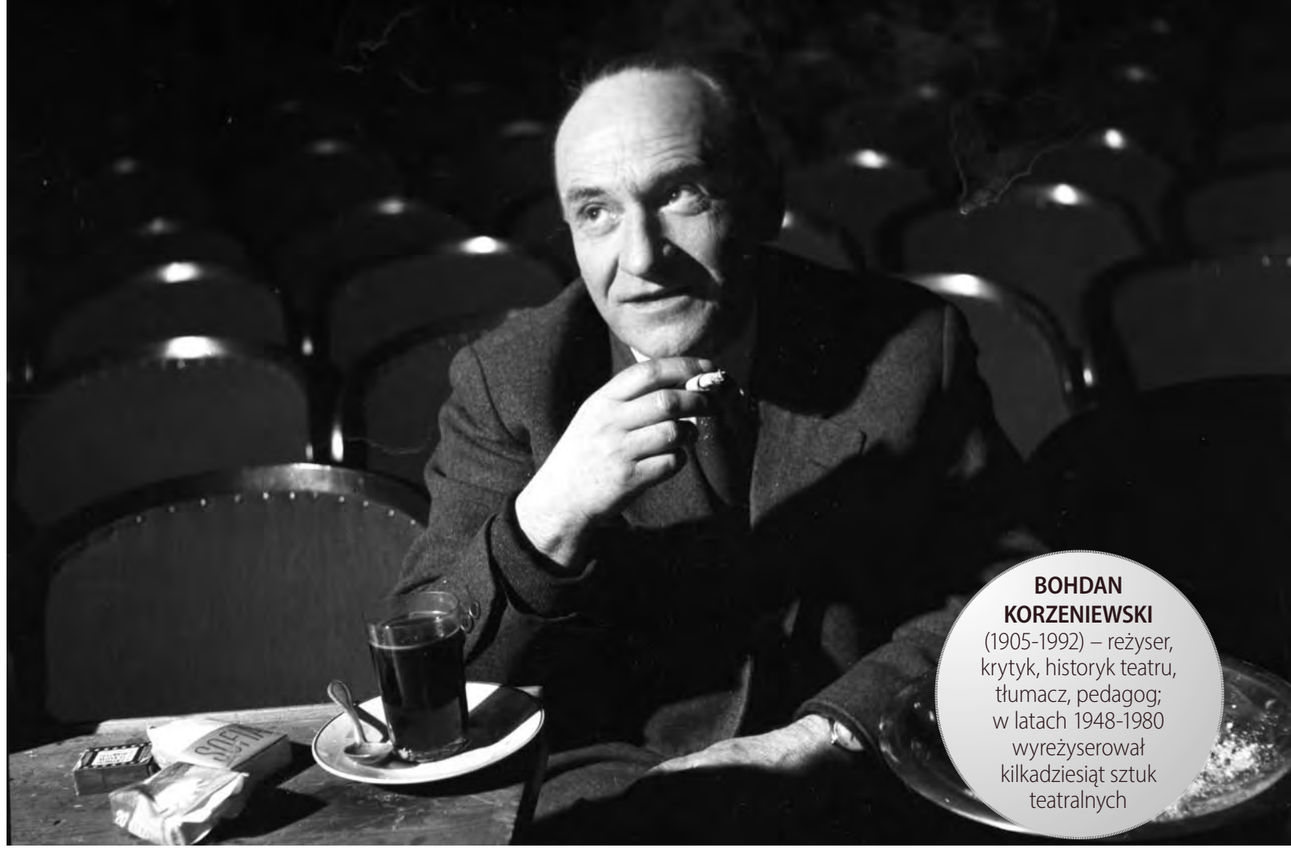

BOHDAN KORZENIEWSKI
(1905-1992) – reżyser, krytyk, historyk teatru, tłumacz, pedagog; w latach 1948-1980 wyreżyserował kilkadziesiąt sztuk teatralnych

Zdjęcie: Edward Hartwig / NAC

Publikujemy fragmenty pierwszego zbiorczego wydania wspomnień Bohdana Korzeniewskiego – wybitnej osobowości polskiego teatru: naukowca, nauczyciela, organizatora, wyśmienitego pisarza. Wspomnienia dotyczą okresu rewolucji październikowej i II RP, pobytu w Auschwitz i uwolnienia, ratowania Biblioteki Uniwersyteckiej, tropienia wywiezionych przez Niemców księgozbiorów... Książka *Było, minęło. Wspomnienia* ma mieć premierę w najbliższych dniach, wydawcą jest Państwowy Instytut Wydawniczy

Wyzwolenie

Bohdan Korzeniewski

Od dwóch dni od mostu pontonowego przez Wisłę pięły się w górę na Krakowskie Przedmieście długie tabory i skręcały w Królewską. Szły na zachód. Przypominały bardziej chłopskie furmanki ciągnące na jarmark w miasteczku [...]. Na szturmowe formacje tej wielkiej armii natknąłem się nieco wcześniej po drodze do Warszawy, kiedy jeszcze w różnych odległych dzielnicach wybuchały gwałtowne strzelaniny. Szedłem samotnie torem kolejowym z Pruszkowa i widziałem, jak na samym skraju horyzontu, wzdłuż linii dzielącej ośnieżone szare pola od równie szarego nieba, sunęły jeden za drugim czołgi. Co pewien czas zmieniały szyk i ustawiały się w półkole, jakby kogoś osaczały. Wtedy błyskały szybkimi strzałami do niewidocznego przeciwnika. Do mnie dobiegały po pewnym czasie odgłosy, jakie wydają pnie drzew, kiedy drwale stukają w nie obuchami siekier. W dalszej wędrówce minąłem kilka czołgów, które zatrzymały się nieopodal nasypu. Stały zbite w stado, a ich załoga wyłaziła spod podniesionych klap. Żołnierze po zsunięciu się na ziemię ściągali z siebie zatłuszczone kombinezony. Obnażeni do pasa, nacierali twarze, piersi i ramiona garściami śniegu, wychylali po szklance czystego spirytusu, zagryzali słoniną odwiniętą z gazety, zapalali ogromne skręty machorki, zaciągali się łapczywie, po czym rzucali się na ziemię, nawet nie zapinając waciaków, i natychmiast zasypiali z rozrzuconymi ramionami.

Wlokące się często przez Warszawę tabory różniły się od nich całkowicie. Brodaci i leciwi woźnice w połatanych kożuchach popędzali leniwym machaniem batów kosmate koniki oszroniałe od mrozu. Zaprzęgi również

nie miały wyglądu wojskowego. Były skrzypiącymi wozami wiejskimi z hołoblami i duhą, w jakie od wieków zakłada się mądrą starą kobyłę, dodając jej na przyprzążkę po obu stronach młodsze konie. Głębokie tyły posuwające się za zwycięskim wojskiem miały w sobie coś z wędrówki plemion koczowniczych, zmierzających ku nowym terenom pastewnym.

Nic zatem dziwnego, że za ich pochodem snuły się dymy po opuszczonych legowiskach. Słupy dymu wzbiły się natychmiast po nadejściu taborów w kościele bernardynów, w Pałacu Namiestnikowskim, w gmachu kwaterunku wojskowego na rogu Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia... Nie rozwiewały się długo, gdyż nikt ich nie gasił. Nocą u ich podstaw pełgały czerwone języki płomieni.

Jeden z taborów zajechał w wyważoną bramę na dziedziniec Uniwersytetu i rozlokował się w ocalałych budynkach. Wkrótce stało się jasne, skąd brały się dymy ukazujące się w różnych miejscach wymrożonego i opustoszałego miasta. Nasz stary woźny, który przybiegł do nas, kiedy z profesorem Borowym zamieszkaliśmy w Bibliotece, i dopomagał nam, jak umiał, miał mnóstwo kłopotów z żołnierzami wałęsającymi się po terenie Uniwersytetu. Z różnych zakątków rozległych podwórzy wciąż dobiegał jego gniewny i rozpaczliwy głos miotający groźby w nieporadnym rosyjskim języku.

– A pajdi, gawariu ci, ubieraj się, skażu komendantowi, zobaczysz!

Ponieważ te bezradne pogróżki zupełnie nie działały, więc przybiegał do mnie, czerwony z emocji.

– Leć pan co tchu do Auditorium Maximum – wołał, wymachując rękami – bo nas te brodate wysadzą w powietrze. Książek teraz byłoby szkoda, kiedy tamte piekielniki nie zdążyły ich spalić.

Biegłem zatem do gmachu stojącego tuż obok Biblioteki, gdyż sytuacja była naprawdę groźna.

Niemcy cały parter zamienili na magazyn amunicji.

W ogromnej sali leżały wysoko sterty pocisków artyleryjskich, usypiska granatów, stosy pancerfaustów, min saperskich oplątanych drutami, długich tekturowych pudeł z laskami trotylu. Kompania „ozdrowieńców", kwaterujących od paru miesięcy na Uniwersytecie, umieściła również w sieni zwały węgla, którym opalała kwatery. Otóż ten węgiel teraz często się tlił i jeśli zarzewia nie zadeptało się w porę, to pod dymem ukazywały się niebieskie płomyki. Łatwo mogły buchnąć ogniem, gdyż wokoło leżały strzępy papieru, pozostawione przez żołnierzy, którzy sobie takimi kagankami świecili przy poszukiwaniach. Odchodząc, rzucali je pod nogi.

Także Biblioteki trzeba było wciąż przed nimi bronić. Drzwi główne założyłem drewnianą sztabą, ale krata po prawej stronie budynku na małym okienku była wyłamana. Co pewien czas we framudze, pozbawionej nawet ram okiennych, ukazywały się ogromne walonki, potem zadarte poły waciaka, a potem na korytarz z rzędami półek spadał ciężko woźnica w czapce z nausznikami. Prostował się z powolną ostrożnością, ale w chwilę później

Warszawa, ulica Nowy Świat 67, zima 1945 r.

zadziwiająco lekkim, myśliwskim krokiem biegł między półki, wyciągał pierwszą z brzegu książkę, wyrywał ze środka garść kartek, pstrykał zapalniczką i, świecąc sobie dymiącym płomykiem, przeglądał półki. W razie podejrzenia, że coś może być ukryte za książkami, zrzucał całe rzędy na kraty podłogi. Przyłapany na rabunku, nigdy nie tracił sennego spokoju. Rozmowa miała zawsze ten sam przebieg, niemal rytualny.

– Wy tu czego? – pytałem rzeczowo, gdyż to działało znacznie skuteczniej niż wybuchy gniewu, do których uciekałem się na początku moich utarczek.

– A niczego – odpowiadał zagadnięty. – Tak sobie, popatrzeć.

– Popatrzeć, mówicie? To czemu zamierzacie spalić państwową uniwersytecką bibliotekę, która jest pod specjalną ochroną?

– Spalić? Kto by tam chciał ją spalić? Takim posądzeniem możecie przecież obrazić sowieckiego żołnierza.

– Po co trzymacie w ręku ten zapalony papier?

– Jaki on tam zapalony?

– Przecież jeszcze dymi.

– Dymić to on może i dymi. Albo z wilgoci, albo kto inny zapalił, a ja podniosłem i właśnie miałem zamiar zdusić ten ogień, kiedyście weszli.

Zdjęcie: NAC

– Że też wam nie wstyd...

– Wstydzić się nie ma czego, jak kto jest niewinny. Myślicie może, że my nie wiemy, co to jest kultura? Bez kultury w ogóle żyć się nie da. To, jak powiadają, artykuł pierwszej potrzeby.

Wszyscy jednakowo po takich oświadczeniach wygłaszanych z całym przekonaniem rozcierali w rękach jeszcze iskrzący się papier i dymiące zwitki rzucali na kratę. Często przelatywały przez szerokie szpary na niższe piętro i wtedy stary woźny wygrażał winowajcy pięścią, mrucząc pod nosem:

– Och, ty diable kosmaty – zbiegał na dół, żeby podjąć tlący się lont.

Na tym jednak nie kończyły się nasze kłopoty. Zdarzały się zupełnie nieoczekiwane.

– Bardzo pana przepraszam – dopadł mnie zdyszany. – Ale napytają nam jakiej biedy. W Szkole Głównej, w tej dużej sali na pierwszym piętrze, dobrali się do eksponatów w formalinie. Jeszcze się potrują!

W ogromnej pustej sali róg długiego stołu obsiadło pięciu żołnierzy. Wszyscy byli zadziwiająco do siebie podobni. Brodaci, posiwiali, ubrani w bardzo zniszczony i połatany przyodziewek na pół wojskowy. Wyglądu wojskowego nie przydawały im nawet karabiny, które oparli obok siebie o ławę albo położyli na stole. W chwili, kiedy wszedłem, jeden z nich w samym środku trzymał uniesioną nad stołem wielką mątwę ociekającą płynem i przyglądał się jej z badawczą uwagą. Drugi przychylał do ust oburącz szklane naczynie, w którym ten okaz był zakonserwowany. Inni patrzyli na pijącego z pytaniem w oczach. Wszystko to robili z powolnością, jaką czasami widuje się we śnie. Moje wejście ledwie zechcieli dostrzec, chociaż wbiegłem gwałtownie.

– Co ty robisz, człowieku? – krzyknąłem, podbiegając do stołu. – Otrujesz się. Przecież to formalina.

Żołnierz ostrożnie postawił naczynie, jakby to była miska z zupą, otarł wierzchem dłoni obfity zarost i niedbale sięgnął po karabin leżący tuż pod ręką. Nawet go nie podniósł. Przesunął tylko lufę w moją stronę.

– Poszoł won, durak – powiedział z tą cierpliwą wyrozumiałością, z jaką traktuje się dzieci albo idiotów. – To nie żadna formalina. To spirytus.

Wtedy wszyscy zwrócili do mnie twarze zupełnie pozbawione wyrazu, jakby byli zaprzątnięci jakąś żmudną myślą, która odgradza od rzeczywistości. W niczyich oczach nie pojawił się błysk świadczący, że mnie widzą. Zasnuwała je zaduma trudna do nazwania. Była w niej nuda, cierpliwość i tęsknota do czegoś, co nie jest z tego świata. Podobne tępe cierpienie pojawia się w oczach zwierzęcia utkwionych w księżycu, kiedy zanosi żałosną i beznadziejną skargę.

Brodacz trzymający wciąż mątwę w podniesionej ręce wolno zbliżył ją do nosa, powąchał i z westchnieniem zawodu położył na stole.

– Lepiej dla ciebie będzie, człowieku – powiedział życzliwie w moim kierunku, nie obdarzając mnie nawet spojrzeniem – jeżeli sobie zwyczajnie stąd pójdziesz. Pewnie wiesz, że jest wojna i nikt nie musi się tłumaczyć, jak strzeli i nawet jak kogo zabije. Po co ci to?

Z upływem wielu lat nie zatarło się we mnie uczucie żałości, jakiego wówczas doznałem. Nie było ono ani litością, która się rodzi na widok cudzego upośledzenia, a więc i własnej wyższości, ani nawet zwyczajną ludzką solidarnością we wspólnej niedoli. [...]

Przecież nie było wcale trudno wyobrazić sobie, jaka to nieubłagana siła przygnała tych chłopów, steranych życiem, z dalekich krajów do zakurzonej sali w Muzeum Zoologicznym na Uniwersytecie Warszawskim. W tym wypadku siła ta przybrała postać podoficera w czapce zsuniętej z czoła, uzbrojonego w nagan zwisający u pasa na rapciach. Odnalazł on chaty kryte słomą w głębi przepastnego boru, załomotał przed świtem we drzwi z okrąglaków i, wymachując przed samą twarzą urzędowym papierem, wykrzyknął: – Ubieraj się, zaprzęgaj, pojedziesz! – A niby to dokąd każecie jechać? – zapytał gospodarz, któremu już poprzednio w ten sam sposób zabrano trzech synów. – Nie twoja rzecz wiedzieć – skarcił go wysłannik i dla dodania sobie powagi trącił go pod brodę kolbą rewolweru. – No, ruszaj! – Więc poszedł bez słowa tak, jak poszli inni siedzący przy stole, aby przemierzać nieogarnione przestrzenie pełne wiosennych roztopów czy zimowych zasp. Ani im w głowie nie postało, że można by utargować chociaż dzionek dla załatwienia spraw gospodarskich, które zwaliły się na miękkie babskie plecy. Sprzeciw tak dalece nie leżał w przyzwyczajeniach tych ludzi, że już nie leżał w ich naturze. Przywykli od wiek wieków do przemocy zaczajonej w obwarowanych grodach i napadającej znienacka. Tak było zawsze, jak sięgali pamięcią nawykłą do krzywdy, i tę smutną wiedzę przekazywali z ojca na syna przez wiele pokoleń. Nie udawało się od niej uchronić ucieczką w nieprzebyte lasy, odgrodzić zdradzieckimi trzęsawiskami, zwieść plątaniną ścieżek, które donikąd nie prowadzą. Zawsze wysłańcy władców odnajdywali właściwą drogę. Naprzód byli to na swoich włochatych konikach, z łukami na plecach i korbaczami w pięści, zwiadowcy chana tatarskiego wymuszający służby i daniny. Po nich z ciemności czasów wysuwali się straszący psią głową na kiju oprycznicy Iwana Groźnego, w Polsce przezwani od razu opryszkami, co nie oznaczało wcale sług książęcych, ale zbójów. Po nich ubrani z niemiecka z trąbką myśliwską przez ramię, z kordelasem u pasa, pachołkowie cara Piotra, ścinający łby nie gorzej od poprzedników, łapali ich na arkany dla wznoszenia stolicy w północnych błotach. Po nich zajeżdżali kibitką obciśnięci rzemieniami żandarmi kolejnych mocarzy z Bożej łaski, dotąd, aż zjawili się słudzy nowego ładu, jakiego nie można było pojąć, gdyż nie rządził się prawami ludzkiego rozumu. Ci byli najliczniejsi i najokrutniejsi.

Po długich wiekach pokornej uległości posłuch stał się czymś tak naturalnym jak mróz w zimie albo plu-

cha jesienią. Uznano go za jedno z tych praw władających życiem, jakiemu należy się poddać bez szemrania. Bunt przeciw przemocy nabrał cech głupoty tak samo oczywistej jak niepogodzenie się z cierpieniem albo ze śmiercią.

Kiedy tak stałem na podwórzu przed gmachem Szkoły Głównej, nie bardzo wiedząc, co robić, podszedł do mnie dowódca tego oddziału. Mijaliśmy się już parokrotnie w trakcie tych dni z nikłym uśmiechem, aż w końcu oficer podniósł rękę do czapki i przystanął. Przywitał się ze mną nie tylko grzecznie, ale nawet przyjaźnie. Wyróżniał się od swoich podkomendnych odmienną, jakby nordycką urodą. Był wysoki, szczupły, jasnowłosy. Twarz miał kształtną i delikatną.

– A wiesz – powiedział, wyciągając rękę na powitanie po zdjęciu rękawiczki – że ja także jestem prawie Polakiem. Znaczy się, byłem. Nie tyle ja sam, co moi przodkowie. Dziad ze strony ojca przebywał u nas naprzód w minach, a potem na posieleniu. Jak zwykle, za polski bunt. Nazywał się Stanisławski. January Dezyderowicz Stanisławski. Czyli, że jego ojciec, a mój pradziad, miał na imię Dezydery. Nie wierzyliśmy, że jest takie imię. Myśleliśmy, że zmyślał. Zmyślał czy nie?

– Nie zmyślał – zapewniłem. – Było kiedyś takie imię.

– Dezydery. Śmieszne. Ale Bóg z nim. Ja też nazywam się Stanisławski, tak samo, chociaż po polsku nie umiem ani słowa. Bo i po co?

Było to przedwczoraj. Teraz podszedł do mnie jak do starego znajomego.

– Cóżeś tak się zafrasował – zapytał. – Masz jakieś kłopoty? Książki ci rozciągają na papierosy czy jak?

– Twoi ludzie – wskazałem na okna pierwszego piętra – tam, w dawnym Gabinecie Zoologicznym, piją formalinę. Jeszcze się potrują.

– To nie mogłeś im zakazać, kiedy to trucizna.

– Mówiłem, ale nie chcą mnie słuchać. Uważają, że to spirytus.

– To i dobrze – zgodził się. – Pewnie spirytus, jeśli tak uważają. Są starsi od ciebie i wiedzą, co robią.

Widocznie nie miałem w twarzy zbytniego przekonania, bo klepnął mnie pocieszająco po ramieniu.

– Alboś ty ich wujek, żeby się martwić. Dużo jest większych zmartwień w życiu.

Rozstaliśmy się, zostawiając sprawy ich własnemu biegowi. Taki jednak pobłażliwy stosunek do zdarzeń gotuje czasami niespodzianki. I to niezbyt przyjemne.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyrwały nas ze snu donośne okrzyki komendy wojskowej i miarowy tupot nóg. Wyszliśmy do hallu, żeby się przekonać, co się dzieje. Jednak przy drzwiach Biblioteki zatrzymał nas wartownik.

– Nie wolno. Z powrotem – warknął groźnie.

Zaczekaliśmy zatem, aż się wszystko uspokoiło. Na lewo od wejścia wznosiła się uklepana niedbale mogiła z czworograniastym zaostrzonym kołkiem i deseczką z nazwiskiem zmarłego i napisem. Napis głosił: *Pał za rodinu.*

Wypalone mury warszawskich kamienic, 1945 r.

Westchnąłem nad tym grobem z prawdziwym smutkiem. Jakiemu to z moich wczorajszych rozmówców, temu, który próbował smaku formaliny, czy temu, który oglądał mątwę, przyszło zapłacić życiem za rozszerzanie władztwa nowego mocarstwa światowego aż po Pireneje, a może nawet po ocean? Nie wydawało się wówczas ani uczestnikom, ani widzom tej wielkiej wędrówki na zachód, aby coś mogło stanąć na drodze zwycięskiemu pochodowi. Chłop rosyjski, popędzany strzałami w plecy przez specjalistów od wychowania politycznego, wypełniał swoje zadanie dziejowe. Zaprowadzał wszędzie, gdzie stąpił, swoją przyrodzoną niewolę. Cierpliwą, uległą i pozbawioną całkowicie nadziei, że coś w tym strasznym świecie można zmienić.

Zaledwie wróciliśmy do swojej roboty, polegającej na wydobywaniu z grubej warstwy błota i kału rękopisów naszych pisarzy, kiedy sztywnym wymierzonym krokiem wszedł do hallu kapitan Stanisławski. Tym razem się nie uśmiechał. Twarz miał zakrzepłą w jakimś groźnym wyrazie determinacji. W ręku trzymał nagan. Kiedy wstałem ze sterty książek, na której siedziałem, skierował go do mnie, a potem wskazał nim drzwi.

– Ty, polski bibliotekarz – powiedział cichym, rwącym się głosem. – Załóż ręce na szyję i idź przede mną.

Za chwilę poczułem między łopatkami lufę rewolweru. Pchał mnie przed sobą. Tak przeszliśmy połowę podwórza, gdzie już profesor Borowy, który stanął w drzwiach, nie mógł niczego słyszeć. Tutaj kazał mi się zatrzymać i ciągle z wyciągniętym rewolwerem w dłoni podszedł do mnie od przodu.

– Według moich meldunków – powiedział, patrząc gdzieś nad moją głową – tyś wczoraj widział, jak nasi żołnierze pili truciznę i ani im nie przeszkodziłeś, ani nikomu nie zameldowałeś. Wiesz, jak się takie postępowanie nazywa? Dywersja albo sabotaż. Będziesz się musiał teraz z tego wytłumaczyć, ale uprzedzam, że rozmowa będzie krótka.

– Przed kim? – zapytałem.

– Zaraz się dowiesz – rzucił od niechcenia. – Daleko nie pójdziemy. Nie zmęczysz się.

Znowu rewolwerem wskazał mi drogę do wyjścia. Za bramą, na Krakowskim Przedmieściu, pchnięciem skierował mnie na lewo. Już wiedziałem, dokąd mnie prowadzi. Miałem przed sobą trochę okopcone i poszczerbione mury Pałacu Staszica i tuż za nim, po drugiej stronie ulicy, również ocalałe ściany dawnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W latach okupacji mieściła się tutaj niemiecka komenda policji i natychmiast po wkroczeniu do miasta ogromny gmach zajął NKGB (Narodnyj Komitiet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti). Widocznie te przekazywane sobie z rąk do rąk przez różne policje pomieszczenia miały swoje sekretne i piwniczne dogodności. Nadawały się od razu do użytku.

Uliczny fryzjer, Marszałkowska, róg Wspólnej, 1945 r.

Zdjęcia: NAC

Wejście do tego gmachu było kuszeniem bezlitosnego losu, gdyż już doszły nas słuchy, że mało kto z niego wychodzi. Byłem więc przygotowany na najgorsze. Ale właśnie wtedy, jak to się zdarza w chwilach śmiertelnego niebezpieczeństwa, błysnęła mi w głowie zbawcza myśl. Przypomniałem sobie, że przy moim ciągłym przebieganiu podwórzy uniwersyteckich natknąłem się niedawno na oficera radzieckiego zapewne wysokiej rangi, gdyż miał sporo rombów na kołnierzu. Zapewne lustrował teren i musiał o nas z Biblioteki coś posłyszeć, gdyż mijając mnie, podniósł leniwie rękę do czapki. Nadzieja ratunku tak mnie podnieciła, że mimo woli przyśpieszyłem kroku.

– Dokąd tak lecisz? – odezwał się za mną kapitan Stanisławski. – Mnie na twoim miejscu nie byłoby tak pilno. Zapomniałeś, co ci mówiłem?

– Nie zapomniałem – rzuciłem za siebie. – Chciałbym tylko jak najszybciej oczyścić się z kłamliwego oskarżenia. Powiem, jak było naprawdę.

– I myślisz, że ci uwierzą? Jeszcze nigdy o nich nie słyszałeś?

– Myślę, że mi uwierzą, kiedy poproszę o dopuszczenie mnie do oficera, z którym wczoraj rozmawiałem.

– Jakiego znowu oficera? – W jego głosie odezwało się zaniepokojenie. – Co ty tam znowu zmyślasz?

– Wczoraj po rozstaniu się z tobą – mówiłem, nie zwalniając kroku – natknąłem się przed Uniwersytetem na waszego oficera. Ponieważ żal mi było tych ludzi, więc powiedziałem mu, co robią.

– Jak on wyglądał, ten oficer? – prawie już krzyczał.

– Wygląd tego oficera zapamiętałem dobrze – wyjaśniałem. – Był niezbyt wysoki, krępy, z krzaczastymi brwiami, z niebieskim otokiem na czapce...

Zbliżaliśmy się już do Pałacu Staszica z pustym cokołem pomnika Kopernika.

– Stój! – krzyknął, i ponieważ nie wykonałem jego rozkazu, zabiegł mi drogę.

– Stój, jak ci powiedziałem – powtórzył i zatrzymał mnie pięścią z rewolwerem, ale tym razem nie dziobał mnie lufą, tylko bronił posuwania się rękojeścią. Nie groził już. Nie pozwalał iść. Oczy miał martwe ze strachu.

– Coś ty mu powiedział? – Drugą ręką chwycił mnie za ramię. – Mów zaraz. Nie łżyj, jeżeli ci życie miłe.

Zdałem sobie sprawę, że naprawdę moje życie wisi na włosku. Naciśnięcie spustu nie sprawiało wtedy trudności nikomu. Gdyby mnie zastrzelił, nie musiałby się długo usprawiedliwiać. Wystarczyłoby zupełnie wyjaśnienie, że chciałem mu wyrwać rewolwer.

– Uspokój się! – strząsnąłem mu rękę z ramienia. – Nic ci nie grozi.

– Co mu powiedziałeś, temu pułkownikowi?

– Powiedziałem, że zwracam się do niego, gdyż nie znam dowódcy tego oddziału, a mnie żołnierze nie chcą słuchać.

– Powiedziałeś mu, że ostrzegałeś żołnierzy?

– A coś ty myślał? Przecież po to go zatrzymałem.

Cofnął się o krok i długo patrzał mi w oczy.

– Ty albo masz niebywałe szczęście, jeżeli mówisz prawdę – powiedział z namysłem – albo jesteś chytry jak sam diabeł, jeżeli kłamiesz. Zawracaj.

– Dokąd?

– Z powrotem.

– Nie – opierałem się. – Wolę wyjaśnić sprawę do końca, żeby na mnie nie ciążyło takie posądzenie. Chodźmy.

– Z powrotem.

Spieraliśmy się jeszcze przez pewien czas z coraz mniejszym przekonaniem, aż wreszcie zawróciliśmy na Uniwersytet. Po drodze kapitan Stanisławski podrzucił w dłoni rewolwer, a kiedy minęliśmy bramę, zatrzymał się, żeby schować go do pochwy. Bez słowa poszedłem dalej.

– Ty, poczekaj! – dobiegło mnie z tyłu. – Jeszcze ci coś powiem.

Przyspieszył kroku i za chwilę zrównał się ze mną. Szliśmy prawie ramię w ramię, ale on patrzył przed siebie i ja również go nie dostrzegałem. Szliśmy w zupełnym milczeniu aż niemal do drzwi Biblioteki.

– Jeżeli masz do mnie żal – przystanął i przytrzymał mnie za rękaw – to dlatego, że nic nie rozumiesz. Wcale się nie dziwię. Nikt nie może zrozumieć, kto z nami razem nie żyje. Spotka go coś takiego, jak ciebie teraz, i od razu myśli: ależ to łajdak, jakich mało na świecie! Brata rodzonego sprzeda za byle co, za trzy gotowane i zmarznięte kartofle. Może i sprzeda. Trzeba jednak zrozumieć, co go do tego zmusiło. Trzeba nas znać. Trzeba wiedzieć, jaka jest prawda. Żeby zaś przekonać się, jaka jest prawda, trzeba dowiadywać się, bez przerwy dowiadywać się, że w nocy, nad ranem wciąż u nas giną ludzie. Łatwiej niż muchy. Za byle co. Nawet i bez żadnego powodu. Zupełnie jak muchy. Tylko dlatego, że latały w pobliżu i że nasunęły się pod rękę. Po prostu na nie trafiło, a potem zaraz trafi na inne, bo much jest pełno. Jak ludzi. Rozumiesz? I co ty na to?

– Nic.

– Nic? To znaczy, że ciągle nic nie rozumiesz. Nie chcesz rozumieć?

– Chcę. Ale nie rozumiem.

– Dobrze. To ci wytłumaczę. Kiedy tak wciąż giną ludzie, nie wiadomo dlaczego i nie wiadomo za co, kiedy przepadają bez wieści i nigdy nikt już się o nich nie dowie albo dowie się po wielu miesiącach, że zmarli w łagrze, to tym bardziej chce się żyć. Nie jeść i nie spać, ale żyć. Zwyczajnie żyć... [....]

Sprawa jednak dla nas się na tym nie skończyła. Pod wieczór udałem się jak zwykle po wodę. Na małym podwóreczku przy Szpitalu Świętego Rocha cudem zachowała się studnia. W czasie powstania służyła obsłudze szpitala i rannym przywleczonym tu przez pielęgniarzy nocą nawet z kanałów. Przy żelaznej pompie stał jednak wartownik. Na mój widok zerwał karabin z ramienia.

– Odejdź – wrzasnął z niespodziewanym gniewem. – Nie wolno.

– Co się stało? – spytałem. – Co dzień biorę stąd wodę.

– Nie wolno – Pogroził mi karabinem. – Rozmawiać z wartownikiem też nie wolno. Nie zbliżaj się.

Po odejściu stałem na dziedzińcu, nie bardzo wiedząc, co robić. Trzeba będzie, myślałem, topić wodę ze śniegu i herbata, którą przywiózł w papierku profesor Borowy, nabierze obrzydliwego smaku. Dotychczas pita wieczorem przy rozgrzanym piecyku była przyjemnością tak wyszukaną, że niecierpliwie czekało się chwili, kiedy po całym dniu pracy na mrozie można będzie w spokoju rozkoszować się jej aromatem. Żołnierze z przejeżdżających taborów łazili ciągle po całym terenie. Nie usiłowali już zakradać się do Biblioteki, gdyż mało mieli nadziei, że nikogo w niej nie zastaną. Wiadomość tę musieli sobie przekazywać jakimś tajemniczym, im tylko znanym sposobem. Snuli się zatem między budynkami, zaglądając z daleka w wybite okna, wykopując czubkiem buta ze śniegu połamane łyżki czy pokrywki od menażek. Wyciągnąłem ze sterty papierów jakąś podartą broszurę, wziąłem z naszego pokoiku blaszankę na wodę i wyszedłem na podwórze. Wkrótce nadszedł jeden z tych zarośniętych woźniców, jacy cały dzień snuli się nie wiedzieć po co między budynkami.

– Przynieś mi wody – zatrzymałem go. – Wiesz, studnia jest za tym domem przy bramie. Dam ci za to całą tę książeczkę z cienkiego papieru do zawijania machorki.

– A sam nie możesz?... – zaczął, ale urwał w pół zdania i zaczął mi się przyglądać z rozbudzoną nagle ciekawością.

– Ty z Biblioteki? – upewnił się.

– Z Biblioteki – potwierdziłem.

– Polak?

– Polak.

Obejrzał mnie jeszcze uważnie od stóp do głów i wreszcie pokiwał głową.

– Nie wyglądasz ty, człowieku, na takiego kogoś, kto by zatruwał studnie – powiedział z politowaniem. – A zresztą, kto cię tam wie. Może i zatruwasz. Po wyglądzie człowieka się nie poznaje, tylko po tym, co robi. Kiedy tak mówią, to mają swoje powody, tylko że nie zawsze prawdziwe. No, dawaj to wiaderko. Moich koni jeszcze nie otrułeś. Poję je już drugi dzień wodą z tej studni i dotąd nic, zdrowe.

Bohdan Korzeniewski na widowni Teatru Kameralnego w Warszawie podczas prób *Grzechu* Stefana Żeromskiego, 1951 r.

NAC

Wiadomość, że zostaliśmy w Warszawie, żeby zatruwać studnie, szerzyła się między żołnierzami. Nie było to jedyne podejrzenie, jakie na kilkunastu mieszkańcach lewobrzeżnej Warszawy ciążyło w tych pierwszych dniach odzyskanej wolności. Kapitan Stanisławski przed paru dniami, pokazując mi słupy dymu wzbijające się w wielu miejscach zlodowaciałej Warszawy, użalał się przede mną na głupią zawziętość partyzantów, którzy podpalają resztki ocalałych domów, żeby tylko nie dostały się w ręce zwycięzców. Zdziwił się, że nic nie wiem o oddziałach podpalaczy ukrywających się wciąż w ruinach, aby na rozkaz dowódców powstania wzniecać pożary dla budzenia nienawiści do wyzwolicieli. Pogłoski te z wyjątkową bezmyślnością powtarzali w kilka dni później oficerowie kościuszkowców, pełniący różne funkcje kulturalne i dlatego szczególnie starający się w wyglądzie wojskowym upodobnić jeśli nie do Wieniawy, to przynajmniej do księcia Józefa. Te zabiegi ze względu na żałosne przeważnie dyspozycje fizyczne wywoływały efekt komiczny. Robiły wrażenie przebieranek czasami odrażających. W zestawieniu z tymi „dowódcami frontowymi", obsypanymi mnóstwem gwiazdek na naramiennikach, niezdarni taboryci uderzali smutnym, ale prawdziwym człowieczeństwem.

Mój znajomy przynosił mi wodę jeszcze przez dwa dni i starannie składał w harmonijki cienki papier albo pogniecioną bibułkę, jaką mu przynosiłem. Robił sobie zapasy nie tylko na najbliższe miesiące wojny, ale i na późniejsze czasy po powrocie do ojczyzny. Potem zniknął na zawsze z Uniwersytetu i z mojego życia.

Nie zatarł się jednak w mojej pamięci. Został w niej jako przedstawiciel ludu rosyjskiego, który powiększył o tysiące mogiły pokrywające naszą ziemię. Różnił się on wyraźnie od funkcjonariuszy różnych maści i rang, „doradców" w Urzędach Bezpieczeństwa, w sztabach, w dowództwach pułków, w ministerstwach, w organizacjach politycznych, jacy na swój wschodni, wydumany ład upodabniali nasz kraj do własnego. Pewnie i tacy jak on nie przynieśli nam upragnionego pokoju, jakiego dane było zaznać innym, szczęśliwszym narodom. Na drogach swojego pochodu zostawiali dużo krzywd ludzkich, popalonych siedzib,

zgwałconych kobiet, rozstrzelanych młodych chłopców, którzy nie bez powodu przyjmowali ich jak najeźdźców. Palili, gwałcili i zabijali. Gwałcili, gdyż korzystali z odwiecznego prawa zdobywców, wzniecali pożary, gdyż rozpraszało to ich ssącą nudę, zabijali, gdyż był to jedyny znany im sposób sprawowania władzy. Nie wywoływali tej zimnej i nieprzejednanej nienawiści, jaką budzą wykonawcy przemocy urzędujący w swoich biurach, komendanturach i więzieniach. Ci prześladowcy bowiem dopuszczają się zdrady cywilizacji, o którą się jednak otarli. Himmler uczył się dziesięciorga przykazań w swojej szkółce niedzielnej. Beria za młodu słuchał pieśni zrodzonych przez starą i szlachetną kulturę. Czyż należy taką samą odpowiedzialnością obarczać plemiona z puszcz i stepów dające upust swojej żądzy niszczenia? Można tylko zastygnąć w grozie, patrząc, jak w swoim pochodzie palą zboże na pniu, zamieniają pałace w kloaki, plądrują dorodne osiedla, aby je zamienić w rzędy osmalonych kominów i w kikuty czarnych drzew.

* * *

Zastanawiałem się nieraz, czemu nie wyciągnąłem ręki, na którą oczekiwał kapitan Stanisławski na pustym dziedzińcu przed Biblioteką Uniwersytecką? Na pewno był głęboko przekonany, że postąpił ze mną uczciwie, a może nawet szlachetnie. Nie dość, że do mnie nie strzelił, co mógł uczynić bez groźniejszych następstw, ale starał się później życzliwie, „po ludzku", ze mną porozumieć. Nie ukrywał mało chwalebnych powodów swego postępowania. Wprost przeciwnie. Wyznał je z całą otwartością w przeświadczeniu, że obaj jednakowo zdajemy sobie sprawę z faktu, że ludzie należą do istot słabych, a nawet występnych. Wyzbył się nawet męskiego wstydu, żeby mi to powiedzieć. Powinienem był wobec tego odwzajemnić się mu, jeśli nie podobnie bolesnym wyznaniem, to przynajmniej rozważaniami o godnych litości cechach natury ludzkiej. Poczulibyśmy wówczas coś z tego ciepła, jakim obdarzają się więźniowie, klepiąc się mocno po plecach. Ja jednak nie spełniłem tych nadziei. Sprawiłem mu bolesny zawód. Toteż przed odejściem popatrzył na mnie oczami tak pełnymi urazy, że zapamiętałem je do dzisiaj. Jeśli pod koniec wojny uratował życie i wrócił do swoich nieprzebytych puszcz na Syberii, to również i on zachował mnie w pamięci z dokładnością, z jaką przechowuje się obraz ludzi, od których się doznało niezasłużonej i niespodziewanej krzywdy.

Bohdan Korzeniewski, *Było, minęło. Wspomnienia*, Państwowy Instytut Wydawniczy

Istotnie, odtrącenie ręki wyciągniętej z prośbą o przebaczenie należy do najokrutniejszych obelg. Nie doznaję jednak wyrzutów sumienia, że się jej dopuściłem. Nie uważam się również za okrutnika. [...]

W tych warunkach cywilizacja u nas mogła się ratować przed ostateczną klęską tylko w jeden sposób – stawiając sobie najwyższe i najbardziej nieugięte wymagania. One jedynie mogły uchronić nasz kraj od pogrążenia się w dzikości. W tym przekonaniu utrzymywała mnie w gmachu – gdzie na wyłamanych drzwiach zawiesiłem wypisany koślawymi literami napis: *Gosudarstwiennaja Bibliotieka Warszawskogo Uniwiersitieta* – obecność profesora Wacława Borowego. [...]

Profesor Borowy posiadał pod tym względem kwalifikacje zupełnie wyjątkowe. I jako znawca kultury światowej o rzadko spotykanej rozległości wiedzy, i jako długoletni kustosz tejże Biblioteki, obznajmiony jak mało kto z jej zasobami, i może nade wszystko jako w okresie wojennym plenipotent Delegata Rządu dla ustalenia wyrządzonych nam szkód. Mogłem wówczas zdać sobie sprawę, jak surową dyscyplinę narzucał sobie ten szczupły i wątły człowiek o wyglądzie nieporadnego inteligenta. Poczynając od ubrania, wszystko wskazywało na jego zupełną nieumiejętność przystosowania się do wojny. Nie brał jej w rachubę w swoich zamierzeniach [....]

Nie mogło mu się pomieścić w głowie, wypełnionej wzniosłościami postępu, że niszczycielami staną się nie żywioły w postaci powietrza, ognia czy wody, ale działający z zimnym i zbrodniczym rozmysłem ludzie. Oglądałem ich, jak dokonywali dzieła zniszczenia. Z pozoru nie różnili się od innych. Przeciwnie. Mogłoby się wydawać, że do korzystania ze zdobyczy cywilizacji są przygotowani lepiej niż pozostali. Niestety, to obycie z cywilizacją polegało na umiejętności posługiwania się katalogami dla niszczenia zabytków sztuki i komorami gazowymi dla mordowania matek z dziećmi.

Profesor Borowy w swojej chustce na zbielałej twarzy i swoich mitenkach na odmrożonych rękach siadał na skrzynce w przewiewnym korytarzu i sprawnie, szybko, umiejętnie przeglądał półkę po półce. W niebieskich oczach za grubymi szkłami okularów miał bolesne skupienie. Chwilami przezierała z nich rozpacz. – Proszę mi pomóc – mówił, kiedy idąc za jego wskazówką, sięgałem po książkę, żeby ją położyć na stertę wiązaną później sznurkiem. – Może panu będzie łatwiej dokonać wyboru. Co uratować? Zdołamy ocalić tak mało...

[...] zabraliśmy się do porządkowania zbiorów zalegających rozległą sień Biblioteki. Składały się z setek książek, broszur, rycin, rękopisów poznoszonych przez nas przed paroma tygodniami z okolicznych piwnic i schowków. Wtedy układaliśmy je w sterty pod ścianami, ale teraz zaścielały grubą i skotłowaną warstwą cały hall, gdyż przeszło przez nie dużo butów żołnierskich. Borowy po dawnemu otulony w kobiecą włóczkową chustkę zasiadał od świtu na tym pobojowisku kultury i ze zwałów papieru, błota i kału ludzkiego wyciągał sponiewierane cenności. W ten sposób wydobył z odległych miejsc parę grubych brulionów z *Dziennikami* Żeromskiego, gdzie indziej podniósł zeszyt z młodzieńczym dramatem tego pisarza.

– To zapewne pana zainteresuje – powiedział, wyciągając do mnie rękopis – zupełnie nieznana sztuka. Na nieszczęście urywa się na początku aktu czwartego. Może znajdzie się gdzieś zeszyt z zakończeniem. Poszukam.

Jak wiadomo, ten drugi zeszyt nie odnalazł się nigdy. Zapewne wcale go nie było. Toteż, kiedy po kilku latach niespodziewanie dla samego siebie reżyserowałem ten dramat [*Grzech* – red.] na scenie, zakończenie dorobił najlepiej widziany z ówczesnych pisarzy, co wywołało namiętne i usprawiedliwione spory. Wzbudziło je nie tyle samo mieszanie się do cudzej twórczości, bo to było raczej pozorem, ile zaniechanie zachowanego we fragmencie pomysłu autora na rzecz zupełnie odmiennej, ale wówczas uprawianej nagminnie, interpretacji klasowej.

Po zapadnięciu zmierzchu chroniliśmy się z Borowym w niewielkim pokoiku przylegającym do sieni. Jeszcze za poprzednich przyjazdów umieściliśmy tam żelazny piecyk wygrzebany spod śniegu gdzieś na Powiślu i teraz korzystaliśmy z jego dobroczynnej opieki. Piecyk trzeszczał i dymił, ale rozgrzewał się niemal do czerwoności i napełniał szybko ten schowek dusznym ciepłem, od którego zwijały się rozrzucone wokół papiery. Zgarniałem te papiery na dwie sterty, wyrównywałem je oprawionymi rocznikami czasopism, jakichś „Kłosów" czy „Tygodnika Ilustrowanego", nakrywałem płachtami pakowego papieru i w ten sposób sporządzałem nasze legowiska. Borowy jednak nie kładł się nigdy od razu do snu. Siadał na swoim posłaniu, umieszczał na kolanach czasopismo wielkiego formatu i przystępował do pisania.

Żywił przekonanie, że należy za świeżej pamięci zapisać jak najwięcej z tego, czego doznaliśmy. – Nigdy nie wiadomo – rzucał w rozmowie – co się może przydać historii, która będzie się zastanawiać nad straszliwymi zagadkami naszych czasów i może mieć kłopoty z zadaniem, jakie miejsce wyznaczyć człowiekowi na ziemi, aby go nie pozbawić godności. Nie nam przecież rozstrzygać, jaki z faktów nam znanych będzie miał dla tych rozważań wielkie, a jaki małe znaczenie.

Prosił mnie zatem, żebym mu dokładnie i nie lekceważąc szczegółów, opowiedział, co działo się na terenie Uniwersytetu w trakcie powstania. Wejdzie to przecież do dziejów Biblioteki, która się mimo wszystko ostała z głębokimi otworami w murach wywierconymi dla ładunków dynamitu, których nie zdążono umieścić. [...]

Borowy przy pisaniu wykazywał tę samą niezawodną dyscyplinę, jaka go cechowała w całym postępowaniu. Nie dobierał słów, nie szukał dla nich miejsca w zdaniu, nie nasłuchiwał, jak układają się w rytm, nie śledził tej ukrytej gdzieś w głębi kadencji, która stanowi o indywidualności autora. Zupełnie o tym nie myślał. Jestem przekonany, że troski, jakich niegdyś doświadczał, choćby przy pisaniu *Kamiennych rękawiczek*, uznałby obecnie za małostkowe, a nawet gorszące. Czasy były zbyt groźne, żeby zajmować się sobą chociażby przez staranność wypowiedzi. Pisał jednym ciągiem, prawie nie odrywając pióra od papieru, posłuszny tylko myśli, która znajdowała słowa przystające dokładnie do rzeczy i nienasuwające wątpliwości. [...]

* * *

Pierwodruk: Bohdan Korzeniewski, *Wyzwolenie*, „Kultura", Paryż, 1986, nr 1-2, s. 51-69.
Skróty pochodzą od redakcji

REKLAMA

ANTYKWARIAT KWADRYGA

ANTYKWARIAT KWADRYGA KUPI KSIĄŻKI,
STARE POCZTÓWKI, FOTOGRAFIE, MAPY I GRAFIKI.
DOJEŻDŻAMY DO KLIENTÓW NA TERENIE CAŁEJ POLSKI.
WYCENIAMY KSIĄŻKI. PŁACIMY GOTÓWKĄ. TEL. 22 622 11 54

SZCZEGÓLNIE INTERESUJĄ NAS:
książki przedwojenne • naukowa literatura humanistyczna (filozofia, historia, sztuka, prawo)
pierwsze wydania poezji • wydania emigracyjne • oprawy artystyczne • autografy.

Zapraszamy do kontaktu. Antykwariat Kwadryga • ul. Wilcza 29A lok. 25 • Warszawa • tel. 22 622 11 54

Z dziejów cmentarza na **Zieleńcu w Komorowie**

Daniel Wolborski

Historia podwarszawskiego miasta-ogrodu Komorów (zwanego później Komorów-Wille) wiąże się z osobą jego założyciela – Józefa Markowicza. Jako poseł na sejm wielokrotnie wyjeżdżał za granicę, gdzie zetknął się z ideą miast-ogrodów. Zakładała ona realizację osiedli zamieszkanych przez nie więcej niż 5 tys. osób. Na osiedlach miały znajdować się m.in. kościół, szkoła oraz obiekt sportowo-rekreacyjny

22 listopada 1938 r. odbyło się zebranie Rady Gromadzkiej osiedla Komorów-Wille. Z dokumentów z tego zebrania, przechowywanych dziś w archiwum ksiąg wieczystych przy Sądzie Rejonowym w Pruszkowie, dowiadujemy się, że przewodniczącym Rady był sołtys Stanisław Talmont, a przedmiotem spotkania stało się przejęcie na rzecz wspólnoty gruntów darowanych przez Józefa Markowicza. Była wśród nich działka nr 21, o powierzchni 15 837 m², przeznaczona na tzw. Zieleniec. Teren ten miał pełnić rolę miejsca rekreacji, odpoczynku, spacerów, spotkań. Wojna pokrzyżowała te plany.

Plan nowoczesnego osiedla Miasto Ogród Komorów z 1929 r. (w górnej części widoczny Zieleniec)

APW, oddział w Milanówku, Zespół Biura Geodezji i Urządzeń Rolnych

W sierpniu 1944 r. wybuchło Powstanie Warszawskie. Miejscowe władze cywilne i kościelne zdecydowały w tym samym miesiącu o założeniu na Zieleńcu tymczasowego cmentarza dla mieszkańców Warszawy, przede wszystkim dla pacjentów szpitala św. Rocha w Komorowie, prowadzonego pod auspicjami Rady Głównej Opiekuńczej (Polskiego Komitetu Opiekuńczego). Personel szpitala w Komorowie składał się z 20 pracowników. Na jego czele stał doktor Józef May, internista, lekarz chorób wewnętrznych.

Formalne erygowanie oraz oficjalne poświęcenie cmentarza miały miejsce w grudniu 1944 r. Akt erekcyjny nie zachował się. Poświęcenia dokonał, w obecności przedstawicieli Rady Głównej Opiekuńczej, kapelan RGO, ksiądz Józef Jakubczyk, ówczesny proboszcz parafii Pęcice.

W latach 2006-2007 fakt istnienia cmentarza na Zieleńcu potwierdził na łamach „Magazynu Parafialnego" – czasopisma parafii komorowskiej – Tomasz Terlecki, badacz dziejów Komorowa. Dodatkowo udało mu się ustalić listę pochowanych na Zieleńcu osób. Podstawą do ich ustalenia stał się dokument znajdujący się w zasobach Archiwum Akt Nowych w Warszawie, noszący datę 9 listopada 1944 r. i tytuł *Meldunek z dn. 9 XI 44 w sprawie poszukiwań grobów uchodźców w Komorowie*.

Dzięki przeprowadzonej ponownie kwerendzie źródłowej udało się zebrać nowe informacje na temat opisywanego cmentarza i osób tam pochowanych.

Cmentarz na Zieleńcu funkcjonował w latach 1944-1952. Jego ogrodzenie stanowiły brzozowe słupki połączone drutami. Pośrodku znajdował się wysoki krzyż misyjny.

Od września do grudnia 1944 r. na cmentarzu pochowano 36 osób. Wśród nich znaleźli się:

1) **Zofia Jaśkiewicz** – lat 57, ur. 31 grudnia 1887 r., zamieszkała w Warszawie przy ul. Brzozowej 8. Zmarła na serce 5 września 1944 r. i pochowana została bez trumny jako pierwsza na komorowskim cmentarzu tego samego dnia. Pozostała po niej emerytalna karta likwidacyjna i kwota 266 zł. Pochowana na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 1. Ekshumowana w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II.

Ze zbiorów rodziny Szczypior

Cmentarz na Zieleńcu w Komorowie w 1944 r.

2) **Marianna Klim** – lat 75, ur. w 1869 r. Przybyła z obozu w Pruszkowie. Zmarła 7 września 1944 r., pochowana baz trumny tego samego dnia na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 3. Ekshumowana w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II (jako Jalicenia Klinum).

3) **Stefan Góreck**i – lat 57, ur. 10 marca 1887 r., zamieszkały w Warszawie przy ul. Bednarskiej 10. Przybył do Komorowa z obozu w Pruszkowie 6 września 1944 r. Zmarł na serce 8 września. Pochowany bez trumny na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 2.

4) **Elżbieta Ślibzak** – 5 miesięcy, ur. 20 marca 1944 r., córka Eugeniusza i Reginy z Całków (uchodźcy z Warszawy), rodzice mieszkali w Warszawie przy ul. Powsińskiej 56. Zmarła na niedomaganie serca i została pochowana 19 września 1944 r. na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille. Ekshumowana w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II (widnieje nazwisko Ślibziak).

5) **Cecylia Malinowska** – lat 61, ur. w 1883 r., wdowa zamieszkała w Warszawie przy ul. Wolskiej 13/76. Przybyła do Komorowa 9 września 1944 r. Zmarła w szpitalu Rady Głównej Opiekuńczej w Komorowie 24 września i została pochowana tego samego dnia w mogile bez trumny na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 4. Ekshumowana w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II.

6) **Wiesław Słoń** – lat 12, ur. w 1932 r., syn Stanisława i Marianny z Kurków, zamieszkały w Warszawie przy ul. Falęckiej 12. Przywieziony z obozu w Pruszkowie jako ranny 29 września 1944 r. Zmarł 30 września. Pochowany na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 5. Ekshumowany w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II.

7) **Helena Kamieńska z domu Święszkowska** – lat 78, ur. 1 stycznia 1866 r. w miejscowości Boraskie (ziemia łomżyńska), zamieszkała w Warszawie przy ul. Belwederskiej 20. Córka Franciszka i Pauliny z Konopków, wdowa po Michale (Machale). Zmarła 1 października 1944 r. Pochowana na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 6. Ekshumowana w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II.

8) **Kobieta nieznanego imienia i nazwiska** – lat 70. Dotarła do Komorowa z pruszkowskiego obozu w stanie całkowitego wyczerpania. Umarła 5 października 1944 r. Pogrzebana została bez trumny na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, w mogile numer 7.

9) **Stanisława Smilgius z Rylewiczów** – lat 76, ur. w 1868 r. w miejscowości Lepel (obecnie Białoruś), córka Apolinarego i Barbary Wańkowiczów, wdowa, zamieszkała w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 4. Dotarła do Komorowa z obozu pruszkowskiego 4 października 1944 r. Zmarła 6 października. Pochowana bez trumny na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 8. Przypuszczalnie ekshumowana w maju 1947 r. na jeden z cmentarzy w Krakowie.

10) **Józef Albin Chromiński** – lat 51, ur. 20 lutego 1893 r. w Siedlcach, syn Michała i Franciszki, zdun zamieszkały w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 29 (Mokotowska 26). Przywieziony z obozu w Pruszkowie jako ranny 4 października 1944 r. Zmarł w szpitalu Rady Głównej Opiekuńczej w Komorowie 7 października i został pochowany bez trumny tego samego dnia na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 9. Ekshumowany w kwietniu 1945 r. Miejsce pochówku nieznane.

11) **Witold Kazimierz Adamczewsk**i – lat 34, ur. 5 marca 1910 r., urzędnik firmy „Społem", zamieszkały w Warszawie przy ul. Wilczej 19.

Przywieziony z obozu w Pruszkowie jako ranny 4 października 1944 r. Zmarł w szpitalu Rady Głównej Opiekuńczej w Komorowie 8 października lub 9 października. Pochowany na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 10. Ekshumowany w 1952 r. na cmentarz Powązkowski (Stare Powązki) – kw. 141, rz. 5, gr. 28.

12) **Józef Roman Aleksander Kwaśniewski** – lat 57, ur. 21 lutego 1887 r. w Białej Podlaskiej, syn Aleksandra i Emilii z Erfurtów, przemysłowiec zamieszkały w Warszawie przy ul. Tucholskiej 25. Pozostawił żonę Zofię z domu Lalka. Przybył do Komorowa jako ranny 1 października 1944 r. Zmarł w szpitalu Rady Głównej Opiekuńczej w Komorowie 8 października. Pochowany na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 11. Ekshumowany w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II.

13) **Maurycy Józef Maciej Mikułowski** – lat 65 (podawany jest także wiek 68 lat), ur. 24 lutego 1879 r., emerytowany urzędnik zamieszkały w Warszawie przy ul. Solec 36. Do Komorowa trafił z obozu pruszkowskiego 8 października 1944 r. Zmarł w szpitalu Rady Głównej Opiekuńczej w Komorowie 9 października i pochowany został tego samego dnia na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 12. Ekshumowany w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II (widnieje jako Maciej Mikulski).

14) **Jadwiga Florentyna Górska z domu Janowicz** (błędnie podawane imię Klementyna) – lat 73, ur. 15 października 1871 r., zamieszkała w Warszawie przy ul. Wilczej 52. Dotarła do Komorowa przez obóz w Pruszkowie 2 października 1944 r. Zmarła 11 października. Pochowana na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 13. Ekshumowana w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera A-S rząd I (widnieje jako Jadwiga Górska z domu Janowicz, lat 75).

15) **Franciszka Kraska z domu Kowalska** – lat 74, ur. 3 października 1870 r. w Bykach (powiat gostyniński), zamieszkała w Warszawie przy ul. Pańskiej 111. Przybyła z obozu pruszkowskiego. Zmarła 13 października 1944 r. Pozostawiła 938 zł. Pochowana na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 14. Ekshumowana w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-L rząd II (widnieje wiek – 72 lata).

16) **Janina Bogacka z domu Chruścińska** – lat 45, ur. 22 grudnia 1899 r., mieszkanka warszawskiej dzielnicy Koło. Przybyła do Komorowa z obozu w Pruszkowie. Zmarła 13 października 1944 r. Pochowana bez trumny na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 15. Ekshumowana w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II.

17) **Edward Lütz** – lat 59, ur. 29 listopada 1885 r., urzędnik Banku Emisyjnego w Warszawie, zamieszkały w Warszawie przy ul. Wspólnej 59. Trafił do Komorowa przez obóz pruszkowski. Zmarł 13 października 1944 r. Pochowany na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 16 lub 19. Ekshumowany w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-L rząd I (widnieje nazwisko Lutz).

18) Brak danych.

19) **Bronisław Moliński** – lat 74, ur. 15 września 1870 r. w Ruścu (powiat Łask), emerytowany urzędnik, zamieszkały w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 9. Przybył z obozu pruszkowskiego. Zmarł i został pochowany 14 października 1944 r. na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 19. Ekshumowany w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II.

20) **Aleksander Ludwik Janowski** – lat 78, ur. 2 października 1866 r., profesor, geograf, „ojciec polskiego krajoznawstwa". Współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, autor wielu publikacji. Zamieszkały w Warszawie przy ul. Wspólnej 16. Do Komorowa trafił z obozu w Pruszkowie 2 października 1944 r. Zmarł 14 października i pogrzebany został bez trumny tego samego dnia. Pochowany na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 19. Ekshumowany 17 października 1947 r. na cmentarz Powązkowski (Stare Powązki) – Aleja Zasłużonych, rz. 1, gr. 52, 53.

21) **Bronisława Józefa Chodowiec z domu Tchórzewska** – lat 87 (podawany jest także wiek 95 lat), ur. w 1857 r. w Krzesku, parafia Zbuczyn (powiat siedlecki). Córka Antoniego i Joanny z Podniesińskich, wdowa zamieszkała w Warszawie przy ul. Genewskiej 5. Do Komorowa dotarła przez pruszkowski obóz 4 października 1944 r. Zmarła 15 października i pochowana została bez trumny następnego dnia na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 31.

22) **Emilia Rabczuk** – lat 74, ur. w 1870 r. Przybyła do Komorowa z obozu w Pruszkowie. Zmarła i pochowana 15 października 1944 r. na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 20. Ekshumowana w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II (widnieje nazwisko Rabczak).

23) **Eugenia Skąpska z domu Jeleńska** – lat 68, ur. 5 listopada 1876 r. w Malatach (powiat wileński), córka Bolesława, zamieszkała w Warszawie przy ul. Asfaltowej 12. Jej mężem był inż. Franciszek Skąpski (lat 63, ur. 1881 r.). Zmarła 14 października 1944 r. i została pochowana dnia następnego na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 21. Ekshumowana w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-L rząd II (widnieje jako z domu Jelieńska).

24) **Helena Studencka** – lat 56, ur. 27 kwietnia (maja?) 1888 r. w Dortmundzie, córka Adolfa i Reginy Lewińskiej, pochodząca z Włocławka, pracownica biura firmy „Brun". Przybyła przez obóz pruszkowski. Pochowana 16 października 1944 r. bez trumny na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 22. Ekshumowana w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II (widnieje nazwisko Studenska).

25) **Władysława Czyżewska** – lat 62, ur. w 1882 r. Dotarła do Komorowa przez obóz w Pruszkowie. Zmarła i pogrzebana 16 października 1944 r. Pochowana bez trumny na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 23. Ekshumowana w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II.

26) **Anna Maria Józefa Krasuska** – lat 61, ur. 28 marca 1883 r. w Bielsku-Białej, ortopeda, zamieszkała w Warszawie przy ul. Siennej 76. Przybyła z obozu pruszkowskiego. Zmarła 17 października 1944 r. Pochowana na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 30.

27) **Wiktoria Bożek** – lat 74, ur. w 1870 r., zamieszkała w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej. Przybyła do Komorowa 2 października 1944 r. Pochowana 22 października na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 29.

28) **Joanna z Radwańskich Nitecka** – lat 68, ur. 24 maja 1876 r. w Ozorkowie (powiat łęczycki), córka Wojciecha i Marii z Kryszczyńskich. Właścicielka fabryki materiałów izolacyjnych, zamieszkała w Warszawie przy ul. Obozowej 20. Trafiła do Komorowa z obozu pruszkowskiego 29 września 1944 r. i tu zmarła 24 października. Pochowana na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 28.

29) **Karol Przybylsk**i – lat 90, ur. w 1854 r., zamieszkały w Warszawie przy ul. Chmielnej 98 (przypuszczalnie może chodzić o Karola Przybylskiego, jednego z pierwszych reżyserów polskiej kinematografii początków XX w. i wydawcę książek dla dzieci). Przybył z obozu pruszkowskiego 18 października 1944 r. Zmarł 27 października. Pochowany na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 27.

magazynparafialny.org

Odsłonięcie głazu Aleksandra Janowskiego, 1971 r.

30) **Stanisław Frey** – lat 72, ur. 26 lipca 1872 r. w Kijowie, syn Michała i Konstancji z domu Hansenplatz. Elektromechanik zamieszkały w Warszawie przy ul. Drużbackiej 11. Przybył przez obóz w Pruszkowie 12 października 1944 r. Zmarł 26 października. Pozostawił żonę Feliksę z Kulikowskich. Pochowany na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 26.

31) **Eugenia Bronisława Jeziorańska z domu Lipińska** – lat 55, ur. 15 listopada 1889 r. w Warszawie, córka Władysława i Ludwiki z Heinrichów. Zamieszkała w Warszawie przy ul. Szustra 70. Przybyła z obozu pruszkowskiego. Zmarła 28 października 1944 r. Pochowana na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 25.

32) **Tomasz Matuszewski** – lat 69, ur. w 1875 r. w Kutnie, zamieszkały w Warszawie przy ul. Księdza Felińskiego 83. Przybył do Komorowa 4 października 1944 r. Zmarł 31 października. Pochowany na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 24.

33) **Wacław Michał Mazurek** – lat 73, ur. 19 sierpnia 1871 r. (1891 r.) w Bełżycach (powiat lubelski), zamieszkały w Warszawie przy ul. Rakowieckiej 47. Zmarł w Komorowie 1 listopada 1944 r. Pochowany na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 32/33. Ekshumowany w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II.

34) **Czesław Stanisław Jarczyński** – lat 44, ur. 30 stycznia 1900 r. w Kamieńczyku (powiat radzymiński), syn Franciszka i Marii z Sapkiewiczów. Urzędnik zamieszkały w Warszawie przy al. Niepodległości 151. Pozostawił żonę Zofię Zdzisławę z Pokorskich. Zmarł na zapalenie płuc 26 listopada 1944 r. Pochowany na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 35. Ekshumowany w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II.

35) **Maria Ludwika Włodarczyk z domu Maciejowska** – lat 70, ur. 24 października 1874 r., emerytka zamieszkała w Warszawie przy ul. Kobielskiej 88/92. Pochowana 31 listopada 1944 r. na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille, mogiła 34. Ekshumowana w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II.

36) **Karol Konstanty Aleksander Berger** – lat 64, ur. w 1880 r. w Warszawie, syn Karola i Aleksandry z Dudzińskich. Dyrektor hotelu, wdowiec. Zmarł w Komorowie 26 grudnia 1944 r. Przypuszczalnie pochowany na cmentarzu Rady Głównej Opiekuńczej na Zieleńcu, Komorów-Wille. Ekshumowany w lutym 1952 r. na cmentarz Powstańców Warszawy, kwatera B-S rząd II.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej 25 ciał ekshumowano i pochowano w większości na cmentarzu Powstańców Warszawy na Woli. Dwie osoby zostały pochowane na cmentarzu Powązkowskim (Stare Powązki), jedna w Krakowie, miejsce pochówku jednej nie jest znane. Co do losu pozostałych 11 ciał źródła milczą. Nie można wykluczyć, że rację ma Tomasz Terlecki, który twierdzi, że „cmentarz nie był nigdy oficjalnie zlikwidowany, co jest o tyle istotne, że może wskazywać, iż nie wszystkie osoby na nim pochowane zostały ekshumowane. Dodatkowym dowodem, że cmentarz nie był zlikwidowany, są dwa fakty. Po pierwsze – że budynek budowanej w końcu lat 60. szkoły zaplanowany został dokładnie tak, by nie naruszył obszaru cmentarza. Po drugie – przypadkowe osunięcie się wykopu fundamentowego budowanej szkoły odsłoniło niespodziewanie szczątki jednego z nieekshumowanych [!] pochówków" (*A jednak święte*, „Magazyn Parafialny", nr 1 [71] z 18 lutego 2007).

Obecnie jedynym śladem istnienia cmentarza na Zieleńcu jest głaz upamiętniający miejsce pochówku Aleksandra Ludwika Janowskiego – geografa, podróżnika, współzałożyciela Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Głaz ten znajduje się na terenie szkoły i został uroczyście odsłonięty w 1971 r.

Literatura i źródła (wybrane): Z. Kowalewicz, *Józef Markowicz i jego rodzina w Komorowie*, Komorów 2014 (http://www.komorow.pl/o-komorowie/jozef-markowicz-i-jego-rodzina-w-komorowie); L. Kulczyńska-Pilich, *Historia kościoła w Komorowie* (strona komorow.mkw.pl); M. Wiśniewska, M. Sikora, *Szpitale powstańczej Warszawy*, Warszawa 1991; *Exodus Warszawy. Ludzie i miasto po Powstaniu 1944*, t. 4, oprac. J. Kazimierski, D. Skorwider, R. Śreniawa-Szypowski, Warszawa 1994; Rejestr pochówków cmentarza Powstańców Warszawy na Woli; Raptularz zgonów parafii Pęcice 1943-1945; Księga zmarłych parafii Pęcice 1921--1945; Unikat aktów, urodzeń, ślubów i zgonów w parafii Pęcice od roku 1946 do 1953 włącznie; Lista ekshumowanych na terenie Warszawy w latach 1945-1947, syg. 455/163 (Archiwum Państwowe m.st. Warszawy); Ewidencja cmentarza Powązkowskiego (Stare Powązki); Rada Główna Opiekuńcza, zespół 125, teczka 1999 (Archiwum Akt Nowych); „Biuletyn Informacyjny PTTK", 1964, nr 69; A. Zwolska, *Flirt z Eskulapem i Melpomeną*,Puszczykowo 1996

O to miejsce dbamy bardziej niż o własny dom

Justyna Sieńczyłło i Emilian Kamiński, twórcy Teatru Kamienica, odpowiadają na pytania Tomasza Miłkowskiego

Powstaniu Teatru Kamienica towarzyszyły Wasze ambicje i marzenia. Które z nich udało się spełnić, a które okazały się niezniszczalne?

Emilian Kamiński: Budując mój teatr, przede wszystkim marzyłem o wolności twórczej. Jestem za wolnością wypowiedzi, a własny teatr pozwala mi mówić to, co chcę. Ponad 10 lat to mnóstwo czasu, a dla prywatnego teatru funkcjonowanie przez przeszło dekadę to chyba duży sukces. Tak naprawdę byłem jedyną osobą, która w to marzenie wierzyła, i mówię to z całą odpowiedzialnością. Ani przez chwilę nie miałem wątpliwości, że to się uda, choć początkowo nic na to nie wskazywało. Dziś mogę powiedzieć, że spełniło się moje marzenie, i to jest dla mnie najcenniejsze.

Justyna Sieńczyłło: W ubiegłym roku udało się zrealizować kolejne marzenie Emiliana – otworzyliśmy przy teatrze policealną Szkołę Rzemiosł Artystycznych KamArti, kształcącą w zakresie realizacji światła, dźwięku i multimediów – jedyną taką w Polsce. Właśnie rozpoczęliśmy rekrutację na kolejny rok szkolny. Możliwość edukacji młodych pokoleń, w tak istotnych dla teatru dziedzinach, niesie również wielkie spełnienie.

Żeby Kamienica mogła powstać, a potem przetrwać, potrzebna była wielka determinacja. Skąd czerpaliście siły, aby teatr ocalić?

EK: Sam nie wiem. Kocham życie i uważam, że jest ono najwyższą wartością, a Kamienica jest nieodłącznym elementem mojego życia. Ktoś kiedyś porównał mój teatr do piekarni. Bardzo trudno jest wypiec chleb, ale nic tak nie smakuje, jak ten właśnie bochenek. To dla mnie najlepszy smak na świecie – smak życia.

JS: Do Kamienicy nigdy nie podchodziliśmy biznesowo. O to miejsce dbamy bardziej niż o własny dom. Droga wyznaczona przez Emiliana stała się *idée fix* naszego życia.

Charakterystyczną cechą Kamienicy jest jej demonstrowana warszawskość. We foyer ponad 20 m² zajmuje makieta przedwojennej Warszawy. To nie przypadek. Dlaczego taki właśnie wybór?

EK: Dla mnie Warszawa to kobieta, coś jak matka. Makieta Warszawy to owoc miłości do mojego miasta. Kiedy realizowałem marzenie o własnym teatrze, priorytetem była dla mnie popularyzacja tradycji, historii, dziedzictwa kulturowego stolicy. Dlatego też Kamienica to miejsce, gdzie zobaczyć można prawdziwą perełkę – makietę Warszawy z sierpnia 1939 r., tuż przed zniszczeniem.

JS: W Kamienicy mamy wielki szacunek dla historii. To miejsce wiele widziało – tutaj był szpital Armii Krajowej podczas Powstania Warszawskiego i między innymi przez te mury Irena Sendlerowa przerzucała dzieci z getta. My się tej historii kłaniamy nie tylko repertuarowo, lecz także poprzez takie projekty, jak makieta, zabytkowy tramwaj przed teatrem oraz mnóstwo wydarzeń artystycznych, np. coroczne obchody 1 sierpnia.

Kamienica musi zarabiać, żeby istnieć. A mimo tej konieczności nie unikacie spektakli misyjnych – zwłaszcza adresowanych do młodego pokolenia, choć nie tylko. Ważnym przedsięwzięciem był grany przez kilka sezonów *Pamiętnik z powstania warszawskiego* według Mirona Białoszewskiego.

EK: Kamienica to więcej niż teatr. To misja, która z ekonomicznego punktu widzenia może nie jest opłacalna, ale ja bez niej nie wyobrażam sobie teatru. Spektakle dla młodzieży to wyróżniająca Kamienicę, na tle innych instytucji kultury, mocna część naszego repertuaru. W minionym sezonie do spektakli *My, dzieci z dworca ZOO* o narkomanii i prostytucji oraz *Dopalacze. Siedem stopni donikąd* dołączyła sztuka *Wszechmocni w sieci* o zagrożeniach w Internecie. Młodzież przyjeżdża do nas i chłonie te sztuki. Mają one trochę uporządkować im w głowach, rozjaśnić, przestrzec... To jest misja teatru.

JS: Co roku organizujemy też Wigilię i Wielkanoc dla bezdomnych. Prowadzimy własną fundację, sporo robimy dla potrzebujących. Od lat działa u nas teatr osób niepełnosprawnych, w naszym kalendarzu znajduje się wiele wydarzeń charytatywnych. Dzielimy się tym, co mamy.

Wasz teatr gra i to bardzo dużo. Jeśli połączyć to w sezonie razem ze spektaklami gościnnymi, można się doliczyć 20 tytułów na afiszu.

EK: To prawda, mieliśmy wyśmienity sezon. Wspaniały! Takiego jak teraz jeszcze nie było. Sześć premier – jedna po drugiej. Bardzo dobrze przyjęte przez widzów, przez krytyków. Otwarcie szkoły KamArti... Najlepszy z dotychczasowych sezonów.

JS: Utrzymujemy się przede wszystkim z biletów, nie mamy stałych dotacji, więc też bardzo ciężko pracujemy. Najważniejszy jest dla nas szacunek do widza, nie tylko od strony towarzyskiej, lecz także artystycznej. Pilnujemy poziomu, tu nie ma zmiłuj.

Kamienica to wiele przestrzeni – trzy sceny, sale restauracyjne, studio nagrań i od niedawna szkoła. Skąd pomysł na zawiązanie tej ostatniej? Brakuje chętnych do pracy w teatrze?

EK: Jak już wspomniałem, od początku marzyłem – i planowałem – aby otworzyć szkołę rzemiosł artystycznych. Zamierzałem to zrobić w formie technikum zawodowego, ale ze względu na wiele przepisów i obostrzeń nie udało się tego zrealizować. KamArti jest więc policealną, dwuletnią szkołą uczącą zawodu oświetleniowca, dźwiękowca i realizatora multimediów w jednym. Na rynku brakuje takich specjalistów, a posiadanie umiejętności z tych trzech dziedzin otwiera każde drzwi.

JS: Sami ciągle szukamy takich zawodowców, a mając tak bogate zaplecze techniczne w Kamienicy, aż żal byłoby z niego nie skorzystać. Nasi uczniowie uczą się od razu w teatrze, od najlepszych zawodowców, wieloletnich praktyków.

Myśleliście także o kształceniu aktorów, ale w innym trybie, niż to ma miejsce obecnie.

EK: Taki był zamysł, jednak przepisy dość mocno go zweryfikowały. Wierzę, że w przyszłości uda się również kształcić w tym kierunku.

A wracając do scen – dlaczego aż trzy?
EK: Na więcej nie mamy już miejsca [śmiech]. A tak poważnie: trzy sceny doskonale się uzupełniają, zarówno pod względem repertuarowym, jak i technicznym. Przed laty Joseph Papp, reżyser z Broadwayu, powiedział mi tak: „Mam dwie sceny – małą i dużą. Na dużej gram komedie i musicale, na małej poważniejsze sztuki. Tym sposobem zadowalam różne gusta, a duża scena zarabia na małą". Uznałem to za dobry model biznesowy.
JS: Poza tym Kamienica to również jedna z najbardziej cenionych przez specjalistów przestrzeni eventowych w Warszawie. Klimatyczne wnętrza, doskonałe zaplecze techniczne, studio nagrań, własna restauracja, a przy tym lokalizacja w samym sercu stolicy. Kiedy jest kilka scen, wtedy nie ma kolizji wydarzeń zewnętrznych – które poza biletami pozwalają nam funkcjonować – ze spektaklami.

W programie teatru spotykają się spektakle dla dzieci, dla młodzieży i dla dorosłych. Odrębną kategorię stanowią spektakle wyjazdowe. Kamienica wygląda bardziej na dużą firmę produkcyjną niż niewielki prywatny teatr.
EK: Kamienica to przede wszystkim ludzie. Jak wielokrotnie mówiłem, teatr to łódź płynąca po oceanie niemożności. Załoga musi więc być dobra – to od niej najwięcej zależy. A że nie może być zbyt liczna, to każdy musi podchodzić do pracy z sercem, nieść wartość dodaną. Czasem płyniemy na fali sukcesów – tak jak w czasie przed epidemią – a niekiedy pod prąd, jak teraz. Najważniejsze jednak, że wciąż płyniemy – bogaci w doświadczenia, z ogromnym apetytem na przyszłość.
JS: Mówiąc o ludziach, warto wspomnieć o naszej wspaniałej widowni. Dowody uznania od ludzi stanowią dla nas sens tej pracy, która nierzadko bywa trudna. Dziękujemy za każde słowo wsparcia, każdy miły gest, decyzje o przełożeniu terminów odwołanych spektakli w czasie pandemii. Mamy cudowną widownię.

Pandemia zmieniła aktywność teatrów. Czy teatr zmieni się trwale, czy też wróci w utarte koleiny?
EK: Sytuacja jest bardzo ciężka, ale musimy dalej funkcjonować, szukać rozwiązań, rozwijać działalność dodatkową, jak szkoła czy studio nagrań, które działa przy teatrze. Musimy przetrwać kryzys. Głęboko wierzymy, że za chwilę wszystko wróci do normy.
JS: Od 17 lipca zaczynamy na nowo grać spektakle. Na razie na dużej scenie, do 150 osób. Wakacje to zawsze był dla nas trudny czas. Ufamy, że od września wrócimy już na normalne tory. Życzymy tego sobie i wszystkim sympatykom Kamienicy.

Tekst powstał w ramach programu stypendialnego *Teatry stolicy, 30 sezonów, 1989--2019*, przyznanego przez Prezydenta m.st. Warszawy

Wiktoria 1920

„Niepodległa" zaprasza na obchody setnej rocznicy Bitwy Warszawskiej

Rozmowa z Janem Kowalskim, dyrektorem Biura Programu „Niepodległa", koordynującego obchody setnej rocznicy odzyskania niepodległości i odbudowy polskiej państwowości

Jak będą wyglądały obchody stulecia Bitwy Warszawskiej w czasach pandemii Covid-19?
Podobnie jak inne instytucje dostosowaliśmy ofertę do wymogów sanitarnych, ale myślę, że pomimo ograniczeń jest ona szeroka i atrakcyjna. Nasze działania mają przede wszystkim charakter edukacyjny, zachęcamy do pogłębiania wiedzy i włączania się we wspólne świętowanie.

Skąd możemy czerpać wiedzę na temat wydarzeń z 1920 r.?
Wspólnie z Polskim Radiem przygotowujemy serwis bitwa1920.gov.pl, który prowadzi użytkownika przez kolejne wydarzenia wojny polsko-bolszewickiej. Charakter edukacyjny ma również kampania *Wiktoria 1920*, realizowana we współpracy z Fundacją Ośrodek KARTA. Co tydzień publikujemy archiwalia dokumentujące to, o czym myśleli i o czym korespondowali Polacy sto lat temu, oraz co było publikowane w prasie. Zapraszamy także do korzystania z wystawy planszowej, która powstała we współpracy z Muzeum Wojska Polskiego. Każdy może pobrać plansze z naszej strony i zorganizować ekspozycję w swojej miejscowości, szkole, instytucji.

Na planie filmu *Wiktoria 1920*

fot.: Biuro Programu „Niepodległa"

Jan Kowalski, dyrektor Biura Programu „Niepodległa"

A co z uczestniczeniem w obchodach?
Przygotowaliśmy dwa nieszablonowe projekty. Pierwszy to film fabularny *Wiktoria 1920*, zrealizowany w technologii VR 360° 3D, pozwalającej widzowi wcielić się w rolę bohatera i jego oczami obserwować wydarzenia. Prapremiera filmu zaplanowana jest na 12 sierpnia, a dla szerokiej publiczności obraz zostanie nieodpłatnie udostępniony w Internecie. 15 sierpnia odbędzie się natomiast widowisko multimedialne na PGE Narodowym w Warszawie, transmitowane na antenach telewizji publicznej, a dostęp dla widzów na stadionie uwarunkowany będzie sytuacją epidemiologiczną.

Co jeszcze możemy zrobić, żeby upamiętnić bohaterów z 1920 r.?
Można się włączyć do kampanii *Wiktoria 1920*, która wystartuje na początku sierpnia. Zachęcamy do zrobienia sobie zdjęcia z pamiątkami po Bitwie Warszawskiej, np. pomnikiem, pamiętnikiem czy nawet nazwą ulicy nawiązującą do wojny z 1920 r., i opublikowania go w mediach społecznościowych z hasztagiem #wiktoria1920. Wybrane zdjęcia wykorzystamy do stworzenia wielkoformatowego kolażu, który zawiśnie na ogrodzeniu terenu budowy pomnika Bitwy Warszawskiej na placu na Rozdrożu. Zapraszamy też do udziału w konkursie literackim *1920*, którego celem jest stworzenie literackiej panoramy roku 1920. Można napisać kryminał, romans, opowiadanie szpiegowskie itd. Efektem konkursu będzie antologia z nagrodzonymi pracami oraz opowiadaniami napisanymi przez jurorów konkursu, popularnych polskich autorów.

Kto jeszcze może zorganizować wydarzenia na stulecie Bitwy Warszawskiej?
Wspieramy organizacje pozarządowe i samorządowe instytucje kultury z całej Polski w przygotowaniu wydarzeń związanych z Wiktorią 1920 r. Nabór wniosków do programu dotacyjnego *Koalicje dla Niepodległej – #wiktoria1920* zakończył się 15 lipca. Jestem przekonany, że dzięki zaangażowaniu lokalnych społeczności i przy wsparciu z naszego programu będziemy mogli uczestniczyć w wielu ciekawych projektach poświęconych Bitwie Warszawskiej.

Szczegółowe informacje o obchodach stulecia Bitwy Warszawskiej i materiały do pobrania są dostępne na stronie www.niepodlegla.gov.pl

Znane i nieznane

Piąta strona Mazowsza to najnowsza wystawa w Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie. Organizatorzy prezentują program na rodzinną wycieczkę, w którym są atrakcje turystyczne dla małych i dużych, a wszystko to w pobliżu Warszawy. Muzeum zachęca do aktywnego wypoczynku, któremu może towarzyszyć odkrywanie „małej ojczyzny". Punktem wyjścia są cztery średniowieczne zamki: Sochaczew, Liw, Ciechanów i Czersk. Wystawa *Piąta strona Mazowsza* w Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie powstała we współpracy m.in. z Kampinoskim Parkiem Narodowym, Towarzystwem Opieki nad Zabytkami Oddział w Czersku, Stacją Muzeum w Warszawie, Muzeum Kolei Wąskotorowej w Sochaczewie, Legionowskim WOPR-em oraz Centrum Kultury i Czytelnictwa w Serocku. Ekspozycja będzie otwarta do końca wakacji. A już we wrześniu Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie zaprasza na wystawę *Stroje półbogów*, na której zostanie zaprezentowana wyjątkowa kolekcja kreacji polskich olimpijczyków.

Muzeum Sportu i Turystyki, Centrum
Olimpijskie im. Jana Pawła II,
ul. Wybrzeże Gdyńskie 4, 01-531 Warszawa
e-mail: muzsport@muzeumsportu.waw.pl

XX Festiwal *Sinfonia Varsovia Swojemu Miastu*

Już od 2 sierpnia aż do 3 września trwać będzie XX Festiwal im. Franciszka Wybrańczyka *Sinfonia Varsovia Swojemu Miastu*. Przez ten miesiąc cztery razy w tygodniu w Pawilonie Koncertowym przy ul. Grochowskiej 272 będziemy mieli okazję posłuchać dzieł mistrzów klasyki w wykonaniu kilkudziesięciu artystów z Polski i zagranicy. Rozbudowana formuła festiwalu obejmować będzie koncerty kameralne, orkiestrowe, familijne oraz z muzyką współczesną. Nie zabraknie także dzieł kompozytora, którego 250. rocznica urodzin przypada w tym roku, czyli Ludwiga van Beethovena. Ponadto podczas jednego z koncertów będzie można usłyszeć premierowe wykonanie utworu *Concerto Varsovia* napisanego specjalnie dla Sinfonii Varsovii przez kompozytora młodego pokolenia, laureata wielu konkursów kompozytorskich, Wojciecha Kostrzewę. Wydarzeniem towarzyszącym będzie zorganizowane przez Fundację Sztuka Ciała plenerowe widowisko muzyczno-teatralne *Pędy*. Dźwiękowym fundamentem spektaklu są fale wytwarzane przez rośliny, do których każdorazowo powstają nowe elektroniczne improwizacje.

1920. Historia w plenerze

W ramach obchodów 100. rocznicy Bitwy Warszawskiej Muzeum Łazienki Królewskie, we współpracy z Naczelną Dyrekcją Archiwów Państwowych, przygotowało wystawę pt. *Bitwa Warszawska 1920 r. gwarantem pokoju w Europie*. Wystawę można oglądać w Galerii Plenerowej Muzeum Łazienki Królewskie od strony Al. Ujazdowskich (brama przy Belwederze) od 31 lipca do 31 sierpnia 2020 r.

Wystawa pozwala spojrzeć na zwycięstwo Polaków w wojnie z bolszewikami w szerszym, międzynarodowym kontekście poprzez ukazanie wydarzeń na froncie wschodnim w latach 1919-1920 oraz zmian na mapie politycznej Europy w wyniku działań I wojny światowej oraz ustaleń pokoju wersalskiego. Celem projektu jest ukazanie w jaki sposób Polacy pomogli, pośrednio i bezpośrednio, w odzyskaniu niepodległości przez państwa Europy Środkowo-Wschodniej i kraje bałtyckie, ale także, jak europejskie państwa i narody pomogły Polakom w wygraniu wojny polsko-bolszewickiej. Zatem część wystawy poświęcona została krajom: Armenii, Gruzji, Litwie, Łotwie, Estonii, Finlandii, Ukrainie, Węgrom, Rumunii, Francji, Czechom.

Partnerami wystawy są: Wojskowe Biuro Historyczne, Ambasada Estonii w Polsce, Ambasada Gruzji w Polsce, Ambasada Litwy w Polsce, Ambasada Łotwy w Polsce, Ambasada Ukrainy w Polsce, Wielkopolskie Muzeum Niepodległości, Biblioteka Śląska, Magyar Nemzeti Múzeum, Latvijas Kara muzejs, Latvijas Nacionālā vēstures muzeja, Lietuvos nacionalinis muziejus, Établissement de Communication et de Production Audiovisuelle de la Défense. Finansowo wsparło ją Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Polonia Restituta

O niepodległość i granice 1914 -1921

Remont i rewitalizacja pałacu Przebendowskich/Radziwiłłów dobiegł końca i Muzeum Niepodległości, zagospodarowując odnowione wnętrza, wznawia działalność wystawienniczą. W czasie remontu swojej siedziby wystawa pt. *Polonia Restituta* – w pierwotnej, krótszej wersji – była prezentowana w Muzeum Romantyzmu w Opinogórze. Jednocześnie trwały prace nad jej nową wersją. Autorką scenariusza wystawy jest dr Jolanta Niklewska.

Na ekspozycji widz może prześledzić wszystkie etapy walki o niepodległość w ujęciu chronologicznym, a także zapoznać się z działalnością głównych polskich obozów politycznych. W części wprowadzającej można zobaczyć kolekcję obrazów ze zbiorów Muzeum Niepodległości: Jacka Malczewskiego, Antoniego Kozakiewicza, Ludomira Benedyktowicza, Franciszka Streitta, Maksymiliana Gierymskiego i Jana Styki. W podświetlonych gablotach prezentowana jest bogata kolekcja biżuterii patriotycznej, odznak, medali i plakiet. Zwracają uwagę oznaki formacji wojskowych, w tym: orzełki strzeleckie i legionowe, odznaki Legionu Puławskiego walczącego po stronie rosyjskiej, odznaki Polskiej Organizacji Wojskowej, jednostek polskich na Wschodzie: I Korpusu Polskiego, II Korpusu Polskiego, oddziału polskiego w Murmańsku, a także Armii Polskiej we Francji (tzw. Błękitnej). Z okresu 1918-1921, czyli walki o granice, pochodzą unikatowe odznaki polskich formacji walczących we Lwowie – w tym odznaka honorowa Orląt Lwowskich czy odznaka pamiątkowa Miejskiej Straży Obywatelskiej we Lwowie. Cennym uzupełnieniem tego zbioru są popiersia, plakiety i medale z wizerunkami polskich polityków i wojskowych z okresu walki o niepodległość: Józefa Piłsudskiego, Józefa Hallera, Romana Dmowskiego, Wojciecha Korfantego, Ignacego Jana Paderewskiego i Ignacego Daszyńskiego. W centralnej części w obszernej gablocie zgromadzono cenny zbiór broni (szable, bagnety, karabiny, rewolwery), mundurów oraz wyposażenia wojskowego polskich formacji walczących od 1914 r. Bardzo ważną częścią wystawy są pozyskane przez Muzeum Niepodległości pamiątki i dokumenty dotyczące konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 r. Możemy zobaczyć rękopis memoriału Romana Dmowskiego w sprawie polskiej granicy zachodniej z lutego 1919 r., pisany odręcznie w języku francuskim, mapy z postulowanymi przez polską delegację granicami, paszporty dyplomatyczne Romana Dmowskiego i przepustki upoważniające do wejścia do Sali Lustrzanej Pałacu w Wersalu na podpisanie traktatu pokojowego. Na uwagę zasługują liczne dokumenty, odezwy i plakaty z okresu 1914-1921, w tym odezwa wielkiego księcia Mikołaja do Polaków z 1914 r., rosyjska mapa przyszłej Europy z 1914 r., odezwa cesarzy Niemiec i Austro-Węgier, odezwa Tymczasowego Rządu Republiki Polskiej (rząd Ignacego Daszyńskiego), odezwa premiera Wincentego Witosa do mieszkańców Warszawy z 6 sierpnia 1920 r.,

a także liczne plakaty propagandowe (polskie i niemieckie) z okresu plebiscytów na Śląsku oraz na Warmii i Mazurach. W sześciu kioskach multimedialnych umieszczono, w porządku chronologicznym, kilkaset zdjęć i skanów dokumentów. Materiał ten jest dostępny w języku polskim i angielskim.

Warszawski Twórca 2020 Piotr Wojciechowski
Nagroda Literacka m.st. Warszawy

Odnajdywanie się

Paweł Dunin-Wąsowicz

Gdyby czterdzieści parę lat temu, po tym, jak Piotr Wojciechowski olśnił literacką publiczność światem swoich pierwszych powieści, ktoś wypowiedział proroctwo, że autor ten zostanie uhonorowany za całokształt jako Warszawski Twórca, wzbudziłby pewnie niemałe zdziwienie

I nie chodzi o to, że pisarz urodził się w 1938 r. w Poznaniu, wzrastał w Lublinie, a pierwsze studia – geologię – odbywał we Wrocławiu (w końcu olbrzymią większość życia miał spędzić w stolicy), tylko raczej o to, jak bardzo nasze miasto bywało ukryte w tych wczesnych utworach. Już od debiutanckich *Kamiennych pszczół* (1967) nic się w jego powieściowym świecie nie zgadzało.

Ułamki miasta i jego omijanie

Ze znajomą nam współczesnością koegzystowało uniwersum operetkowego Cesarstwa – niby wielonarodowych Austro-Węgier, a przecież nie, i nie była to też żadna nazwana Rurytania. Główny bohater pierwszej książki, Dymitr Łazur, nazywał się tak samo jak narrator drugiej, pt. *Czaszka w czaszce* (1970), lecz ich życiorysy były sprzeczne – w odróżnieniu od wspólnych chwiejnych charakterów. Dokoła toczyły się wojny i wybuchały rewolty – ale w tym świecie nie padło słowo ani o komunizmie, ani o nazizmie – one się w nim nie wydarzały! Trudno też powiedzieć, czy w którymkolwiek momencie istniała Polska Ludowa – raczej nie, skoro inżynier Łazur odwiedzał pałacyk bogatego przedsiębiorcy Skleina przy alei Róż i był to jedyny warszawski ślad w debiucie Wojciechowskiego. W *Czaszce*... natomiast jego wojskowy eszelon Warszawę po prostu omijał. Stolica Cesarstwa z powieści *Wysokie pokoje* (1977) zawierała w sobie Sady, Białołękę, Kaskadę i Cytadelę, ale niekoniecznie w znanych nam konfiguracjach. Choć może wojskowa parada z modelem lotniskowca płynącym po stawie przed obliczem Księżnej Wujenki mogła przywodzić na myśl armijne imprezy na placu Defilad, zaś Muzeum Śmiecia z całym imaginarium galicyjskich artefaktów w zachowanym domu w środku blokowiska – ostaniec na osiedlu przy Bernardyńskiej, gdzie pisarz zamieszkał. Nie wzbudzało takich skojarzeń nienazwane miasto z *Obrazu napowietrznego* (1988), z którego Azjaci wypierali Europejczyków – to była raczej krzyżówka Lwowa z Lublinem.

Bardziej niż okruchy Saskiej Kępy z jednego z opowiadań z tomu *Półtora królestwa* (1984) pozostawały w pamięci szalone pomysły z innych utworów Piotra Wojciechowskiego, a więc: autobusy, których pasażerowie przyłapani na złamaniu regulaminu podróży musieli przy kieratach nakręcać ich sprężyny napędowe (*Półtora królestwa*), rzeźby wewnątrz bryły (*Kamienne pszczoły*), pomosty budowane dla kawalerii szturmującej przelatujące w Górach Kebebczerskich sterowce (*Czaszka w czaszce*), silenciaria, w których można nagrać odgłosy z dalekiej przeszłości (*Harpunnik otchłani*), metro łączące natychmiastowo Zakopane z Paryżem, jako świadectwo przynależności Polski do zachodniej kultury (*Półtora królestwa*, *Harpunnik otchłani*).

Piewca bazarów

Ale był i inny trop. Wojciechowski po geologii studiował w Warszawie dziennikarstwo oraz w Łodzi reżyserię (był II reżyserem przy *Iluminacji* Krzysztofa Zanussiego, sam wyreżyserował w 1973 r. średniometrażową *Stację Bezsenność*), a z przepadłych scenariuszowych pomysłów zrodziła się dwunowelowa książka *Manowiec* (1978), chyba najbardziej realistyczna z wydanych przez niego przed transformacją ustrojową. W niej pojawia się Warszawa na serio. Młody artysta Jacek szuka fotografowanej przez siebie na lotnisku Cyganki Tabity Dorkas wśród jej współplemieńców na Pradze: „Przed wejściem na Bazar Różyckiego od Targowej Cyganie sprzedawali patelnie. Jacek przyjrzał się im, popijając wodę sodową z ulicznego saturatora. Tego dnia było tylko dwu, tłum zasłaniał ich, odsłaniał. Duży Cygan ubrany był w wiśniową marynarkę ze złotymi guzikami i trykotową koszulę bez kołnierzyka, włosy miał uczesane z brylantyną, z falą i przedziałkiem. Drugi, nieduży, brodaty, z twarzą porytą bliznami i wypryskami, miał na sobie elegancki niegdyś kraciasty garnitur i podkoszulek w malowane palmy. Jacek zaczął od tego właśnie, wyjął zdjęcie Tabity". Odsyłają go do kobiet wróżących w parku przy Zielenieckiej.

Zdjęcia: P. Dunin-Wąsowicz

Piotr Wojciechowski (ur. 1938 w Poznaniu, od 1963 mieszka w Warszawie) – prozaik, poeta, reżyser, krytyk filmowy, z wykształcenia geolog, dziennikarz, absolwent PWSTiF w Łodzi, w l. 2002-2005 prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, wykładowca PWSFTviT w Łodzi, członek Rady Etyki Mediów i Rady Języka Polskiego, odznaczony Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis"

W nową rzeczywistość ponadpięćdziesięcioletni pisarz, który nie musiał już grać Cesarstwem z cenzurą, wkroczył jako autor satyrycznej *Szkoły wdzięku i przetrwania* (wydanie książkowe 1995). Drukowana początkowo w odcinkach w efemerycznym czasopiśmie „Potop", opowiadała o początkach nowego kapitalizmu, bazarowych korzeniach i handlu dosłownie mydłem i powidłem. Wspólnicy Pyrski i Waciak poznali się w końcówce komuny jeszcze w praskim areszcie przy Cyryla i Metodego – jeden złapany za spekulacje, a drugi za politykę. Budżety ich wielobranżowej spółki ratują doraźnie wpłaty czesnego jedynej studentki tytułowej szkoły – Anny Podbipięty *vel* Glorendy de Soto. I choć siedziba szkoły mieści się w Pałacu Kultury i Nauki, to już we wstępie autor deklaruje się jako wielbiciel bazarów i odsyła do scen z Jarmarku Europa, czyli dawnego Stadionu X-lecia, snując jego genealogię: „Na tym stadionie epoki i międzyepoki umawiają cię na randez-vous. Zbudowano go w dziesięciolecie Manifestu Wedlowskiego i ozdobiono rzeźbą nagich biegaczy. Ludowa mądrość z Bazaru Różyckiego rozpoznała w rzekomych sportsmenach Repatriantów od Chruszczowa, bo to był właśnie czas, gdy trochę cel w Bastionie Pokoju otwarło się i wypuściło takich właśnie naszych – gołych [...] Dzięki Bogu Lolek z Wadowic wyrósł na świetnego papieża, nadszedł dzień, gdy golutkich Repatriantów można było zasłonić ołtarzem, a ze szczytu stadionu tłumy usłyszały, że czas zwyciężać".

Współwłaściciel Szkoły Wdzięku i Przetrwania Wacio Waciak szuka na Stadionie komputerowca Józka Okonia, handlującego na rozłożonym łóżku majtkami, owocami, klejem i książkami. Zanim do niego dociera, jest świadkiem terroru trójki reketerów ze Wschodu, wymuszających haracz na Litwinie, który jeszcze niczego nie utargował, później sam Waciak omal nie traci pod Stadionem tarpana, którego ruski windykator-bandyta chce mu zabrać za długi.

Od tego czasu w pisarstwie Piotra Wojciechowskiego obcujemy już niemal wyłącznie z realną Warszawą. I odwołaniami przede wszystkim do dwu dzielnic, z którymi najwyraźniej czuje się najbardziej związany: Pragi – gdzie przy Wileńskiej koło Szwedzkiej w mieszkaniu baronowej Sperberg (ponoć znała i Rasputina, i Szalapina) podnajmował w młodości pokój – i Mokotowa-Sadyby, gdzie spędził ponad pół życia.

Stalowe kajdany

Jeszcze w *Szkole wdzięku i przetrwania* Pyrski rozpaczał nad obroną swej finansowej Reduty Ordona – baru na

rogu Kijowskiej i Brzeskiej, dokąd ciągnęła „cała Eurazja”, a który to bar chciał zlikwidować burmistrz, bo „zachciało mu się Europy na Brzeskiej”. Także przy Kijowskiej znajduje się warsztat, w którym zdolny rzemieślnik ma przeszlifować po zespawaniu pęknięty blok silnika do łódki z *Harpunnika otchłani* z 1996 r.

Przede wszystkim jednak na rogu Kępnej i Targowej znajduje się lokal operacyjny z powieści *Doczekaj nowiu* z 2007 r.: „był wygodny z wielu przyczyn. Cokolwiek się działo, zawsze tonęło w ruchu tłumów pomiędzy Dworcem Wschodnim, Dworcem Wileńskim i Stadionem Dziesięciolecia. Azjaci i Rosjanie, polski drobny handel i polska mafia, kupujący i gapie, dzień i noc w wiecznej wędrówce, w splotach interesów. Limuzyny o przyciemnionych szybach parkowały obok samochodów dostawczych, zżartych korozją i stojących na felgach wraków, w których handlarze narkotyków i broni mieli wygodne schowki”. Zostaje w nim ulokowana Ludka Sobieska, córka Rosjanina Godunowa, która ma zostać Wunderwaffe polskich służb specjalnych, uwodząc XXI-wiecznego pretendenta do carskiego tronu, Dymitra Romanowa. Odwiedza też praski prywatny teatr – Mydlarnię Dzieł Wyborowych – zaś w budynku liceum Władysława IV ćwiczy sztuki walki (akcja zahacza też śladowo o Nowe Miasto i Żoliborz). W tej samej książce cieśla okrętowy Bonawentura Knat wspomina: „zakopany w ogródku za podwórkami kamienic, zarośnięty zielskiem rzeczy parowiec? Gdyby szukając w Warszawie zapamiętanego w dzieciństwie podwórka z galeryjką na pierwszym piętrze spróchniałej drewnianej oficyny, wchodził uparcie w drugie i trzecie podwórza tych starych domów przy Stalowej czy Inżynierskiej, gdyby brnąc w uliczki bez nazwy, odchodzące od Samarytanki w stronę Targówka Przemysłowego”. Jacht, na którym żegluje, nazywa się natomiast Tabita Dorkas – tak jak zaginiona Cyganka z książki sprzed trzech dekad (nazwiska bohaterów prozy Wojciechowskiego przeplatają się zresztą w jego książkach nieustannie – bohaterką tegorocznego *Złego wiatru* będzie wnuczka Łazura – Emma).

Samarytanka – chyba ze względu na nazwę – wydaje się w ogóle ulubioną ulicą pisarza. W *Szkole wdzięku i przetrwania* w areszcie przy Cyryla i Metodego Pyrski mówi do świeżo poznanego Waciaka: „Wiesz, gdzie na Targówku ulica Samarytanka? Nieważne, że nie wiesz. Pomogłeś w chwilowej niedyspozycji chłopakowi z Targówka. Mów mi Robert i zapomnij o chwilach złych”. Powraca też Samarytanka w wydanej pod koniec zeszłego roku książce *Przebierańcy i przechodnie. Opowiadania warszawskie* (w istocie jest to raczej powieść w opowiadaniach, tak jak *Dwa księżyce* Kuncewiczowej czy *Opowieści galicyjskie* Stasiuka). Ale więcej jest tam o nowej zmyślonej knajpie przy Jagiellońskiej – Odrobina Kosmosu – i kolejnym praskim teatrze, a przede wszystkim jest wspomnienie młodości narratora w rozdziale *Jechać na Stalową*, przywołującego czas, gdy mieszkał z dziewczyną o przezwisku Kotka na strychu jednej z kamienic przy tej ulicy i w zimie chodzili po nim nago, bo tak wielkie ciepło dawała konstrukcja z cegieł ustawiona na kuchni gazowej. A teraz: „Niektóre domy wyglądają tak, jakby mieszkali w nich szczęśliwi ludzie. Nigdy tu tego nie było. [...] Gdzie twoja mądrość, Stalowa. Stalowa jak stalowe kajdanki. [...] Byłem niewolnikiem Kotki, żyłem w jej stalowych kajdankach, z talizmanem płaskiego mosiężnego klucza do kłódki. Byłem szamanem kultów i bydlęciem ofiarnym. Kupiłem na Targowej od Cyganów komplet czarnej bielizny pościelowej, jakbym chciał dać znak sobie samemu, że to zła miłość [...]”.

Okrężne domostwa

Przebierańcy i przechodnie to jednak książka w przewadze nie praska, lecz mokotowska. Jej zalążkiem było najwyraźniej opowiadanie *Pamiętacie Wiberga?* zamówione do antologii *Mówi Warszawa* z 2011 r., a zbudowane wokół legendy o wodnosamolocie ukrywanym przez konspiratorów z Armii Krajowej na Czerniakowie w okolicy jeziorka; legendy, która przemienia się w wirtualną prawdę. Echa rocznicy powstania dopadają bohaterów *Przebierańców*... i na placu Unii, i przy parku Dreszera, i przy pomniku żołnierzy „Baszty” na Dworkowej. Ale przede wszystkim to opowieści z Morszyńskiej, Orężnej i Okrężnej – na tej ostatniej stoi przedwojenna willa zamieszkiwana przez same kobiety. I tak się losy plączą, że inżynier Dionizy-Joni, wróciwszy do Polski z USA, zwiąże się z jedną z jej lokatorek, projektantką Tulką, także reemigrantką – z Australii. Romans na progu jesieni życia przeżyją jednak w mieszkaniu Joniego na Górnym Mokotowie. Wokół domu przy Okrężnej snuć się będą za to dodatkowo duchy i realne osoby z Białorusi, Ukrainy, Izraela i Skandynawii. A kiedy popatrzeć na całą twórczość Piotra Wojciechowskiego, to wydaje się, że od zawsze naczelnym jej tematem jest gubienie się i odnajdywanie ludzi. Także w tym mieście.

Gdy zaś czytam o zmyślonej uczelni WICAD z jego *Próby listopada* (2000) – w której przetworzył swoje doświadczenia wykładowcy scenopisarstwa – mającej siedzibę w dawnym forcie, zgaduję, że nie może to być żaden z tych wokół Cytadeli, ani Fort Bema, za to koniecznie któryś z mokotowskich. Tylko który?

* * *

A kiedy niedawno rozmawiałem z pisarzem o Warszawie, mówił, że ma z nią problem, bo jest za duża. Na moją uwagę, że pisze o oswojonych miejscach, a nie dociera w swej prozie do nowych dzielnic, zamieszkałych przez korpoludków, którym powiodło się mniej (Białołęka) albo bardziej (Miasteczko Wilanów), Piotr Wojciechowski odciął się ostro: – Ale osobiście bywam, bo mam w Miasteczku Wilanów chrześniaczkę. Z Bernardyńskiej na rowerze docierałem jeszcze w zeszłym roku.

Rosyjski ślad w warszawskiej zoologii XIX w.

Maciej Luniak

Aleksander Michajłowicz Bykow (1858--1937) – Rosjan, oficer armii carskiej – podczas kilkuletniego stacjonowania w Warszawie zapisał się jako zapalony badacz awifauny – tj. ptaków – okolic naszego miasta. Był autorem publikacji na ten temat, kolekcjonerem zbiorów ornitologicznych, twórcą nowoczesnej – jak na tamte czasy – wystawy ptaków w Gabinecie Zoologicznym ówczesnego Imperatorskiego Uniwersytetu Warszawskiego. „Polityka historyczna” w Związku Radzieckim i w międzywojennej Polsce sprawiła, że w obu krajach postać Bykowa została całkowicie przemilczana i dopiero niedawno wydobyto ją z zapomnienia

Zdjęcie za: zin.ru/museum/departments/taxidermy/

Aleksander M. Bykow, oficer carskiej armii, był zapalonym badaczem warszawskiej awifauny

Bykow od lat chłopięcych przejawiał zainteresowanie ptakami, jednak z woli rodziców kształcił się na wojskowego. Około 1890 r., w stopniu kapitana, został wraz ze swoim pułkiem skierowany do Warszawy. Tu, poza służbą, uprawiał swe ornitologiczne hobby. Prowadził obserwacje i kolekcjonował okazy awifauny „Priwislinskogo Kraja” – obszaru dawnego Królestwa Kongresowego, wówczas pod rosyjskim zaborem. Był też utalentowanym preparatorem zdobywanych okazów. W tamtych czasach wypchane ptaki stanowiły podstawę dokumentacji awifauny. Kolekcjonowały je licznie wówczas powstające muzea przyrodnicze, modne było ozdabianie nimi wnętrz mieszkań i instytucji. Nie mamy wiadomości o bliższych kontaktach Bykowa ze środowiskiem warszawskich przyrodników, być może był on bojkotowany w ówczesnej atmosferze oporu wobec zaborcy. Później, w odrodzonej Polsce, znalazło to wyraz w zupełnym braku wiadomości o nim w literaturze specjalistycznej i krajowych archiwach historii zoologii, mimo że bogaty zbiór ornitologiczny Bykowa zachował się w warszawskim Muzeum i Instytucie Zoologii PAN.

Badania i pozyskiwanie okazów ptaków Bykow prowadził głównie w okolicach Warszawy, w pasie o szerokości ok. 50 km wzdłuż Wisły od ujścia Pilicy do Zakroczymia. Jednym z najczęściej odwiedzanych przez niego terenów był Las Bielański. W ciągu zaledwie pięciu lat swoich eksploracji udokumentował występowanie aż 288 gatunków ptaków. Ta liczba jest bliska pełnej liście gatunków awifauny badanego obszaru. Zebrane przez niego materiały były bardzo bogate – obejmowały m.in. 2754 okazy „w skórkach”, 750 ptasich gniazd i 1348 jaj. Dziś te liczby, oznaczające przecież zagładę tysięcy ptaków i setek ich lęgów, budzą zgrozę, ale w tamtych czasach taki sposób prowadzenia badań przyrodniczych był powszechny i akceptowany.

Znaczną część tych materiałów Bykow przekazał do Gabinetu Zoologicznego Imperatorskiego Uniwersytetu Warszawskiego, a pozostałe – do Muzeum Zoologicznego Akademii Nauk w Petersburgu lub zachował w prywatnym posiadaniu. Aktualnie w zbiorach warszawskiego Muzeum i Instytutu Zoologii PAN z etykietą Bykowa wykazanych jest 258 okazów („skórek”) 70 gatunków ptaków oraz 125 okazów gniazd 25 gatunków. Materiały te, z wyjątkiem kilku, zostały zebrane w latach

1890-1996 na obszarze „Priwislinskogo Kraja", najczęściej z etykietką „w Warszawie", co można rozumieć jako rejon podwarszawski. Liczne okazy ptaków, gniazd i jaj zebranych przez Bykowa w okresie pobytu w Warszawie przechowywane są też aktualnie w petersburskim Instytucie Zoologicznym Rosyjskiej Akademii Nauk.

Casus muchołówki małej w Lesie Bielańskim

Metody stosowane przez Bykowa, dziś niedopuszczalne, możemy poznać bliżej, czytając m.in. opis prowadzonych przez niego „badań" muchołówki małej w Lesie Bielańskim (opis zawarł w swojej publikacji pt. *Spisok i opisanije kollekcji po biologii ptic Priwislinskogo Kraja. Kollekcji Zoologiczeskogo Kabinieta Impieratorskogo Warszawskogo Uniwiersitieta,* III, Warszawa 1896). W 1890 r. na tym terenie osiedliła się muchołówka mała, gatunek będący wówczas w okolicach Warszawy rzadkością ornitologiczną. Oczywiście wzbudziło to szczególne zainteresowanie Bykowa. Niebawem „pozyskał" do swojego zbioru odbywającą lęg parę tych ptaków, wraz z ich gniazdem. Ku jego zdziwieniu w ciągu następnych dwóch lat kolejne muchołówki małe znów usiłowały osiedlić się w Lesie Bielańskim. Bykow odławiał (odstrzałem, siecią, pętlami, czerpakiem entomologicznym) te ptaki oraz wybierał ich kolejne lęgi. Po trzech sezonach tej eksterminacji muchołówka mała przestała pojawiać się w Lesie Bielańskim, który prawdopodobnie, według Bykowa, był wówczas jej jedynym stanowiskiem lęgowym w okolicach Warszawy. W ciągu stu kolejnych lat nie odnotowano tam obecności tego ptaka. Nie zaobserwowali go m.in. ornitolodzy okresu międzywojennego: Janusz Domaniewski, Jan Sztolcman, Tadeusz Chrostowski i Bohdan Kreczmer. Dopiero ok. 1992 r., czyli dokładnie po stu latach od wytępienia przez Bykowa, muchołówka mała ponownie osiedliła się w Lesie Bielańskim i aktualnie odbywa tu regularne lęgi.

W 1891 r. Bykow zabił w podwarszawskich wówczas Bielanach norkę europejską, która wtedy była w Polsce na wymarciu, a obecnie nie występuje w naszej faunie. Te działania budzą dziś nasz negatywny osąd, jednak w tamtych czasach, jak wspomnieliśmy, była to powszechna praktyka, aprobowana w społeczeństwie i w kręgach przyrodników.

W Gabinecie Zoologicznym

W Warszawie Bykow poznał wybitnego rosyjskiego zoologa Nikołaja W. Nasonowa, który kierował Gabinetem Zoologicznym Imperatorskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Gabinet był jedyną w zaborze rosyjskim instytucją naukową z dziedziny zoologii, pełniącą też funkcję wystawy muzealnej dostępnej dla szerokiej publiczności. W 1893 r. Bykow został na zaproszenie Nasonowa opiekunem kolekcji ornitologicznej Gabinetu. Nadal pełnił przy tym służbę wojskową.

W ciągu kilkuletniej (1893-1899) działalności w Gabinecie Zoologicznym bohater naszej opowieści, inspirowany przez Nasonowa, całkowicie zmienił charakter placówki. Dotychczasowy kustosz Gabinetu, zmarły w 1890 r. wybitny ornitolog Władysław Taczanowski, obok dydaktyki i popularyzacji rozwinął tu działalność naukową i muzealną na skalę międzynarodową. Posłużył temu m.in. napływ materiałów od polskich eksploratorów działających na Syberii (Benedykt Dybowski, Wiktor Godlewski), Kaukazie (Ludwik Młokosiewicz), w Ameryce Południowej i Środkowej (Jan Sztolcman, Konstanty Jelski, Jan Kalinowski, Tadeusz Chrostowski), także poprzez kontakty i ożywioną wymianę z najważniejszymi muzeami Europy. Bykow skoncentrował się przede wszystkim na dokumentacji awifauny „Priwislinskogo Kraja" i temu działaniu podporządkował ekspozycję ornitologiczną Gabinetu. Było to zgodne z polityką zaborcy ograniczania międzynarodowych kontaktów Uniwersytetu.

Nowy opiekun kolekcji ornitologicznej Gabinetu wszedł w swą rolę z wielkim zaangażowaniem, gruntowną wiedzą o ptakach i talentem preparatorskim. Dotychczasowa wystawa ornitologiczna Gabinetu Zoologicznego eksponowała same okazy, natomiast Bykow wprowadził dioramy pokazujące ptaki w ich naturalnych środowiskach i typowych dla nich sytuacjach – na ogół lęgowych – np. przenosił gniazda z terenu na wystawę wraz z ich oryginalnym otoczeniem z gałęzi czy na fragmencie podłoża. Ten „ekologiczny" sposób ekspozycji był wtedy nowością, aranżowaną tylko przez przyrodnicze muzea w Wiedniu i Londynie. Przygotowane przez Bykowa dioramy, znane nam z fotografii zamieszczonych we wspomnianej wyżej jego publikacji, przekonują o kunszcie autora w tej dziedzinie i staranności w odtwarzaniu realiów biologii pokazywanych gatunków i ich środowiska. Ekspozycja mieściła się w 50 gablotach i pokazywała zwyczaje lęgowe 52 gatunków występujących w „Priwislinskim Kraju".

W swojej publikacji Bykow opisał siedem gatunków ptaków ze zbiorów Gabinetu Zoologicznego. Miał to być wstęp do serii dalszych podobnych wydawnictw. Nie ukazały się one jednak – badacz opuścił Warszawę.

Bykow był też autorem doniesień ornitologicznych z okolic Warszawy pt. *Wiesna w okriestnostiach Warszawy (Ornitologiczeskaja zamietka)*, publikowanych na łamach czasopisma „Russkij Ochotnik" w 1893 r. Ich reprint ukazał się w 2018 r. Dają one możliwość porównania podwarszawskiej awifauny sprzed przeszło stu lat z jej dzisiejszym stanem. Na ogół nie widać znacznych różnic w datach wiosennego przylotu większości gatunków, dowiadujemy się natomiast, że kaczka krzyżówka nie była wtedy ptakiem zimującym w Warszawie. Sikory – odwrotnie – w końcu lutego znikały z miasta. Jest też wiadomość o pospolitym występowaniu dzierlatki, która zupełnie wyginęła w naszym mieście. Znamienne jest ubolewanie Bykowa, że w okolicach Warszawy „nie ma już dużych tokowisk cietrzewi, a pozostały jedynie te liczące 3-4 koguty". Czyta się to jak *science fiction*, bo ptaka tego dawno tu nie ma, a w całym kraju jest skrajną rzadkością.

Dalsze losy Bykowa

Innowacyjność stworzonej przez Bykowa ekspozycji ornitologicznej warszawskiego Gabinetu Zoologicznego oraz jej wartość dydaktyczna i kunszt wykonania przyniosły mu uznanie w ówczesnym rosyjskim muzealnictwie. W 1899 r. został zaproszony do stworzenia nowej ekspozycji w Muzeum Zoologicznym Imperatorskiej Akademii Nauk w Petersburgu. Przenosząc się do Petersburga, zabrał część swoich warszawskich zbiorów ornitologicznych. W latach 1899-1904 stworzył w tamtejszym Muzeum Zoologicznym ekspozycję złożoną z ponad 200 dioram, do dziś wysoko ocenianą pod względem estetyczno-dydaktycznym i naukowym. W uznaniu został uhonorowany tytułem członka korespondenta Muzeum, przyznawanym wybitnym uczonym lub podróżnikom odkrywcom. Został też przedstawiony carowi Mikołajowi II i awansowany na pułkownika.

Po powrocie do służby wojskowej Bykow nadal zbierał okazy dla petersburskiego muzeum. W 1913 r. przeszedł na emeryturę w stopniu generała-majora, odznaczony orderami św. Stanisława, św. Anny i św. Włodzimierza. W dostępnych radzieckich i rosyjskich materiałach nie ma wiadomości o jego późniejszych losach poza wzmianką, że „[...] do ostatnich dni życia [...] był związany z Muzeum Zoologicznym Akademii Nauk Związku Radzieckiego" oraz że „[...] zmarł w 1937 r. w Batumi".

Polskie opracowania historyczne nie wymieniają Bykowa, mimo jego zasług dla Gabinetu Zoologicznego i dokumentacji awifauny okolic Warszawy. Również w Związku Radzieckim Bykow był przemilczany jako generał odznaczany i osobiście zaszczycony przez cara Mikołaja II. Dopiero po dekadach ukazała się informacja przywracająca pamięć o zasługach Bykowa dla rosyjskiego muzealnictwa zoologicznego (M.A. Zasławskij, *Landszaftnyje ekspozycji muzejew mira*, Leningrad 1979), a także o jego działalności w warszawskim Gabinecie Zoologicznym – autorstwa piszącego te słowa.

Artykuł jest skróconą i spopularyzowaną wersją publikacji naukowej: M. Luniak, *A.M. Bykow (1858-1937) – zapomniana postać w warszawskiej zoologii XIX wieku*, „Rocznik Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu (Przyroda)", 2019, nr 25 (online 005): 1-9

prof. Maciej Luniak – Muzeum i Instytut Zoologii PAN, ornitolog, autor ogółem 439 publikacji, współpracował ze STOLICĄ, na łamach której publikował w l. 70. artykuły o ptakach w Warszawie

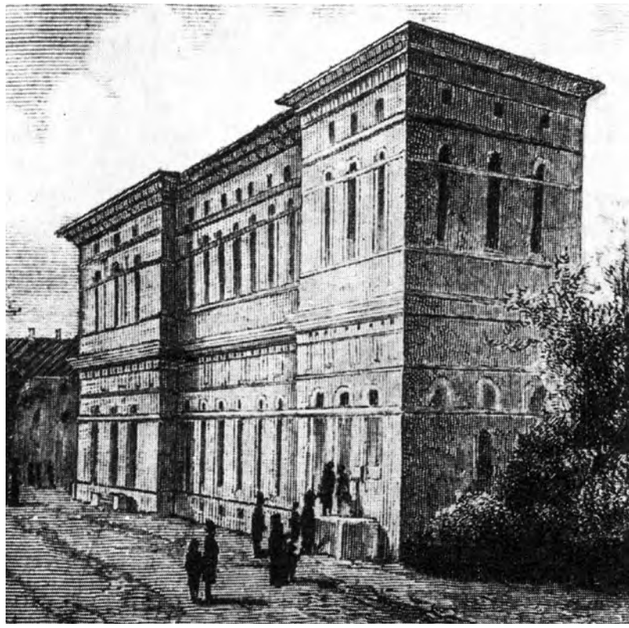

Jeden z budynków kompleksu UW (istnieje do dziś), w którym mieścił się niegdyś Gabinet Zoologiczny, 1882 r.

Diorama stworzona przez A.M. Bykowa w Gabinecie Zoologicznym UW

Zdjęcia: Archiwum MIIZ PAN; M.A. Bykow, *Spisok i opisanije kollekcji po biologii ptic Priwislinskogo Kraja. Kollekcji Zoologiczeskogo Kabinieta Imperatorskogo Warszawskogo Uniwersitieta*, III, Warszawa 1896

Albo „piekarnik”, albo potop

Arkadiusz Szaraniec

Natura miejska nie ma wakacji, stale haruje ze wszystkich sił, by przetrwać i przy okazji także i nasze życie uczynić lżejszym i zdrowszym. Daje tlen, filtruje powietrze ze smogu, a przy tym, kiedy tylko może, cieszy oczy i uszy. Co i rusz kwitną bzy, potem głogi, a jak one przestaną, to lipy, jaśminy, dyskretne a cenne bluszcze, ptaki zrywają gardła, by śpiewać, ile tylko sił. A w dodatku cała natura robi to wszystko za darmo, w ramach tych samych swoich odwiecznych praw i obowiązków. Nie opuszcza się i nie odpuszcza, a nawet jeszcze hojną ręką dorzuca różnego rodzaju nowe, niespotykane atrakcje. W Łazienkach w dużej obfitości pojawiły się piękne grzyby. Ten borowik ceglastopory widoczny na zdjęciu pojawił się w licznym towarzystwie braci oraz świeżutkich kuzynów

Taki mamy klimat i świecką tradycję. Po miesiącach palącej suszy i upału zawsze przychodzi czas, że nagle nam się „powodzi”. Miasta od lat traktują drogocenną deszczówkę jak bezwartościowe śmieci, które (bez sortowania) należy w całości i jak najszybciej odprowadzić do ścieków. Upał i susza (czyli „piękna pogoda” nawet według prezenterów telewizyjnych wszystkich stacji) to już stała klęska żywiołowa, którą większość mieszczuchów znosi ze stoickim spokojem – przecież trudno o lepsze warunki do uprawiania bujnego życia towarzyskiego, zwłaszcza w okresie epidemii. Czego? Aaa, epidemii, tego zwierzątka z koroną w nazwie, które tak demokratycznie tratuje wszystkie nasze dotychczasowe przyzwyczajenia i potrzeby. Mniejsza o kryzys, straty gospodarki, takie sobie perspektywy całego kraju, ale ten nagły „zamach” na urlop i wakacje, czyli podstawowe prawa człowieka?

każdej maści, barwy i kształtu. W wielu innych dzielnicach na trawnikach przy blokach wyrosły nie tylko „psie grzyby”, lecz także dorodne koźlaki. Zostawmy je w spokoju, niech rosną, niech te małe wielkie fabryki biochemiczne wzbogacają glebę trawników, które tak starannie, co miesiąc, „pielęgnujemy”. Odpuśćmy im czasem ten okres wiosny i lata, tego najgorszego „piekarnika”. Może ocaleją tradycyjnie wtedy masakrowane podloty (młode ptaki, które nie umieją jeszcze latać i kryją się, gdzie mogą, przy ziemi), miażdżone hurtowo dorosłe i ledwie narodzone jeże, coraz rzadsze krety, zapracowane trzmiele oraz inne pszczoły i zapylacze, motyle w każdej postaci, bezbronne żaby i ropuchy. Niech sobie pożyją i dalej harują dla naszej korzyści do samej śmierci, ale ciut, ciut później szej. My, ludzie, dobijemy się sami – nikt inny tego lepiej nie robi. ■

A. Szaraniec

Arkadiusz Szaraniec otrzymał za książkę *Warszawa dzika* Nagrodę Literacką m.st. Warszawy 2020 w kategorii *Edycja warszawska*. Naszemu Autorowi oraz Wydawnictwu ISKRY serdecznie gratulujemy!

Warszawa sprzyja

Jacek Fedorowicz

J. Raquelave

Opotrzebie ruchu przypominamy sobie zazwyczaj u progu lata, choć powinniśmy wczesną jesienią raczej. Latem, wraz z podnoszącą się temperaturą, organizm traci ochotę na wykonywanie jakichkolwiek czynności rozgrzewających i trudno mu się dziwić. Bieg w temperaturze powyżej +30 to nie tylko żadna frajda i pożytek wątpliwy, lecz także, wręcz, niebezpieczeństwo zejścia. Ruch ma niewiarygodne zdolności grzewcze. Jako człowiek przez lata oddający się maniakalnemu bieganiu dla zdrowia (z przerwami na rower) wiem, że w zimie – choć wszyscy domownicy tłumaczą, że przecież na dworze mróz i na pewno się przeziębię – nie mogę ulegać namowom i wciągać na grzbiet kilku warstw ubrania, bo albo ugotuję się już po pierwszym kilometrze, albo kolejne warstwy będę musiał z siebie zrzucać i chować po krzakach. W lecie odwrotnie. Być może przez pierwsze sto metrów jest jeszcze przyjemnie, ale potem nie ma ani czego z siebie zdjąć, ani gdzie się schować i zaczyna być groźnie, więc zwracając się do tych, którzy zaplanowali sobie sportowe lato, wyrażam entuzjastyczną aprobatę, że w ogóle, ale jednocześnie apeluję o rozsądek w naszym coraz bardziej tropikalnym położeniu geograficznym. Przypominam też nieśmiało o konieczności utrzymywania się w jako takiej formie przez cały rok. Żeby być przyzwyczajonym i żeby żadne wahania pogodowe nie podsuwały leniwemu organizmowi pretekstu do tłumaczeń, że nie, nie, dzisiaj zostanę w domu, bo przecież w taki upał (mróz/deszcz) się nie da.

rys. Jacek Fedorowicz

Warszawa jest miastem, które wszystkim osobnikom nastawionym na katowanie własnego organizmu stwarza warunki niezłe. Nie upatruję tej zalety w kilometrach ścieżek rowerowych ani w rosnącej liczbie plenerowych poletek z przeróżnymi przyrządami do gimnastyki, nie w metrach sześciennych wody zapełniającej baseny i kąpieliska, choć w tym też. Rzecz nie w urządzeniach profitnesowych, ale we wzrastającej tolerancji dla odmieńców. Bo ćwiczyć można zawsze i wszędzie – byle tylko tłum dogadujących obserwatorów nie był zbyt liczny i wrogi, a wymyślne urządzenia wcale nie są konieczne. Aktor Sławomir Lindner – w latach 60. instruktor w Szkole Teatralnej, uczący przyszłych aktorów, jak się obywać bez kaskadera – pokazywał mi na planie jednego z filmów, jak pada się do tyłu „na sztywno”, wychodząc z tego cało, albo jak słabeusz może zachwycić widownię podnosząc jednym palcem dwa razy cięższego, a przy okazji zdradził, że swoją własną zdumiewającą sprawność i siłę ćwiczył, siedząc w więzieniu. Dodam dla porządku, że za nie dość entuzjastyczny stosunek do władzy ludowej. Ćwiczył w celi, nie w żadnej siłowni. Od niego nauczyłem się dostrzegać przyrządy do ćwiczeń na każdym spacerze nad Wisłą, na podwórku kamienicy i na klatce schodowej. Od chwili, gdy postanowiłem zwalczyć w sobie (choć trochę) wrodzoną chuchrowatość i patologiczne niedołęstwo, a zdarzyło mi się to gdy dobijałem do czterdziestki, wciąż uważam, że codzienna porcja fizycznego zmęczenia przy pomocy truchtu i wieszania się na trzepaku jest naprawdę dobrodziejstwem dla organizmu. Serdecznie polecam. Znajomym, którzy pytają złośliwie „Chcesz umrzeć zdrowszy?”, można odpowiadać „Nie, starszy”. Przepraszam za natarczywy dydaktyzm, ale cóż, starsi tacy są, że koniecznie chcą ulepszać młodszych. I gdyby ktoś chciał się zacząć ulepszać od jutra, to spieszę z zapewnieniem, że w Warszawie można, ponieważ jest to miasto, które przyzwyczaiło się do wszelkiego rodzaju dziwnych zachowań, cudacznych strojów, nietypowych ruchów, niezrozumiałych rytuałów, już nie reaguje agresją i jest dziś w stanie przejść obojętnie obok ćwiczącego jogę, zignorować karatekę kopiącego powietrze ponad własną głową czy też dać się wyminąć idącemu na rękach. Z ciężarkami na stopach, bo przecież chodzi o wysiłek. ■

Pancerna facetka

Przemysław Śmiech

Jak to dzisiaj trzeba uważać... Niech historia, którą wyszczególnie, będzie ostrzeżeniem dla pci męskiej – pozory mylą!

Staliśmy sobie z panem Benkiem, mojem rodzonem sąsiadem, w kolejce w spożywczaku, gdyż nasze małżonki poprosiły nas, pardons, o załatwienie sprawunków. Przed nami stało dziewczę: metr pindziesiąt, szczuplutkie, blond warkoczyk, oczki błękitne jak nurt Wisły, tej królowej polskich rzek.

Jakież było nasze zdumienie, gdy dziewczynka kupiła sobie pifko. Pan Benek natychmiast zrobił uwagie:

– Córuniu, ankohol dzieciom surowo wzbroniony! Nie pij, bo nie urośniesz, słodki mój aniele! Dziwię się również, że personel, nie bacząc na odnośny paragraf, klajniakowi pci damskiej piwonie opyla!

Kobieta za ladą natychmiast się wzburzyła oraz otworzyła buzie:

– Panie, odklejaj się pan! Wiem, że ta dana facetka jest dorosła i pieczność jej przysługuje!

– A, w takiem razie pani przyjmie wyraz ubolewania, jak również zezwoli ucałować prześliczne rączkie! – powiedział pan Benek, pochylając się nad dłonią dziewczyny.

Niestety, ona wyrwała kończyne i zaznaczyła w ten deseń:

– Zaraz! Chwilunia! Gdzie z tem pyskiem! Nie mam życzenia, żeby mnie dziadyga jakiś kalwaryjski cmokał!

Pana Benka natychmiast nerwy opuścili.

– Słuchaj no, szczawiku w spódnicy! Jeszcze cie na świecie nie było, jak facetki na widok mojej wysportowanej sylwetki wzdychali oraz mgleli!

– A teraz też pewnie mgleją. Wielki fioletowy nochal! Bebech jak ponton! I chuch monopolowy taki, że żaden komar, muszka ani motylek nie mają prawa na Grochowie egzystować! – odparła niegrzecznie dziewuszka.

Pana Benka letko przytkało, jak usłyszał takie preore. Odstawił toboły, zamknął oczy i policzył do dziesięciu.

– Słuchaj, dziecino, masz farta, że posiadasz tak zwane naukowo drugie płeć, bo inaczej bym cie rozsmarował na tej ścianie i pani kierowniczka musiałaby cie, kruszynko ty moja, żyletką zeskrobywać!

Dziewczyna nie przestraszyła się wogle groźnych słów pana Benka. Przeciwnie. Podparła się pod boki i powiedziała:

– Taką masz pan krepe? Takiś pan mocny? Zapraszam pana do mnie, jak pan jesteś taki chojrak.

– Czyli gdzie, ptaszyno?

– Do Wesołej, dziadku.

– A co tam jest, skarbeńku?

– Wojsko polskie. Pancerniaki. Zamelduj się pan tam jutro rano i zademonstruj pan, jaki z pana okaz samca alfabeta.

Dziewczyna wyszła, a my staliśmy jak słupy ze soli i filowaliśmy na siebie jak sroki w gnat.

Nazajutrz pojechaliśmy podmiejskiem cugiem do Wesołej. Po paru minutach byliśmy pod bramą Pierwszej Warszawskiej Brygady Pancernej. Podeszliśmy do biura przepustek.

– Dzień doberek, panie kapralu! – zagaił pan Benek.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

– Przyszliśmy tu do jednej panienki.

Kapral spojrzał na nas zdziwiony.

– Jakiej panienki?

– Nie wiem, jak się nazywa. Pewnie pracuje w bufecie albo w bibliotece, taka nieduża...

Kapral zbladł.

– Blondynka?

– Jak aniołek.

– Niebieskie oczy?

– Jak letnie niebo.

– Rozumiem. Chwileczkę.

Pan Kapral podzwonił, po czem oznajmił:

– Pani porucznik Świderek już idzie.

Za chwilunie pojawiła się nasza znajoma. Z tem że teraz w mundurze.

– Zapraszam panów. Na początek małpi gaj. Za mną!

Obacwaj ruszyliśmy za panią porucznik. Doszliśmy do czegoś jak park, jednakowoż zamiast ławek i huśtawek figurowały jakieś płotki i murki.

– Panie sianowny – odezwała się – tu pan startujesz na mój znak. Czas operacyjny – minuta. Naprzód!

Pan Benek ruszył niezwłocznie jak rączy ogier. Na piersze przeszkode jeszcze się jakoś wgramolił, ale bał się z niej zejść. Przeżegnał się i zleciał jak worek kartofli. Z drugiem murkiem było gorzej. Musiałem podbiec i wepchnąć sąsiada. Ale potem nie chciał zeskoczyć.

– Panie Benku, co jest? Taka cizia pana załatwi? – zawołałem.

– Dobra jest, skacze. Przekaż pan mojej żonie, że wszystko jej wybaczam! I teściowej też! A, i zaopiekuj się pan mojem gąsiorkiem, który dojrzewa w piwnicy! I...

– Panie Benku, skacz pan w końcu!

Pan Benek skoczył. Chwile się nie ruszał, ale kiedy zorientował się, że żyje, żwawo się podniósł i syknął z bólu.

– Co tam, panie Benku?

– A nic, imponderabilia se przygniotłem. Nie mogie już. Idziemy.

Niestety, już była przy nas porucznik Świderek.

– Nieźle, nieźle. Teraz bieg.

– Długi?

– Kilometr.

– Może być.

– Z plecaczkiem.

Pani porucznik założyła panu Benkowi plecaczek. Pan Benek aż się ugiął.

– Co tam jest, pani oficerko?

– Dwadzieścia kilo.

– Dwadzieścia kilo czego?

– Co za różnica? Startuj pan! Ojczyzna czeka!

Pan Benek ruszył w bój. Głównie ze sobą. Serce się krajało. Ledwo truchtał, a kiedy się zatrzymał, pani porucznik natychmiast roztwierała prześliczne usteczka:

– Kurrrdebalans! Co jest?! Zagęszczać ruchy żołnierzu!

Biedny pan Benek zagęszczał, a ja się patrzyłem i płakałem jak wierzba.

– Pani porucznik, pani się zlituje nad człowiekiem!

– Nad prykiem!

– Pryk też istota ludzka czy też wszak nie!

Porucznik westchnęła i zawołała pana Benka:

– Wystarczy, żołnierzu!

Pan Benek się przywlókł i zrzucił bagaż.

– O rany boskie, pani porucznik... Pić...

– Pić?

– Tak jest, szurnąłbym lufe...

– Lufe? Proszę uprzejmie – odpowiedziała porucznik Świderek. I zaprowadziła nas do czołgu.

– Duży – zauważył pan Benek.

– Olbrzymie bydle – dodałem.

– A gdzie lufa? – zapytał pan Benek.

– Lufa? Tutaj – powiedziała porucznik Świderek.

– Mam zaszczyt przedstawić. Leopard 2A5. Długość lufy 528 cm. Za chwilunie dostaniecie panowie wiadereczko i specjalny wycior i wyczyścicie lufe na wysokie ce. Potem polerka z zewnątrz. Potem możecie się odmeldować – powiedziała i odeszła krokiem marszowem.

A my przeszliśmy do nakazanych czynności i do wieczora pucowaliśmy czołgowe działo rozmyślając nad siłą słabej pci... ■

PIERWSZA MONOGRAFIA PLACU I SZCZEGÓŁOWA HISTORIA PAŁACU SASKIEGO

Książka nominowana do Nagrody Literackiej m.st. Warszawy

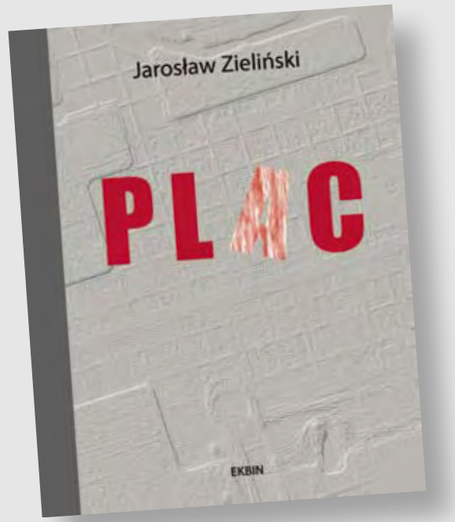

Warszawski plac Piłsudskiego jako zwierciadło losów i duchowej kondycji narodu

Plac Piłsudskiego z Grobem Nieznanego Żołnierza jest miejscem o znaczeniu symbolicznym, ważnym dla całego narodu. Od przeszło dwustu lat jego przestrzeń pozostaje zarówno scenerią manifestacji patriotycznych, jak i polem starć ideowych oraz politycznych. Ich wyrazem są wielokrotne zmiany nazwy placu oraz los wznoszonych tu pomników i gmachów. Budowane wbrew woli większości mieszkańców stolicy, z czasem znikały z przestrzeni placu, choć miały istnieć przez setki lat.

Książka Jarosława Zielińskiego, znakomitego badacza dziejów warszawskiej architektury, jest pierwszą tak skrupulatnie przeprowadzoną opowieścią o przeszłości tego miejsca. Jest też rzetelną analizą problemów związanych z urbanistyką placu. Praca, będąca rezultatem wieloletnich badań, odsłania wiele nieznanych dotąd tajemnic, a autor stara się dociec istoty *genius loci* placu.

Opowieść o placu Saskim, dziś Piłsudskiego, nie ogranicza się wyłącznie do historii. Jest też ważnym, popartym mocnymi argumentami głosem w dyskusji nad odbudową zachodniej pierzei placu z Pałacem Saskim. Dla każdego, kto interesuje się dziejami Warszawy, książka Jarosława Zielińskiego to lektura obowiązkowa. [Jerzy S. Majewski]

Do nabycia w redakcji STOLICY:
tel. 22 / 741 01 30 oraz 603 620 844,
e-mail: miesięcznik.stolica@gmail.com

SPACERKI **ST. OLICY**

Stanisław Olica, w skrócie St. Olica, jest warszawiakiem z krwi i kości, z dziada pradziada, i nic, co warszawskie, nie jest mu obce. Spacery z nim po Warszawie Marii Terleckiej zastąpią nam jej zapiski z *Notatnika miastoluba*

A czy panu nie zabraknie?

Maria Terlecka

Przystanek to miejsce, gdzie przystajemy, przysiadamy, czekamy na pojazd komunikacji miejskiej. W trosce o czekających ławki skonstruowano tak, żeby nikt nie robił sobie z przystanku sypialni, nie ucinał drzemki, aliści potrzebujący odpoczynku i tak jakoś sobie radzą, układają ciało w przedziwne pozycje i zasypiają. Nie jest tak, że tylko pijacy śpią na przystankowych ławkach, śpią też ci, którzy nie mają łóżek, bezdomni, zmęczeni, w kryzysach itd. Przystanek chroni leżącego, ale i siedzącego, od kaprysów pogody, nieprzewidzianych zdarzeń, daje wytchnienie objuczonym zakupami, pozwala odsapnąć w wędrówce po mieście.

Kiedy spotkałam na przystanku St. Olicę, opowiedział mi kilka przystankowych historii. Opowieść pierwsza była o dziewczynie z dzieckiem w wózku. Jadła suchą bułkę, dzieciak też suchą, oboje wyglądali marnie. Nie była pod wpływem jakichkolwiek używek. Wózek stary, kocyk stary. Całość żałosna. St. Olica przysiadł się do niej i szeptem zaproponował wsparcie finansowe. Żachnęła się, że nie potrzebuje. Powiedział, że dla dziecka na owoce. Spytała: „A czy panu nie zabraknie?”.

Druga historia: człowiek na przystanku je chleb. Suchy. Popija wodą, potem wyjmuje z kieszeni foliową torebkę i wyłuskuje z niej drobniaki, liczy kilka razy, coś do siebie szepcze, znowu liczy, chowa zawiniątko do kieszeni i odchodzi z przystanku. St. Olica podszedł do niego i wcisnął mu w rękę 10 zł. „A czy panu nie zabraknie?” – spytał człowiek.

Stwierdziliśmy zgodnie, że potrzebujący dzielą się na nachałów domagających się forsy, opowiadaczy wstrząsających historii, które doprowadziły ich do nędzy, i na tych nieproszących o wsparcie i pytających ofiarodawcę, czy mu nie zabraknie.

Jeszcze przed pandemią w okolicy przystanku podeszła do St. Olicy kobieta i zapytała, czy mógłby jej kupić coś do jedzenia. Nie wyglądała na alkoholiczkę, która nie ma na zagrychę. St. Olica poszedł z nią do sklepu, kupił kawałek kiełbasy, kilka bułek, kefir i coś słodkiego. Gdy wręczył jej pakunek, powiedziała: „Ale się pan wykosztował, starczyłaby bułka z czymś”.

Ryc. Maria Terlecka

Przystanek. Tu łatwiej o międzyludzki kontakt. Ludzie są zatrzymani w biegu, są w bezruchu. Spieszący się dokądś czy po prostu idący nie lubi, jak mu się rytm marszu zakłóca. Na przystanku łatwiej też zauważyć coś, co w miejskiej gonitwie umyka. Siedzą tam też starsi ludzie, niby czekają na pojazd, a tak naprawdę po prostu wyszli, żeby pobyć między żywymi, pogadać, opowiedzieć coś ze swojego życia, ponarzekać. W czasie pandemii jeszcze bardziej „przezroczyści”, wtopieni w miasto, zamaskowani.

Bezdomni, jeśli nie są skrajnie zaniedbani, nie różnią się od zwykłych podróżnych. Są na ogół schludnie ubrani, taszczą ze sobą plecak z dobytkiem – już nie pękatą reklamówkę. Punkty zbiórki darów dla bezdomnych głównie proszą o plecaki, torby na kółkach.

St. Olica jest miejskim łazęgą, na przystankach nie gapi się w komórkę, patrzy na ludzi, ulicę, na życie miasta. „Czasami jakiś drobiazg jest sygnałem, że jest nie najlepiej, że ktoś potrzebuje wsparcia lub choćby odrobiny uwagi” – powiedział i zniknął w pandemicznym, wakacyjnie pustym autobusie. Ja zaś wsiadłam w następny, równie pusty, i przez okno zapatrzyłam się na rozgrzaną letnim upałem Warszawę. ■

Młotkiem po zabytku

Katarzyna Komar-Michalczyk

W połowie czerwca doszło do wyburzeń na terenie dawnej Warszawskiej Fabryki Stali, czyli stalowni praskiej przy ul. Szwedzkiej 2/4. Zniszczeniu uległy stojące w głębi działki zabudowania gospodarcze z końca XIX w. – tzw. stajnie – wymurowane z czerwonej cegły, częściowo otynkowane

Obiekty wpisane były do rejestru zabytków. Właścicielem całego kompleksu dawnej stalowni jest Uczelnia Medyczna im. Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie i to ona prowadziła rozbiórkę. O wyburzeniach poinformowani zostali Mazowiecki Wojewódzki Konserwator Zabytków oraz Stołeczny Konserwator Zabytków. Przeprowadzone jeszcze tego samego dnia przez MWKZ oględziny konserwatorskie wykazały, że Uczelnia nie miała pozwolenia na rozbiórkę. Konserwator wstrzymał wyburzenia; niestety, właściciel zdążył już rozebrać jeden cały budynek od strony alei „Solidarności” i połowę kolejnego. Jak się niebawem okazało, Uczelnia już wcześniej prowadziła rozbiórki na terenie stalowni – zburzyła m.in. mur wewnątrz kompleksu, również wpisany do rejestru zabytków. Stołeczny Konserwator Zabytków zgłosił sprawę rozbiórki tzw. dawnych stajni do prokuratury.

Budynki stalowni wzniesione zostały w latach 1878--1879 przez spółkę Lilpop, Rau i Loewenstein oraz Towarzystwo Urządzeń Górniczych ze Starachowic. Dziś zabudowania te stanowią jeden z największych historycznych kompleksów poprzemysłowych w Warszawie. Mają wartość architektoniczną i historyczną. W czasie swojej prosperity stalownia był największym zakładem hutniczym w Królestwie Polskim, zaopatrywała w swoje wyroby całe Imperium Rosyjskie. Od ok. 1900 r. do 1914 r. w zabudowaniach funkcjonowały rosyjskie warsztaty artyleryjskie, a w dwudziestoleciu międzywojennym – polskie zakłady zbrojeniowe. Kompleks pozostawał w rękach Wojska Polskiego również po II wojnie światowej, do 2000 r. W 2011 r. Uczelnia Medyczna im. Marii Skłodowskiej-Curie kupiła od Agencji Mienia Wojskowego grunt 5,5 ha z budynkami dawnej stalowni praskiej, w ramach przetargu. Wylicytowana cena wyniosła 44 mln zł, ale z racji wpisania obiektu do rejestru zabytków nabywca uzyskał 50% upustu i zobowiązał się do rewitalizacji historycznych budynków. Zaczął dość osobliwie – od wyburzeń zabytkowej tkanki. ■

Na wszystkich zdjęciach stan z 2019 r. – zabytkowe obiekty jeszcze przed zburzeniem

Zdjęcia: J. Wojciechowska, R. Gazda

Drewniana ulica – do czasu

Jarosław Zieliński

Tylko pozornie senna atmosfera ulicy Drewnianej

Z. Marcinkowski

Uważna kwerenda zdjęć autorstwa Zdzisława 4, przechowywanych w zbiorach Archiwum Państwowego Warszawy, wciąż przynosi zaskakujące odkrycia. Pisaliśmy już o tym, iż wielu zdjęciom nie towarzyszą metryczki, a niektóre opisy są nieprecyzyjne lub wręcz błędne. Ostatnio udało się zidentyfikować miejsca wykonania kolejnych trzech fotografii. Wszystkie przedstawiają tę samą ulicę, a jedno z tych zdjęć prezentujemy powyżej. To ulica Drewniana w pobliżu Dobrej – skrzyżowanie akcentuje dwupiętrowa kamieniczka przy ul. Dobrej 38, która przetrwała do II wojny światowej. W głębi po prawej widać jeszcze domy przy ul. Dobrej 34 i 32. Najciekawsze obiekty jednak zostały uchwycone na pierwszym planie, a w szczególności drewniany dworek pod numerem 7, na miejscu którego w 1939 r. wyrosła istniejąca do dziś kamienica małżonków Różyckich. Dworek, wymieniony w spisie z 1784 r. jako dom „prześwietnego" Barszcza, został opisany w roku 1819 jako budynek „o dole frontowy z facjatą", czyli parterowy z wystawką dachową, ówcześnie własność niejakiej Niesporkiewiczowej. Teren był wtedy bardzo podmokły, a drugą stronę ulicy wypełniała odnoga stawu, który niegdyś zdobił ogród stojącego na skarpie wiślanej pałacu Dynasowskiego. Grunty te były regularnie podtapiane wylewami Wisły i w „taryfie" domów na rok 1852 czytamy, iż po nieparzystej stronie Drewnianej pozostały tylko puste place przejęte przez Bank Polski. Przeczy temu wszakże dołączony do spisu plan, na którym dom stoi nadal, wraz z kilkoma innymi drewnianymi zabudowaniami, ale faktycznie na zachód od nich widać jedynie pustkę i rozlewisko stawu. Istnienie dworku i pustych placów potwierdzają kolejne spisy, w latach 60. wymieniające przy domu nazwisko Walter. Na planach z tej epoki budynek obrósł na zapleczu drewnianymi obiektami gospodarczymi, ale dopiero pod koniec wieku przy boku zachodnim powstał tajemniczy budynek o obrysie kwadratu o silnie ściętych narożnikach od strony podwórza. Przeznaczenie tak osobliwego „drewniaka" trudno wyjaśnić. W latach 20. następnego wieku posesja należała już do wspomnianych na wstępie Różyckich. Marcinkowski wykonał swe zdjęcia najprawdopodobniej we wczesnych latach tej właśnie dekady przy okazji wyścigu kolarskiego, zorganizowanego przez „Przegląd Sportowy" i Warszawskie Towarzystwo Cyklistów, którego siedziba i tor znajdowały się na pobliskich Dynasach. Nasze zdjęcie jako jedyne z trzech nie rejestruje zawodników, ale na dwóch pozostałych widać zarówno kolarzy, jak i motocyklistów, chodzi więc o tzw. wyścig drogowy cyklistów i motorzystów. Wspomniana gazeta powstała w roku 1921 i od tej pory była współorganizatorem corocznej imprezy, jednak w tym wypadku może chodzić o zawody poważniejszego kalibru – dookoła Warszawy (po Nowy Dwór i Jabłonnę) z metą na Dynasach.

Piętrowa kamieniczka widoczna za dworkiem powstała po połowie XIX w. i w 1939 r. także już nie istniała, choć sam plac nie został zabudowany. Pozostałe dwa zdjęcia zostały skadrowane tak, że obejmują całą perspektywę ulicy Drewnianej, aż po ulicę Elektryczną i mury najstarszej z trzech kotłowni elektrowni miejskiej. Na naszej fotografii widać jedynie wyniosłą ścianę szczytową kamienicy pod numerem 3, której częściowo tylko wypalone mury rozebrano po wojnie, a posesja została wypełniona nowym gmachem dopiero w ubiegłym roku. Całość ujęcia sugeruje senną, małomiasteczkową atmosferę, jednak temu wrażeniu już wtedy przeczyły nie tylko wyniosłe kominy elektrowni, lecz także stojący naprzeciw dworku i do dziś zachowany ogromny gmach pierwszej miejskiej szkoły powszechnej. Wraz z jej ukończeniem w 1906 r. ulica Drewniana, kiepsko oświetlona gazem, pokryta „kocimi łbami" i pocięta rynsztokami, zaczęła tracić uzasadnienie swej nazwy.

niepodległa

ogólnopolski konkurs literacki

1920

Stwórzmy razem panoramę piórem pisaną!

zgłoś swój tekst do 15 sierpnia 2020
konkurs@niepodlegla.gov.pl

Sprawdź szczegóły na:
www.niepodlegla.gov.pl

ORGANIZATOR niepodległa
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
PARTNER FUNDACJA KGHM POLSKA MIEDŹ
PARTNER MERYTORYCZNY MDP MASZYNA DO PISANIA
PARTNER MEDIALNY PORTAL KRYM..NALNY
MFK
WSPÓŁPRACA Czytambolubie.com

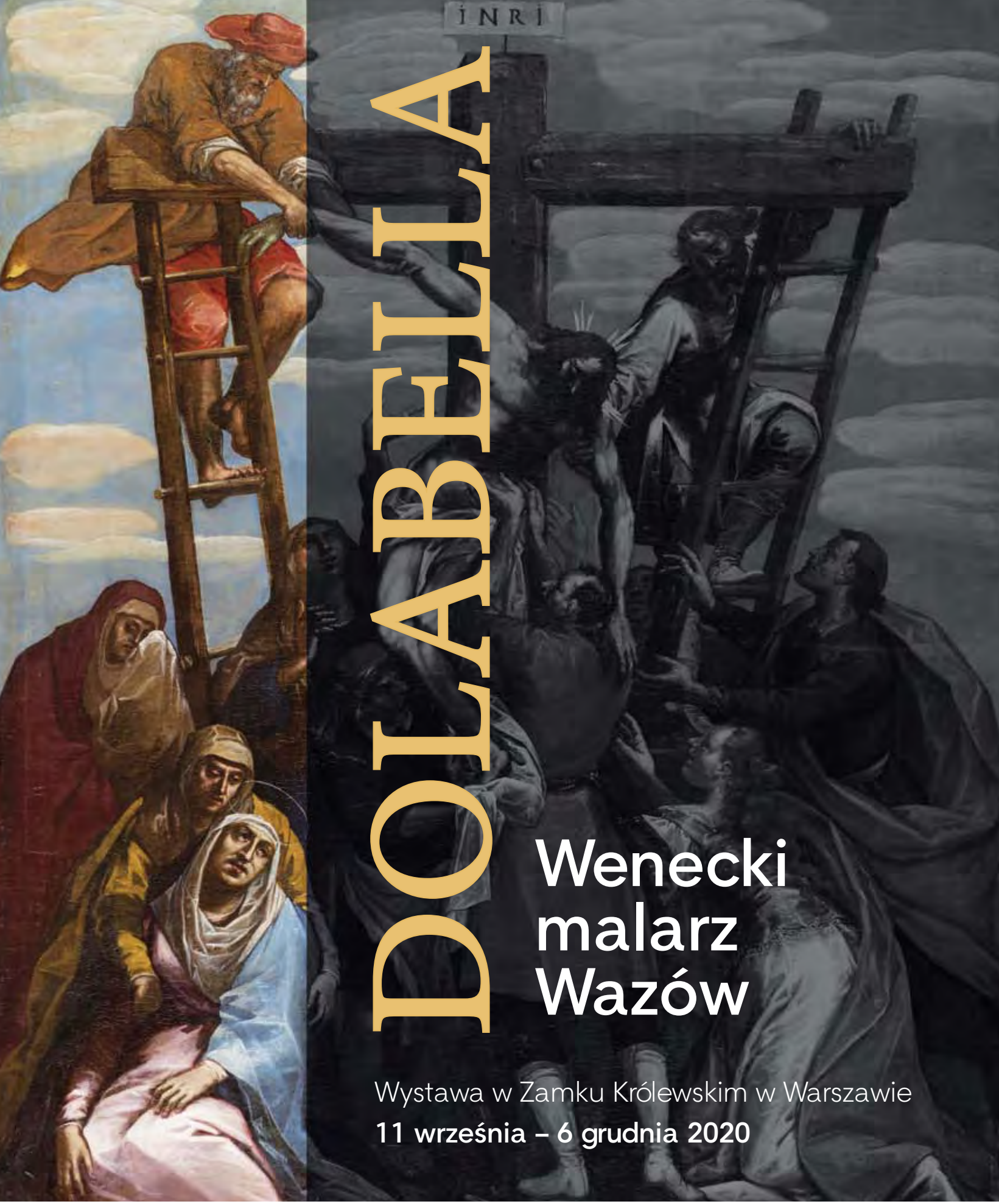

DO LA BELLA

Wenecki malarz Wazów

Wystawa w Zamku Królewskim w Warszawie

11 września – 6 grudnia 2020

Organizator

Mecenas

Partnerzy

Patroni medialni